

PRZEGLĄD POLITYCZNY

W NUMERZE M. IN:

- ROSJA — TRADYCJA • IDEOLOGIA • POLITYKA •
 - Z. BRZEZINSKI o dylematach sowieckiego imperializmu
 - A. BESANÇON śmierć trupa
sylwetka markiza DE CUSTINE'A
 - A. DE CUSTINE listy z Rosji
 - J. STANISZKIS własność racjonalność dynamika
 - testament RAYMONDA ARONA
 - wiersze poetów wrocławskich
-

nr 4

WYDAWNICTWO LITERY 1984

Pamięci Lecha Bądkowskiego
numer ten poświęcamy



LECH BĄDKOWSKI /1920-1984/ ,
wraz z Lechem Wałęsą w
chwili podpisania Poroz-
umień Gdańskich.



LECH BĄDKOWSKI

1920 - 1984

ODSZEDŁ OD NAS CZŁOWIEK NIEZŁOMNY

przyjaciele i uczniowie

SPIS TREŚCI

PAWEŁ ADAMSKI: Bitwa trwa.....	5
List redakcji PP do Ernesto Cardenala.....	18
JADWIGA STANISZEKIS: Własność, racjonalność, dynamika, struktura.....	21
ANDRZEJ SMOCZYŃSKI: Gospodarka: realizm i umiarkowanie.....	35
RAYMOND ARON: Testament.....	39
R O S J A - TRADYCJA IDEOLOGIA POLITYKA	
ZBIGNIEW BRZEZIŃSKI: Tragiczne dylematy sowieckiego mocarstwa.....	53
RAYMOND ARON: Nie pozwalajcie sobie na śmiech.....	62
ALAIN BESANÇON: Śmierć trupa.....	66
PIERRE NORA: "Ta podróż jest dramatem" /sylwetka markiza de Custi- ne/.....	68
ASTOLF de CUSTINE: Wnioski z opisu podróży.....	76
D O K U M E N T Y	
Trzy wystąpienia GRUPY PUBLICYSTÓW POLITYCZNYCH.....	85
P O E Z J A - Dopóki liżemy rany... /wiersze poetów wrocławskich 1981-84/	
LESZEK BUDREWICZ.....	95
JAROSŁAW BRODA.....	96
LOTHAR HERBST.....	97
R E F L E K S J E N O T Y F E L I E T O N Y	
AŁEK KORWIN: Pacyfizm.....	100
LESZEK BUDREWICZ: Wasal.....	104
ANKA: Listy do przyjaciół.....	106
S W I A D E C T W A	
Wybory, Gdańsk 84.....	109

W numerze wykorzystano wiersz Marka Prochorowicza "JKM" - s. 105.

numer zamknięto w czerwcu 1984

PAWEŁ ADAMSKI BITWA TRWA

Zofia Bądkowska, żona /pakuje książki i papiery, opróżnia pracownię na Targu Rybnym, żeby oddać klucz w Urzędzie Miejskim/: "Leszek zostawił wszystko w najlepszym porządku, pod tym względem był pedantem. Listy skatalogowane, daty, odnośniki, "prywatne", "publiczne", "wzmianka dotycząca spraw publicznych", do kogo wysłał, od kogo otrzymał". Pani Zofia niektóre czyta ponownie, inne widzi po raz pierwszy. Podróż sentymentalna w głąb jego życia. Także w głąb najnowszej historii. Korespondencja z Ksawerym Prószyńskim /przyjaźń wojenna z wojska polskiego na Zachodzie/, Maciejem Słomczyńskim /duża zażyłość od końca lat pięćdziesiątych - Słomczyński współpracował wtedy z gdańskimi: teatrem/, profesorem Gerardem Labudą i innymi działaczami kaszubskimi w Polsce i za granicą /listy przeważnie dotyczą Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego/, Andrzejem Braunem, Wiktorem Woroszyłskim, Zbigniewem Herbertem /jego przyjaźnie literackie, w listach ślady wspólnych polityczek na arenie organizacji pisarskiej/, z prof. Bronisławem Gieremkiem /Geremek pisał do niego z obozu internowania, gdy Bądkowski był już chory/. Najciekawszy * w listach jest ostatni okres. Słomczyński zareagował na transmisję telewizyjną z podpisaną Umów Gdańskich jeszcze tego samego dnia: "/.../Widziałem Cię jako sygnatariusza, na pierwszym planie. Jakże by mogło być inaczej./.../Vivat Polonia!...". Herbert przysłał kartkę. Gratulowali mu. Wszyscy ci ludzie z formacji duchowej "Solidarności". Pani Zofia: "moim zdaniem "Solidarność" to nie tylko ruch, fakt historyczny, to pewna formacja duchowa. Niekoniecznie trzeba było być członkiem, żeby do niej należeć. Taki Herbert, oczywiście był w forpólcach. I podobnie Leszek".

Maszynopiśsy. Kartki wypełnione pośpiesznym odręcznym piśmem. Notatki z Sierpnia, ze strajku: byliśmy dziś z Zosią pod stoczną". Faktycznie, byli. Najpierw chodzili pod bramę. "Powiedzieli do niej: "to jest większe od wszystkiego, co dotąd pod dominacją sowiecką się zdarzyło. I ważniejsze!" Potem wszedł do środka jako mandatariusz gdańskich pisarzy. Wcześniej opracowywał rezolucję. Był bardzo podniecony. Niepokoiliła się o niego ze względu na chorobę, o której wiedzieli jeszcze tylko rodzina. Ale nie zaliczał się do ludzi, których można w czymkolwiek powstrzymać. Zresztą szedł do tej stoczni przez całe życie.

SKĄD PRZYSZEDŁ?

Wojna. Ukształtowała jego światopogląd polityczny. Z jego własnej relacji: 1946 rok. Powrócił do kraju z Anglii. Chęć powrotu zgłosił jako jeden z pierwszych w Marynarce Wojennej. Uznano go tam za parszywą owcę. W powszechnym mniemaniu ci, co wracali, byli albo kryptokomunistami, albo komunistami ulegli, ewentualnie wkrótce ulegną. Ówczesne decyzje powrotu zależały od tego, jak kto widział najbliższą i nieco dalszą przyszłość. On przy-

jął od razu, że kolejnej wojny w bliższej perspektywie nie będzie. Miał dwadzieścia pięć lat, ale ta lekcja, którą odebrał, tyle go nauczyła, że czuł się starszy.

Pierwszy szok: 1939 rok, bitwa nad Bzurą. Ukończył wtedy 19 lat. Jako młody podchorąży dowodzi plutonem. Polska dostaje się w kleszcze dwu systemów totalitarnych. Ci nowi Niemcy - mówi - to było całkiem coś innego niż ten zaborca, którego znało pokolenie moich rodziców na Pomorzu. O Związku Radzieckim pogląd był jednoznaczny, z tym że nie doceniało się jego potęgę. Początek kampanii wojennej na Zachodzie - myśli o przyszłości świata po wojnie w kategoriach moralności, na przykład, że układ Ribbentrop-Mołotow eliminuje Rosję ze współdecydowania. Na Zachód przedarł się po to, żeby zdjąć z siebie kłatwę upokorzenia po klęsce wrześniowej i nigdy więcej nie uciekać przed Niemcami. Brawurowa eskapada przez tereny pod okupacją radziecką na Węgry, stamtąd dalej. Żołnierz samodzielnej Brygady Strzelców Podhalańskich, w bitwie o Narwik miał tam nieprzyjemny incydent, skierował broń przeciwko bezpośrednio zwierzchnikowi, żeby zmusić go do zmiany rozkazu. Sąd wojenny ominął go, dowódca uznał jego reakcję za korzystną dla przebiegu walki.

Upadek Francji i rozwiązanie brygady. Dla niego było ^{to} powtórzenie koszmaru. Wyglądało to tak: dowódca zwolnił żołnierzy z przysięgi, kazał niszczyć sprzęt i broń, i maszerować, gdzie kogo oczy poniosą. Mimo rozkazu broni nie niszczy ani nie zdejmują munduru. Wielu jego kolegów również. Napotkali po drodze Francuzi mają o to do nich pretensję. Że rozdrażnią Niemców. Na pełnomorskim kutrze holenderskim dostaje się do Anglii. Szkocja. Na wiadomość, że Niemcy zaatakowały Rosję, płacze z radości. /Nie życzył Rosjanom klęski, liczył po prostu, że Polska znajdzie się w zasięgu frontu, kontrolowanego przez mocarstwa zachodnie/. 1942 rok, ważny fakt - zostaje zwerbowany przez wyższego oficera wywiadu i przechodzi wszechstronne szkolenie, przygotowywany na rzut do kraju. W okupowanej Polsce miał prowadzić działalność polityczną jako emisariusz rządu polskiego. Zrzuty zaczęły się w 1944, za późno. On latał dwa razy i ani razu nie było warunków, żeby wyskoczyć. Drugi raz, sytuacja bardzo dramatyczna, podczas powstania warszawskiego. Ma dostarczyć powstańcom pieniądze, dwudziestodolarówki w złocie. To było uzgodnione z Warszawą. Jest wśród czterech wyróżnionych przez dowództwo skoczków. W ostatniej chwili baza ich odwołuje. Z kalkulacji natury polityczno-strategicznej wynikało, że w Warszawie nie warto już topić tak poważnych środków. Cichociemni wracają jak niepyszni do bazy. Dla niego był to właściwie koniec wojny.

Służy jeszcze w wywiadzie marynarki wojennej, ale już w grudniu 1944 roku postara się o warunki zwolnienia do cywila. Kończy studium dla cudzoziemców na uniwersytecie w Cambridge, uzyskuje certyfikat znajomości języka i literatury angielskiej, zdaje egzamin na wydział ekonomiczny w uniwersytecie londyńskim, przesiaduje w czytelni British Museum.

Defilady zwycięstwa. Powstała delikatna kwestia, jak Polacy na Zachodzie mają się zachować. Problem okazuje się drażliwy już na tych defiladach. Na przykład jedna z nich. Marynarka wojenna wysłała tylko trzy pododdziały, z samymi młodszymi oficerami. Jeden z nich prowadził właśnie on. Pierwszy pododdział idzie z karabinami, a dwa pozostałe bez broni. Mówi, że wyglądało to symbolicznie: niby należymy do zwycięzców, a faktycznie zostaliśmy obeształdzeni, przy zgodzie całego świata.

Z wojny wyniósł tę lekcję, plus krzyż *Virtuti Militari*.

Decyzja o natychmiastowym powrocie była nie tylko reakcją emocjonalną na gorycz. Przyjął koncepcję realistyczną. Patronował mu Ksawery Prószyński. Realizm polityczny Prószyńskiego polegał na liczeniu się z faktami i ustosunkowaniu się do nich z myślą o prawdziwej, głębokiej racji stanu narodu i państwa. Nie na uieruchomieniu wyobraźni.

O Prószyńskim mówi w wywiadzie, udzielonym Pawłowi Zbierskiemu w 1980 roku: "on reprezentował bardzo bogatą indywidualność, z umiejętnością przystosowania się - ale nie za wszelką cenę, i nie do wszystkiego. Nie do świnstwa, nie do zdrady. Gdyby to było stawką - musiałyby przegrać".

Pod wpływem Prószyńskiego powstało w nim, młodym wówczas człowieku, przekonanie, że można myśleć realistycznie, nie rezygnując z postawy ideowej i nie ograniczając wyobraźni.

W 1945 roku w Warszawie wydaje swoją pierwszą pracę pt. "Pomorska myśl polityczna", napisaną na przełomie lat 1943/44. Środowiska polskie na Zachodzie przyjmują ją podejrzliwie jako częściowo zbiegającą się z programem lansowanym przez Sowieców. W późniejszym życiu będzie mu się to też przytrafiło, myślenie pod front rozbujanych emocji/.

Stał na stanowisku, że trzeba się decydować na maksymalne rekompensaty, choć przykują one Polskę do radzieckiego rydwanu, ponieważ więcej szans na przyszłość, mimo tego przykucia, ma państwo większe niż mniejsze. W "Pomorskiej myśli politycznej" zawarte były także elementy panslawizmu, dziś koncepcji przebrzmiałej. Jednak - podkreśla - idea federacji państw Europy Środkowej, możliwie niezależnych od Rosji, z poszerzeniem o Węgry, Rumunię, Litwę, ubezpieczając te kraje zarówno przed Rosją, jak przed Niemcami, nie jest dla przyszłości bezpłodna. Rosji to było nienawistne; ewentualnie poszłyby na panslawizm ze sobą w roli głównej. Myślał już wówczas o przeciwwadze dla niej. Tę wizję podtrzymał w swoich ostatnich pracach, m.in. w esaju "Twarzą do przyszłości". Teraz, zwłaszcza po doświadczeniu z "Solidarnością" w Polsce, zaczyna ona jakby bardziej docierać do społecznej świadomości Polaków. Wyciągnął wniosek polityczny z nowej atmosfery w kościele katolickim. Pisze: "rysuje się większa niż dotąd szansa porozumienia i pewnego uniezależnienia się tych państw bloku wschodniego, które w najgłębszym stopniu obroniły swoją tożsamość narodową i kulturalną poprzez nieprzerwany związek z Rzymem".

Uważał, że dla tej wizji warto pracować.

DROGA DO STOCZNI

Jerzy Borejsza, trzyszący w pierwszych latach po wojnie polityką kulturalną, do którego zaprowadził go Prószyński, zadał mu pytanie: gdzie chce pracować? Odpowiedział, że w Gdańsku, jako dziennikarz. Gdańsk, bo dla Pomorzan był on zawsze stolicą /czuł się za ten Gdańsk odpowiedzialny przez całe życie/. Dziennikarstwo jako najbliższe polityce. Literatura pozostałaby prawdopodobnie jego pasją uboczną, jak malowanie w wolnych chwilach dla Churchilla, gyby dane mu było zrealizować to, co go najbardziej pociągało. Pociągała go polityka, choć od młodych lat wykazywał także uzdolnienia literackie. Urodził się w 1920 roku, w wolnej Polsce. Wyjaśnia: na otwartej, demokratycznej arenie ówczesnego życia publicznego, pojęcie kariery politycznej nie miało dwuznacznego zabarwienia. W grze między stronnictwami politycznymi toczyła się poważna walka o kształt społeczny kraju. I wyglądało na to, że będzie to kształt bardzo postępowy. On, oczywiście, był za jak najdalej idącym demokratycznym postępow. Do żadnej partii wtedy nie należał /i nigdy później/. Jego poglądy dopiero się formowały, przyglądał się. Miał zresztą wrodzony wstręt do organizacyjnego uniformizmu. Na Pomorzu dominowało Stronnictwo Narodowe, jego matka, osoba wielce pobożna, pod wpływem kościoła optowała za narodowcami. Ale już ojciec, znacznie bardziej światły, wyrobiony intelektualnie, miał do nich zastrzeżenia. On we wszystkich w młodym wieku formował się na ojca. Możliwe, że zostałyby politykiem bezpartyjnym.

Do Polski wraca bez wielkich nadziei na demokrację. Raczej jest przygotowany na najgorsze. Ale to się tak mówi: być przygotowanym.

Koledzy pamiętają go z tego okresu jako bardzo poważnego młodego człowieka o manierach wojskowych. Chodził w battledressie, sprawy załatwiał krótko, wężłowato, dla podwładnych nie miał litości, mabyć zrobione i koniec. Tadeusza Boliduana, późniejszego przyjaciela i znakomitego publicystę, bez miłosierdzia trenował w sztuce dziennikarskiej. Boliduan się go zwyczajnie bał. Gdy się znalazł bez grosza w wojsku, pozbawiony oparcia w rodzinie, Bądkowski wysłał mu prywatnie co miesiąc pieniądze na konieczne wydatki. Kiedy się uniósł ambicją, obręgał go: ładuje teraz w ciebie, żebyś ty potem ładował w innych. W późniejszym okresie także miał zwyczaj fundowania stypendiów dla obiecujących młodych ludzi, zwłaszcza ze środowiska kaszubskiego, które starał się organizować z pewną głębszą myślą społeczno-polityczną, w duchu "najdłuższej wojny nowoczesnej Europy". Był Europejczykiem z odchyleniem pomorskim, wyniesionym z domu. Z odchylenia kształtowała rzeczywistość zaboru pruskiego. Polegało ono na nastawieniu na długi dystans. Przymuszczałnie takie nastawienie mu pomogło; nigdy nie wpadał w rozpacz.

Atmosfera w redakcji zaraz po wojnie wyglądała lepiej niż mógł przypuszczać. Całkiem swobodne rozmowy. "Dziennik Bałtycki", w którym podjął pracę, nosił dumny tytuł: "niezależny organ Wybrzeża"; w zespole m.in. Marian Brandys i Wincenty Kraśko. Tacy ludzie nadają ton. Należy do tych, co zaczynają wierzyć, że Sowici nie będą eksportowali swojego modelu do nas, bo nie będzie im to do niczego potrzebne.

Częściowo otrzeźwia go referendum. W dniu wyborów dostownie zamartwiali się obaj z ojcem, że miażdżący niekorzystny dla reżimu wynik za bardzo rozwścieczy Moskwę. Ojciec jako stary obywatel miasta Torunia miał znajomych w komisjach wyborczych i znał wyniki z różnych lokali, wszędzie dla komunistów fatalne. To samo pokazała penetracja dziennikarska w Trójmieście.

Rozumuje natomiast, że skoro istniała wcześniej akcja zastraszania opozycji w stylu "nieznani sprawcy", to referendum powinno być uczciwe. I bezradność. Jako reakcja na kompletny cynizm. Powie po latach z uśmiechem: nie doceniłem możliwości umysłowych naszego partnera. I doda: ale partner także nas nie docenił.

W redakcji ekwilibrystyka. Ma predylekcje do problematyki politycznej, coraz to próbuje szarpnąć jakiś temat, który zaraz okazuje się tabu. W życiu publicznym jego koncepcja pomorska samoorganizowania się społeczeństwa także na razie ponosi fiasko. Jej podstawą jest jednak poszanowanie prawa, przestrzegane także przez władzę. Nie jest ona skuteczna w systemach totalitarnych. Zresztą nigdy nie funkcjonowała szeroko poza zaborem pruskim. Takie zabawy jak z Drzymałą były możliwe tylko tam, za owych idyllicznych czasów, o których opowiadał ojciec, gdy ciemieży pewnych rzeczy robić nie wypadało. Musiało też wchodzić w grę specyficzne poczucie humoru. W głośnym procesie filomatów pomorskich w 1912 roku najwyższy wyrok w sądzie pruskim opiewał na sześć tygodni aresztu i został przyjęty przez cywilizowaną Europę jako drakoński. Władza komunistyczna z reguły nie żartuje.

Okres stalinowski nakłada na dziennikarzy kaftan bezpieczeństwa. Wielu się w tym kaftanie zeszmaciło. W 1953 roku po licznych awanturach i zabawach w ciuciubabkę Bądkowski rzuca "Dziennik", dekuje się parę miesięcy w pismku "Rybak Morski", dalekim od polityki, ale rychło się pokazuje, że nie ma "niepolitycznego" pisania. Wylatuje z pracy pod pretekstem kompresji etatu, na który natychmiast zaangażowano kogoś innego. Pojawia się problem utrzymania. Dzięki staraniu przyjaciół udaje mu się wkroczyć na pół etatu do teatru "Miniatura", gdzie pracuje najgorszy czas, pisząc książki dla dzieci i młodzieży. W ogóle zaczyna się orientować na literaturę.

Książka "Kuter na strądzie". Jedyna książka, której chciałby nie napisać. Z tonami socrealistycznymi.

Więc jednak uległ presji tego nowego świata, nowej idei? A myślał, że nigdy nie ulegnie.

Jego wypowiedź na ten ten temat po latach: "Skąd się ten cholerny "Kuter" wziął? W jakiej mierze trudno mi siebie samego do końca zrozumieć /.../ przede wszystkim człowiek jakoś tam patrzył na innych. Takie nazwiska, tacy pisarze... Iwaszkiewicz, Broniewski - przesiadział się i co? Początkujący literat zaczyna myśleć: może ja nie nadaję, może rzeczywiście coś przeoczyłem... To jest skutek tego skoncentrowanego ognia artyleryjskiego. Człowiek tępieje, głuchnie, staje się całkowicie oszołomiony".

Ponieważ to go musnęło, nigdy nie potępił innych. Przez wrodzone poczucie sprawiedliwości i tę wiedzę.

Natalia Gołębska, kierownik artystyczny teatru "Miniatura" z tego okresu, zapytana, czy znała człowieka odważnego, odpowiedziała: tak, jednego, Lech Bądkowski. Widać w jego postawie nie było zbyt wielu koncesji sumienia. Po Październiku został wybrany prezesem Oddziału Gdańskiego Związku Literatów Polskich jedynomyślnie.

Rok 1956, ważna cezura także w jego życiu. Ma jakieś nadzieje /do następnych procesów ozdrowieńczych w partii podchodził już raczej cynicznie/. Pojawiają się w życiu społecznym pewne luki, w które można się wcisnąć. Na podórzedziu jest koncepcja pomorska. Był po roku 1956 współzałożycielem i duchowym przywódcą Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, tej, jak na polskie współczesne warunki, nietypowej organizacji. Przetrwiała ona przez trzydzieści lat aż do dzisiaj, prowadząc nieprzerwaną działalność i przechodząc stosunkowo suchą nogą przez wszystkie kryzysy i odpływy energii, nekające

amerykańscy regionalny ruch społeczno-kulturalny w Polsce w związku z wahnięciami kolejnych koniunktur politycznych. Było to możliwe dzięki istnieniu autentycznego zapieczętowania ludności kaszubskiej z jej zachowaną odrębnością kulturową, ale również dzięki trafnej formie organizacji o autonomicznym obliczu, nie związanej bezpośrednio z ośrodkami władzy przez tak częste gdzie indziej unie personalne, samorządnej i demokratycznej i - co ważne - samowystarczalnej gospodarczo. Z tej szkoty wyszły setki niekonwencjonalnych działaczy już w kilku pokoleniach. Oczywiście, wędzidło istnieje. Zrzeszeniu co pewien czas próbuje się nałożyć twardą uzdę. System jest czujny wobec autentycznych twórców z nieprawnego ideologicznie toża, które są czymś w rodzaju autoszczepionki w organizmie społecznym przeciwko toczącej go chorobie nieautentyczności. Bywa jednak pobłażliwy, a czasem bezsilny wobec działań tak skromnych, przy tym upartych. Ten pracowity upór miał Bądkowski niejako we krwi. I gospodarską rzetelność: to też wyniósł z domu. Jego ojciec lubił solidność w rachunkach. Prowadził na przykład drobiazgową księgę dochodów i wydatków. On także próbował to robić po wojnie, ale prędko dał sobie spokój; po pierwsze nie miał regularnych dochodów, co jakiś czas się urywały, poza tym w nowym systemie społeczno-gospodarczym proste rachunki straciły sens jako sposób na życie. W ogóle jednak opierał się przy starych sposobach: aby wyrosło, trzeba zasiał, a zanim się zasieje, zaorać, całym ciałem kładąc się na pługu, żeby skiba była równa, po kolei, z głową, nie na pokaz. Ten styl legł u podstaw sukcesów Zrzeszenia. Od 1956 nosił ostentacyjnie Kramaty z haftem kaszubskim do garniturów w angielskim stylu. Jednych to śmieszyło, a innych zastanawiało.

W oczach władzy uchodził za osobę dość ekstrawagancką. W jednych okresach miało to dla niej swój wdzięk, były próby kokietowania, w innych zdecydowanie zła pachniała przedwojenną epoką. Dość trudno było sobie z nim poradzić. Z różnych powodów. Z natury pomorskiej był legalistą, choć zdawał sobie sprawę z ograniczeń tej metody. W swoich działaniach publicznych, dopóki to było możliwe, obstawał przy formach jawnych. Dla wyrażenia swojej opinii, szukał naprzód tamów gazet, kiedy mu ich odmawiano, wysyłał listy otwarte, powiesione w setkach egzemplarzy, w pierwszej kolejności do władz i zainteresowanych instytucji. Tracił posady, ale stylu nie zmieniał.

W 1956 zostaje zastępcą redaktora naczelnego w tygodniku "Ziemia i Morze". Już po paru miesiącach prasa jest wzięta w kleszcze. Tu odwrót od idei Października jest najwcześniej widoczny. W grudniu tego samego roku otrzymuje wywołanie. Od tej pory dziennikarstwo uprawia wyłączenie z doskoku. W 1968 roku jest współautorem listu do redaktora naczelnego "Głosu Wyrzeża" w sprawie fałszywej antysemityzmu i reżyserowanej napaści na inteligencję i młodzież studencką. /Redaktor naczelny, człowiek porządny, prywatnie przyjaciel, podał list, żeby mu zaoszczędzić kłopotów. Ale Bądkowski już wcześniej kopie rozszedł po kraju. Przyjacielowi dał w mordę. Pogodzili się, gdy tamten także napisał list w tej sprawie do władz centralnych i wyjechał ze stanowiska/. W konsekwencji ma zakaz publikowania na parę lat. W 1975 roku znowu pisze list otwarty, w sprawie porwania do Konstytucji, na ręce Frontu Jedności Narodu.

Miał żelazną zasadę gry fair, zakładającą dobrą wolę partnera, a nawet przeciwnika. Mimo doraźnej niepraktyczności jest w niej pewna siła fatalna, która nie tylko czoło zdobyła, właściwa wszystkim klarownym postawom moralnym. To należy, być może, do rysów szczególnych inteligencji tego przemijającego pokolenia, wychowanego w niepodległej Polsce.

Z rozmowy Lecha Bądkowskiego z przyjacielem: miałem w młodości piękny sen i choć się prędko skończył, zawsze dziękuję za te dwadzieścia lat losowi. Gdyby ich nie było, gdybym nie wiedział, jak wygląda wolność i człowiek wewnętrznie wolny, moja pamięć nie miałaby punktu odniesienia. Jak pamięć dzisiejszych młodych ludzi, którzy tak łatwo wpadają w sidła tego, z czym walczą, tych samych metod politycznych i propagandowych, nienawiści. Ponieważ dla nich nienormalne od zawsze jest normą.

STOCZNIA

Zapamiętane obrazy. Pierwszy: 21 sierpnia 1980. Strajk przeżywa moment napięcia, trwa już prawie tydzień i solidaryzuje się z nim cały kraj, przybywają ciągle emisariusze z wielkich zakładów i regionów, ale władza gra na zwłokę, nie chce podjąć rozmów. Kłwi

się coś o desancie od strony morza, w atmosferze jest niepewność. W tej sytuacji pojawia się w sali bhp delegacja gdańskich pisarzy. Najej czele starszy pan, z łaską, włos na jeża. Był to Bądkowski. Podchodzi do stołu prezydiального. Lech Wałęsa mówi przez mikrofon: przyszlisi nasi literaci, mają nam do powiedzenia coś ważnego. I jeszcze kilka słów po cichu do Bądkowskiego /z jego zapisków wiadomo, że były to słowa: "no, nareszcie, są nasi pisarze". Coś w tym rodzaju/. Sala umilkła. Bądkowski czyta rezolucję w zupełnej ciszy. Było to pierwsze środowisko intelektualne, które oficjalnie przytęczyło się do strajku. Poza tym szczególnie. Literatura od romantyzmu poczynając zawsze pełniła w Polsce rolę powstańczego sztandaru. Sala tak właśnie zareagowała. Jakby pojawiły się nad nią duchy Mickiewicza i Słowackiego i pobłogosławiły ją. Gdy Bądkowski kończy czytać, owacja trwa piętnaście minut. Wszyscy wstają z miejsc, śpiewają hymn narodowy. Jest nieprawdopodobne poruszenie, wrazenie przełomu. Mermowe napięcie znika, to ludzi odblokowało. Wałęsa proponuje Bądkowskiemu udział w Prezydium. Zgodził się. Od tej pory pełni funkcję rzecznika prasowego i bierze udział w negocjacjach.

I drugi obrazek, jakby przeciwstawny. Na tle rozgorączkowanych twarzy, rozszepianych grup młodzieży z opozycji, różnych kręgów rewolucyjnego wtajemniczenia, ostrych śpięć, podniesionej temperatury i towarzyszącego temu wszystkiemu zamętu - rzecznik prasowy strajku, inteligent w starym stylu, z notesikiem, elegancki w sposobie bycia, zrównoważony i akuraty, kategorycznie wprowadzający porządek do obrad jak w parlamencie i wykładający korespondentom zachodnim spokojnie, w kilku językach, o co w tym wszystkim chodzi, w sposób tak klarowny, że to rzeczywiście stawało się klarowne. Ktoś oburza się, gdy przewodniczy obradom, że ogranicza czas wystąpień do siedmiu czy dziesięciu minut. Ludzie chcą się wygadać, niekoniecznie na temat, a on nie lubi bićla piany. W takich przypadkach wkraczał Wałęsa i rozładowywał nastroj po swojemu, żeby i wilk był syty i owca cała. Bądkowski jakby nie współbrzmiał z nastrojem. To wrazenie, że nie współbrzmiał, jest może jednak projekcją moich wrażeń ex post, na podstawie wiedzy o dalszym ciągu. Wtedy, na bieżąco w Stoczni jeszcze wszystko i wszyscy ze sobą dobrze współbrzmie-

li.

Sam Bądkowski uważał, że jest jak najbardziej na swoim miejscu, że wręcz nie powinno go tam zabraknąć. Od początku też zdawał sobie sprawę z historyczności zjawiska i z tego, że systemowi komunistycznemu trudno będzie ten eksperyment przełknąć. To wyraźnie widać w jego notatkach. Chciał eliminować sytuację nadmiernie zadrażniając rozmowy z władzą. W Stoczni podbudowywała to stanowiska obecność ekspertów, przeważnie znanych intelektualistów ze środowiska warszawskiego.

Pod datą 24 sierpnia 1980 roku zapisał: "Zapytałem Mazowieckiego do kledy możemy iść - czyć na ich tu obecność. /Niepokoiłem się, co będzie, jeśli wkrótce wyjadą, wnoszą oni ład i rozagę i tym samym zwiększają siłę MKS/. Mazowiecki spokojnym jak zawsze głosem powiedział: "będziemy wam towarzyszyli do końca". Prezydium przyjęło to oświadczenie gorącymi oklaskami".

Ta sama data: "Tego dnia wypadek wręcz przedziwny, na teren stoczni dostało się paru trockistów hiszpańskich, którzy zgłosili gotowość załozenia tu komórki trockistowskiej. Moja decyzja: wyprowadzić ich za bramę".

29 sierpnia: "...Duże napięcie z powodu ważenia się losów naszych pertraktacji oraz wiadomości z kraju, które wskazywałyby na możliwość wybuchu strajku generalnego. Ktoś powiedział, że wtedy wyjdzie na nasze. Oby tylko nie z czołgami sowieckimi na ulicach".

Do żony Zofii: "To jest powstanie narodowe. Nie chciałbym, żeby upadło przez jakiś nasz błąd".

Leć do jakiej granicy się posunąć, żeby nie popełnić błędu? I żeby realizm polityczny nie pętał wyobraźni.

Wypowiedź Lecha Bądkowskiego z 1982 roku, w wywiadzie udzielonym Pawłowi Zbiarskiemu w szpitalu: "A romantyzmu nigdy nie będę wypędział, bo jestem realistą".

Romantyczną, drugą stroną swojej twarzy, o której ludzie znacznie mniej wiedzą, odśtania chętniej w twórczości pisarskiej, zwłaszcza w ulubionych przez siebie "Legendach". Legenda o pustelniku. Legenda o przewodniku. O wozaku. O zamieci. O Wielkiej Innej. Wszyscy ich bohaterowie mają elementy jego duchowej biografii. To ludzie samotni, nie całkiem zrozumiani dla otoczenia. Wyposażeni ponad przeciętność we wrażliwość sumienia. Sumienie, to znaczy odpowiedzialność. Oddają się obowiązkom, żeby nie poddać się rozpacy. Pamiętamy, że on sam wiele razy stawał przed ślepy murem. I aby nie bić weń głową, za-

czynął wiercić w murze dziury, gdzie się dało. Aż pragnienie jest jedno: rozwalić ten ślepy mur.

"Legenda o pustelniku", napisana w 1957 roku, przypuszczalnie pod wpływem przeżyć związanych z odpywającą falą "Października". Jest to historia przywódcy, który chciał wywieść swój lud z domu niewoli, metafora Iosu inteligenta, polskiego intelektualisty. I analiza doświadczenia, klęski. Bohater, jeden z ucieszonego plemienia, siłą swojej woli i umysłu uwolnił się od religii niewoli i bezmazieli, przeszedł przez zamrznięte jezioro na drugą stronę doliny, gdzie spoczął żywe kraje i szczęśliwsze plemiona, a te nie pozostał z nimi. Wybrał samotność, by pracować nad sobą. W samotności zbierał siły, rozgrzewał serce. Potem wrócił, by wyprowadzić swoje plemię. "Decyzja powrotu - mówi - nie była dziełem chwili, ani nie wynikała z natchnienia, które może być dziełem wyobraźni. Rosta powoli, dojrzewała w chłodnym klimacie samotności, jak owoc drzewa, które czerpało soki z nieurodzajnej gleby i więcej doznało wicherów niż słońca". Wrócił, by im powiedzieć, że powinni się odważyć i przekroczyć zaklętą granicę rytualnego lamentu i jęku, granicę niemożności, ponieważ "nie ma tu żadnej granicy. Granica istnieje tylko w waszych duszach i umysłach". Lecz gdy wielu się odważyło i udali się razem przez zamrznięte jezioro, nie umieli iść rozważnie, każdy własnym śladem, biegli hurmem za nim, aż osłabli i ciął załamali się lód.

Nauczycielka języka polskiego w czasie wieczoru wspomnień po jego pogrzebie: gdy "Legendę o pustelniku" przeczytałam w klasie po ogłoszeniu stanu wojennego, uczniowie zachowywali się tak, jakby to było napisane dziś, o "Solidarności". Zapadło ciężkie milczenie.

ABY LÓD SIĘ NIE ZAŁAMAŁ.

Wszedł do władz "Solidarności", był członkiem Prezydium Zarządu Regionu Gdańskiego i jednocześnie nadal pełnił funkcję rzecznika prasowego. Atmosfera wokół jego osoby była jednak w Zarządzie dwuznaczna. Robili ją młodzi i najmłodsi działacze. Z kilku powodów.

Jeden z młodych członków niezależnej organizacji opozycyjnej: "kiedy go poznałem bliżej, byłem zdziwiony i zbudowany. I częściowo było mi głupio, bo zachowywał się wobec mnie nadszczajając elegancko, choć nie byłem z jego obozu i on o tym wiedział. U nas w Hotelu Morskim uważało się go za starca, niezbyt odważnego, w ogóle za postać kontrowersyjną. Otaczał się bardzo różnymi ludźmi, do robienia rubryki "Samorządność" dobrał sobie całkiem nieznanymi, młodymi ludźmi, niektórzy byli z PAX-u. Zamieszczał artykuły w "Polityce" u Rakowskiego. To się wydawało podejrzane".

Rzecz polegała na tym, że on nie był w żadnym obozie, starał się być ponad obozami, nie zwracał specjalnie uwagi nawet na przynależność partyjną. Uważał, że należy, gdzie to tylko możliwe, zyskiwać zwolenników, nie przeciwników. I oceniać ludzi wnikliwie.

Poza tym zachodziło pomieszanie pojęć. Wiele osób rozważę chętnie brało za brak odwagi. Jego biografii nikt prawie w Związku nie znał, ona rzuca najwłaściwsze światło na postawę, ale to nie był czas, gdy się głębiej wnika w życiorys. A Bądkowski nie zwierzał się na zawołanie, był powściągliwy.

Ciekawe, że odwaga właśnie była problemem moralnym, który go szczególnie zajmował w twórczości. Sam przecież przekraczał jej bariery lekko, nie dotykając poprzeczki, z jednego odbicia. Bariery odwagi fizycznej i cywilnej.

Z opowiadania "Dzielność":

"Mówi się, że odwaga, a zwłaszcza brawura i tak zwana pogarda śmierci to po prostu brak wyobraźni. Widziałem bohaterów, którzy - jak myślę - poświadczali tę opinię. Ale widziałem również takich, którzy szli na śmierć z rozpaczą lub z dumnej obawy przed wstydem i takich, którzy robili to dla "fasonu", a była to szczerza głupota lub młodziwieczność. I widziałem odważnych, którzy dokonywali czynów nieświadomi ryzyka, przestraszeni później własną nieustraszoną, jak gdyby wyobraźnią ich działała wstecz, i którzy po pewnym czasie w zmienionej sytuacji, lub nawet w podobnej, powtarzali to samo, nie mając zmusić spóźniającej się wyobraźni do wyprzedzenia czasu. Widziałem też odważnych z przypadku, którzy ocierali się o śmierć, nie wiedząc o niej; ci stawali się przedmiotem żartów.

Widziałem wreszcie sprytnych i ostrożnych rachmistrzów, którzy umieili element ryzyka wkalkulować w cenę handlową odwagi i sprzedawali ją według najlepszych zasad kupieckich, kupując możliwie tanio, sprzedając możliwie drogo. I widziałem mistyfikatorów, którzy, czasem dość zręcznie, pozorowali odwagę. I jeszcze wielu innych, na przykład takich, co nigdy na ochotnika nie nadstawiali karku, ale nakazane im zadanie wykonywali niezawodnie, z poczucia czystego obowiązku lub fatalizmu". I dalej: "można mówić o odwadze fizycznej i odwadze moralnej, którą określa się również jako cywilną. /.../. Otoż nie są one tożsame. Znałem ludzi odważnych w boju, którzy bali się wypowiadania swych poglądów wbrew poglądom ogółu lub zwierzchności; znależ także takich, którzy posiadali śmiałość niezależnego myślenia i działania z nim w zgodzie, lecz tchórzliwi w obliczu niebezpieczeństwa grożącego ich ciału. Nie wydają sądu o jednych ni o drugich, ani też o trzecich, którzy w różnych sytuacjach zachowywali się różnie, poddawani fałom odwagi lub strachu, w walce fizycznej i w walce moralnej, raz wykazując męstwo, a raz tchórzostwo".

Taka tolerancja jest cechą dojrzałości, zwłaszcza w zestawieniu z jego własnym życiorysem. Był bardziej wymagający wobec siebie, potem dopiero w stosunku do innych, nigdy w odwrotnej kolejności. Napisał jeszcze coś istotnego na ten temat: "fale kotyszą nami i już mamy prawo uważać się za dość dzielnych w swoim losie, jeśli przechylając się groźnie na boki - jednak nie toniemy". Chciał powiedzieć, że dzielność jest możliwa, nawet gdy lęk nas na chwile nie opuszcza. To brzmi krzepiąco, zwłaszcza dzisiaj, w sytuacji kiedy trzeba sobie o tym ciągle przypominać, żeby nie utracić godności.

To są rozważania filozofa. Jako działacz "Solidarności" robił po prostu wszystko, żeby ten lód się nie zatępsiał. Często wbrew łatwym entuzjazmom i wbrew pesymizmowi. Odporny na zbiorowe emocje umiał zachować trzeźwy dystans, tkwiąc w samym środku spraw. Był zwolennikiem dialogu i porozumienia, nawet za cenę kompromisu, byle to tylko nie był kompromis moralny. Występował kategorycznie przeciwko tendencji: wszystko albo nic, był zdania, że czas będzie działał na naszą korzyść, że należy powoli ale konsekwentnie utrzymywać nowe struktury w życiu społecznym, tak żeby one się utrwalały w ludzkiej świadomości. Wtedy będzie się trudno z niej wyrwać, skutecznie zniszczyć. Jeszcze rok, dwa - mówił - byle jak najdłużej.

Oczywiście, zdawał sobie świetnie sprawę, że nie wszystko od nas zależy, że zależy raczej mniej niż więcej. Widział też ten opór materii, presję niesprzyjających okoliczności, rozumiał mechanizm zjawisk negatywnych, samoczynnie się wyzwalających w tych warunkach. Ale wysokość stawki wymagała tym większej czynności. Surowo oceniał nieodpowiedzialność i ludzką małość. I ze swoimi ocenami się krył, nie szukał poklasku.

3 września 1980 roku. Na posiedzeniu Prezydium MKZ-tu dochodzi do ostrej wymiany zdań pomiędzy Lechem Wałęsą a Anną Walentynowicz i Joanną Dudą-Gwiżdzą na tle kontrowersji w sprawie powołania na eksperta MKZ Jacka Kuronia. Wałęsa jest przeciw. Bądkowski również. Robi wówczas obecnym wykład o poczuciu obywatelskiej odpowiedzialności. /Doceniać zasługi KOR-u, dowód tego dał w przyszłości w redagowanym przez siebie tygodniku Regionu Gdańskiego "Samorządność", który połykał nr 3 pisma poświęcił prezentacji tej organizacji. Uważał jednak, że nicyzje krzywdy ani zasługi nie mogą być motorem publicznego działania, jeśli w grę wchodzi dobro ogółu, powodzenie sprawy, losy idei. Uważał też, że sam Kuroń powinien to w tym momencie rozomnieć. Joanna Duda-Gwiżdza próbuje mu kilkakrotnie przerwać. Anna Walentynowicz i Alina Pieńkowska ptać. Padają stwierdzenia, że to to mówi, jest niemoralne. Jest jedynym, który wychodzi za Wałęsą, gdy ten opuszcza salę ze słowami: proszę, aby wyszli za mną ci, którzy popierają moje stanowisko. Po godzinie zjawiają się w budynku "Solidarności" stocznicy dnia poparcia Przewodniczącego. /To prawdopodobnie był pomysł Wałęsy, nie Bądkowskiego/. Dają do zrozumienia, że są właściwymi ojcami ruchu, odpowiedzialnymi za jego taktykę. Sprawa rozstrzyga się w ten sposób. Jednak na krótko.

Od tego momentu Bądkowski znajduje się w ostrym konflikcie z częścią kierownictwa Związku, skupioną wokół Andrzeja Gwiżdzy. Objawia się to najwyraźniej podczas tworzenia pisma Regionu Gdańskiego. Opór i przeciągające się dyskusje wokół osoby redaktora naczelnego opóźniają powołanie "Samorządności" o około pół roku. Dzieje się to ze szkoda dla atmosfery pracy w regionie gdańskim i dla całego ruchu, który w miejsce małej poligrafii, nie zawsze na poziomie, potrzebował czym prędzej liczących się na mapie polskiego czasopiśmiennictwa ptaśczyzn dyskusji. Jedynym człowiekiem w Gdańsku zdolnym stworzyć takie liczące się pismo jest Lech Bądkowski, zarówno ze względu na kwalifikacje dziennikarskie

i redaktorskie, jak i autorytet. Ale padają różne imię, niepoważne propozycje, gra się na zwrotek. Jednak dzięki osobistemu zaangażowaniu się po stronie Bądkowskiego Lecha Wałęsy udaje się ten opór przezwyciężyć. Redakcja tygodnika "Samorządność" powstaje w październiku 1981 roku, trzy miesiące przed ogłoszeniem stanu wojennego. Po wstępnym rozruchu zdołała wydać trzy numery. Z deklaracji programowej i tych trzech numerów sądząc, pismo miało mieć formułę otwartą, służącą faktycznej wymianie poglądów. Była to z grubsza biorąc "linia Wałęsy", dopełniona intelektualnym przygotowaniem i rzetelnym obiektywizmem Lecha Bądkowskiego jako redaktora naczelnego.

BĄDKOWSKI A WAŁĘSA

Postawa moralnie bezkompromisowa cechowała go zawsze. Także w stosunku do Lecha Wałęsy.

Bądkowski popierał jego taktykę, uważał także, generalnie biorąc, że Wałęsa jest zdecydowanie najlepszym spośród przywódców "Solidarności" ze względu na swoją intuicję i poczucie odpowiedzialności. Nie ulegał jednak czarowi cechującej Wałęsę radosnej improwizacji, nie zamykał też oczu na jego niedostatki osobowościowe i intelektualne, które mogły mu przeszkadzać w spełnieniu roli, do jakiej wyniosta go historia. To, co napisał wówczas w tekście pomieszczonym w zbiorowej publikacji Wydawnictwa Morskiego pt. "Wałęsa" dowodzi jego wielkiej odwagi i uczciwości. Było to w okresie szczytu stawy i chwały Lecha, największej "miłości ludu" i ten głos na tle ogólnego tonu laudacji całej książki zabrzmiął jak zgrzyt. Oto fragmenty tego tekstu:

".../ mówność Wałęsy może być, że się tak wyrażę, ofensywną tarczą, którą osłania on niewątpliwie braki swego przewodzenia. Uderza zwłaszcza jego gotowość natychmiastowego replikowania w rokowańach i zwracaniach słownych. Często te jego odbicia są dobre, celne, nieraz wręcz znakomite, ale także często stanowią tylko unik, ukrywający brak odpowiedzi lub nawet brak orientacji w przedmiocie. Wałęsa nie lubi okazać, że czegoś nie wie, że nad czymś musi się zastanowić, że chciałby wpiąć się z kimś naradzić. /.../ Poza tym chętnie dowcipkuje, lubi żarty, także na swój temat, co jednak nie oznacza, że również skory jest do przyjmowania krytyki. W stosunkach osobistych stara się być uprzejmy, mimo szorstkości wynikającej z usposobienia; jak dotąd, nie nabrał tonów - wciąż mowa o stosunkach osobistych - chociaż nie słuchoa za należytą uwagą, co się do niego mówi, jeśli nie jest to po jego myśli. Z tym wszystkim, a może się to wydać sprzeczne, jest pewny siebie i zarozumiały. /.../ Wałęsa, według moich obserwacji, nie ma zmysłu organizacyjnego ani nawet zrozumienia dla potrzeby uporządkowanej i wydajnej organizacji. Jest zadawolonym z siebie improwizatorem. Kalendarz dzienny i jego godzinowy podział są mu zupełnie obce. Rozmawia z dziesiątkami ludzi, traci czas na zbędne zajęcia, za to potrafi się spóźniać na ważne konferencje na wysokim szczeblu".

Dalej Bądkowski stwierdza, że - mimo pewnego charyzmatu, który mu przyznaje - być może "Lech Wałęsa jest postacią historycznie przypadkową" i że to jego niestychane wyniesienie spowodował gład moralnego przywództwa w Polsce. Twierdził tak, ponieważ uważał, że polityki należy się uczyć, tymczasem "Wałęsa nie przygotowywał się do swej roli, do t a k i e j roli, nie wspinał się po szczeblach przewodzenia etapami, w ciągu lat, pracując nad sobą, ucząc się, poznając kluczowe problemy polityki, w tym również wielkiej polityki".

To wywołało wówczas sprzeciw nawet wśród tych, którzy podpiływały po cichu gałąź Wałęsy, odmawiając mu wartości, że niby słusznie, ale po co tak publicznie. Na dobro Wałęsy trzeba zapisać, że się nie obraził. Ale Bądkowski miał teki obyczaj: prawda i tylko prawda, nawet nieprzyjemna dla spraw, którym służył, niewygodna dla niego samego. Widział w tym sens dalekowzroczny, nie zadawał się krótką perspektywą. I robił to, co uważał za słuszne.

Słusznym i niezbędnym - zdaniem Bądkowskiego - było jak najszybsze ujęcie działalności Związku w prawidłowe ramy organizacyjne. Jego pomorska natura nie mogła pewnych rzeczy ścierpieć.

Pisał w tej samej publikacji: W MKZecie panuje bałagan. Interesanci dobrze o tym wiedzą. Z początku wszystko wybaczano, bo każdy rozumiał, że chwilowo nie mogło być inaczej. Ale upłynęły miesiące i ludzie przychodzący ze swymi sprawami nadają się zbywani, często z powodu zwykłej niekompetencji, coraz więcej spośród nich rozczarowuje się

I kłnie. Wałęsa nie przywiązuje wagi do swego podwórka, którego wygląd wystawia mu świadectwo".

W tym czasie tworzące się wokół MKZetu różne placówki typu agencji informacyjnych, biur interwencji itp. zaczyna właśnie obsiadać ekspansywna młodzież, głównie RMP-owskiej proweniencji. Bądkowski sympatyzował z Ruchem Młodej Polski jeszcze przed Sierpniem, pisywał w "Bratniaku", jego ważna praca polityczna "Twarz do przyszłości" ukazała się w 1979 roku właśnie nakładem Wydawnictwa Młoda Polska. Uważa jednak, że nie należy pozwolić tej młodzieży zdominować najważniejszych spraw organizacyjnych nowego ruchu za wodowego, ze względu na brak odpowiedniego doświadczenia i kwalifikacji. Drażni go szum, który robią wokół siebie młodzi działacze. Wcześniej zauważa niebezpieczeństwa związane z tym stylem. Boi się, że w tej lokomotywie, która musi ciągnąć codzienny kierat, może zabraknąć pary, bo za dużo idzie w gwizd. Pragnął na to od początku zwrócić uwagę Wałęsy. A także na inne sprawy. 15 września, a więc w dwa tygodnie po powstaniu "Solidarności" pisze do niego list. Sądził, że stanowisko ujęte w punktach na piśmie, które można kilka razy przeczytać i spokojnie przemyśleć, zapewni lepszy wynik niż rozmowa bez takiego przygotowania. Sam Bądkowski przygotowywał się do wszystkiego, co miał robić, bardzo starannie.

Warto przytoczyć ten dokument w całości. Jest charakterystyczny dla stylu pracy Lecha Bądkowskiego. A także wyraża jego przeświadczenie, że praca mówi o czynach, nie słowa. Wypunktowuje też bardzo klarownie niebezpieczeństwa i zagrożenia, które potem się na "Solidarności" zemszczą.

"Drogi Kołego Przewodniczący,

współpracujemy już dość długo, a do tego w warunkach przyspieszających wzajemne poznanie, toteż uważam za potrzebne i pilne napisanie tych uwag dla Pana i również, jeśli uzna Pan to za wskazane, dla członków Prezydium i zresztą innych osób, zaangażowanych w naszą działalność lub szczerze jej życzyliwych.

1. Bez względu na czas najwyższy usprawnić i zrationalizować system pracy Prezydium. Naszymi siłami gospodarujemy chaotycznie i rabunkowo. Ilość zebrań należy stopniowo zmniejszać i ograniczać ich czas. Poza tym trzeba:

- a/ na początku zebrania wskazywać wyraźnie, kto mu przewodniczy i wtedy wszyscy obecni muszą być podporządkowani w sensie formalnym,
- b/ z góry ustalać porządek obrad /w punktach/ i trzymać się go, zostawiając małą rezerwę na inne sprawy w "wolnych godzinach", jako ostatnim punkcie porządku obrad,
- c/ żelazną ręką trzymać mówców w kolejności zgłaszania się do głosu,
- d/ tępić odchodzenie od tematu i gadulstwo.

2. W zebraniach Prezydium mogą uczestniczyć jedynie:

- a/ jego członkowie,
- b/ eksperci rzeczywiście powołani przez Prezydium,
- c/ imiennie zaproszeni goście.

Zebranie Prezydium to nie wiec, w którym udział może brać każdy według swego uznania.

3. Zebrania Prezydium powinny być protokołowane. Póki nas na to nie stać, trzeba przynajmniej założyć księgę prac /co kto doraźnie obowiązany zostaje zrobić/ i uchwał.

4. Należy pilnie uporządkować sprawy finansowe, to jest uchwalić preliminarz, przynajmniej ramowy, i wydatkować pieniądze według niego, na większe wydatki podejmując osobne uchwały Prezydium. Inaczej prędko możemy znaleźć się w kłopotach, także ze strony autentycznej opinii publicznej. Myślę, że prowidorium budżetowe na czas do 31 grudnia 1980 r. dobrze byłoby podać do wiadomości powszechnej.

5. W bliskim czasie należy przewidywać reorganizację Prezydium celem wyrażenia odpowiedzialności i udoskonalenia pracy. Sądzę jednak, że z tą ważną sprawą trzeba jeszcze nieco poczekać, natomiast powinno się już teraz powołać sekretarza Prezydium /spośród członków/ oraz dyrektora biura, odpowiedzialnego za całość funkcjonowania administracji, i ewentualnie gospodarza siedziby, odpowiedzialnego za wyposażenie pomieszczeń, ich czystość itp., obu, jak sądzę, na podstawie umowy o pracę; muszą to być osoby wysokiej kompetencji.

6. Bardzo trudny, delikatny i brzemienisty w skutki jest problem politycznego usytuowania naszego MKZ-u. Protokół porozumienia z 31 sierpnia 1980 r. stanowi, że zrzeszone u nas

związki "nie zamierzają pełnić roli partii politycznej". Jest dla mnie rzeczą oczywistą, że nie pełniąc roli partii politycznej, będą one jednak czynnikiem życia społecznego i politycznego, czynnikiem ważnym. Wynika stąd: złożoność naszej sytuacji w dziedzinie ogólnej polityki w naszym kraju i także na arenie międzynarodowej. Wystąpiło to z całą ostrością w czasie strajku, występuje teraz i będzie występowało w przyszłości. Istotnym miernikiem tego jest stopień zainteresowania prasy zagranicznej.

Uważam, że nie powinno się /i to już w trzy dni po podpisaniu porozumienia oraz bez przedyskutowania sprawy/ powoływać na eksperta Prezydium MKZ-u Pana Jacka Kuronia, osoby niewątpliwie zasłużonej, ale i kontrowersyjnej, a z całą pewnością ukierunkowanej w sposób wybitnie polityczny. Dobrze się stało, że o ile wiem, to powołanie na eksperta J. Kuronia przestało być aktualne.

Wszystkie problemy polityczne, jakie staną przed nami - a bynajmniej ich nie ubędzie - będą wymagały starannego namysłu przed podejmowaniem zbiorowej decyzji.

7. Oczy całej Polski skierowane są na MKZ w Gdańsku. Stąd oczekuje się inspiracji, rady, przykładu, poparcia. Symbolicznym i wzruszającym tego objawem jest zgłoszenie uczestnictwa w gdańskim MKZ-cie niezależnego i samorządnego związku zawodowego pracowników Muzeum Narodowego w Warszawie.

Ta sytuacja, do której bez żadnej wątpliwości nie byliśmy przygotowani i która nam się nie śniła, nakłada na nas olbrzymią odpowiedzialność. Albo sprostaamy im - sytuacji i odpowiedzialności - z chwałą i honorem, albo znajdziemy się na kartach historii jako grupa szlachetnych zapewne amatorów, która nie umiała zmystyfikować sobie ogromu swego znaczenia i wkrótce je straciła, zamykając w ten sposób epizod piękny, lecz o bardzo zredukowanej konsekwencji. Tak czy inaczej historia nie pominie nas milczeniem.

Świadomość powyższej alternatywy musi być w nas zawsze obecna i musi kierować wszystkimi naszymi poczynaniami.

łączę serdecznie uścisk dłoni"

To zakończenie "historia tak czy inaczej nie pominie nas milczeniem" jest bardzo patetyczne, zwłaszcza w zestawieniu z prozą życia, której się trzyma. Bądkowski chwycił twardo po ziemi, dlatego też nie lubił demagogii. Nie dlatego, że brakowało mu skrzydeł. Przeciwnie. Był to wyjątkowo piękny i silny okaz polskiego ptaka, odporny na każdy kłopot. Nie lubił też roztrząsania własnych krzywd, nie przeżywał specjalnych rozczarowań, gdy go spotykały kłopoty czy niezrozumienie, był na to przygotowany, wewnętrznie wolny i swą ją osobowość ukształtował tak, że tę wolność trudno mu było odebrać. Osobiste przykrości nie zaciemniały mu widzenia spraw, tak też było w "Solidarności".

W wywiadzie, udzielonym w sierpniu 1981 roku "Tygodnikowi Kulturalnemu" mówił: " /.../ Te nieporozumienia, ten brud, który się przykleja, trzeba wkałułowac w koszy. Z niecierpliwością wiemy, co się dzieje w czasie rewolucji francuskiej i październikowej. Na tym nie czy to są wielkie koszty? Naszym niebezpieczeństwem i zarazem nadzieją jest demokracja w Związku, nie ma nic lepszego. Oczywiście, czasem jest przykro. Ja mam 61 lat i jakas linię życia, jakiś dorobek i przychodzi do mnie szczeniak, mówi, że się nie znam, nie nadaje, że tylko mnie na śmietnik wyrzucić. /.../ I ja to muszę ścierpieć, to znaczy ja tego nie przetykam, nie powiem, że deszcz pada, gdy ktoś mi chce w głębie płuć. /.../ Aroganctwo takiego jednego smarkacza, który jest członkiem Prezydium Regionu, jest do prawdy ciężkie dla mnie do strawienia. Ale trudno, nie będę z tego powodu rwał włosów z głowy i zrażał się do całości. Z tym że jestem przeciwy łatwej ustępliwosci, my musielimy z tym walczyc".

I w innym miejscu: " /.../ bo poza tym, że ten ruch załapuje także głupców i chamów, z czym trzeba się liczyć, czyli że są to koszty, to przystała tutaj najszlachetniejsi ludzie i najświatlejsze umysły, które bez "Solidarności" nadal objęłyby się jak śmy. A "Solidarność" stworzyła im się przebicia. Nadzieja jest w tej skumulowanej pozytywnej energii, w przełomie psychicznym narodu, który spowodowała "Solidarność".

Nie niepokoily go też specjalnie kłótnie, "potępięncze swary", których sceną bywały często posiedzenia KKP, czy nawet zjazd, nie demonizował ich. Z tego samego wywiadu:

"Różnica pomiędzy "Solidarnością" a Polską Zjednoczoną Partią Robotniczą, jeśli chodzi o walki personalne i różnice zdań, polega na tym, że w "Solidarności" ich się nie ukrywa. Walki są w każdej organizacji. Dobrze jest dotąd, dopóki się to nie dzieje za kulisami".

Najbardziej bał się czego innego. "Ze ten zjazd nie wyłoni jeszcze odpowiednich ludzi, ideowych pragmatyków, tak bym ich nazwał, ludzi ożywionych ideą, którzy jednocześnie wiedzą, jak to zrobić".

Więc jeszcze raz: kwalifikacje, dobra organizacja, kwestie elementarne, te, na które w związku zwracano się najmniejszą uwagę.

Tu wróćmy do listu. Co się z nim stało?

Wąteśa list schował do kieszeni. Rozmowy poważnej nie podjął. Tłumaczył się potem Bądkowskiemu, już po swoim powrocie z internowania, podczas odwiedzin u niego w szpitalu, że nie miał czasu w natłoku wydarzeń, prowokacyjnych pomysłów władzy, udającej bezradność nowych problemów zwalanych na barki "Solidarności", niecierpliwości społeczeństwa, lokalnych inicjatyw strajkowych i tego wszystkiego, co po latach skrupowania i bezwładu ruszyło na kształt lawiny. Może też niebezpieczeństwa nie docenił. W każdym razie nie przedsięwzięto zasadniczych kroków dla sprawnego uregulowania wypunktowanych przez Bądkowskiego spraw. W MKZecie nadal panował bałagan. Jak i w innych agendach Związku. Z pewnością czas mógłby wszystko oczyścić, zdyscyplinować działalność, odsiać piety od ziarna. Tymczasem jednak czas pracować nie tylko dla nas. Wielu działaczy Związku wyciągnęło stąd wnioski, żeby działać par force, wydrzeć, ile się da, dopóki władza jest w szoku. Nie doceniali przeciwnika. Bądkowski ze swoją racjonalistyczną postawą pozostał odosobniony. Podobnie jak większość ekspertów, którzy przyłączyli się do Związku, by mu służyć. /Ciekawe jest, że wielu z nich już w pierwszych dniach stanu wojennego zostało internowanych, wraz z wieloma innymi intelektualistami, sympatyzującymi z ruchem, np. znanymi pisarzami, lub co najmniej ószkalowanych w prasie, jak Siła-Nowicki czy właśnie złożony już ciężką chorobą Bądkowski. Przecież nie za skrajność poglądów. Raczej za nieustępliwą ideowość i za to, że oni "wiedzieli, jak to zrobić".

W tej sytuacji Bądkowski złożył rezygnację z funkcji członka Prezydium /Wąteśa długo nie chciał jej przyjąć/ i ze stanowiska rzecznika prawnego MKZetu /objął je Karol Modzelewski/. Redagował jednak nadal niezależną rubrykę "Solidarności" w "Dzienniku Bałtyckim". Jej obiektywny ton odbijał korzystnie od nerwowej stylistyki większości prasy związkowej. Organizował też tygodnik, z którym wiązał wielkie nadzieje. Było już jednak późno. Napięcie rośnie podniecane przez władze. Działają skutecznie mechanizmy prowokacji. Wkalkulowano wóń wszystko, rachunki krzywd i porachunki osobiste, ludzką małość, zniecierpliwienie społeczeństwa i niedojrzałość polityczną działaczy. A także złą sytuację gospodarczą, kryzys, który się pogłębiał, rzekomo na skutek strajków. Radykalizm narastający w Związku jest wypadkową tego wszystkiego. Z jednej strony funkcją bezradności i gniewu wobec oporu materii, z drugiej - braku poczucia rzeczywistości w grupie przywódczej.

Lech Bądkowski działał w czołowych strukturach organizacyjnych i opiniotwórczych regionu gdańskiego, regionu - dziś trzeba to sobie wyraźnie powiedzieć - niezbyt silnego, jeśli chodzi o wyrobienie polityczne i kwalifikacje przywódcze miejscowych działaczy, na którym jednak spoczywały oczy kraju. Wielki autorytet tego regionu tworzyły stocznie i Lech Wąteśa. Nie był on jednak w stanie sprostać wiązanym z Gdańskiem nadziejom, stać się prądczyną modelowego ruchu na miarę dobrego początku, jaki został zrobiony w sierpniu podczas strajku. Stało się to ze szkodą dla "Solidarności", że wspierający Wąteśę Bądkowski, właściwie jedyny w tym środowisku działacz tego typu, ideowy pragmatyk dużego formatu, był od początku eliminowany z gry.

PO UPADKU

"Solidarność" mimo wszystko przedłużyła prawdopodobnie życie Lecha Bądkowskiego o kilka lat. Był chory od dawna. Już podczas strajku w stoczni nieuleczalna choroba sprawiała mu poważne dolegliwości. Ukrywał to, zdawał się o tym zapominać w wirze wydarzeń. Stan wojenny go psychicznie nie załamał, ale właśnie powalił fizycznie. Jednak walczył, przez ponad dwa lata. Nie chciał się poddać, bo teraz czuł się tym bardziej potrzebny. Zdawał sobie sprawę z pewnej swojej zalety: był dobry na czas próby. Ludzie też wyczuwali tę jego wartość. Przez dom i sale szpitalne, do których w tym czasie ciągle powracał, przewijali się setki osób. Nie tylko przyjaciele i znajomi z Gdańska, także z całego kraju. Kto przyjeżdżał z odczytem, wpaadał, żeby porozmawiać. Odwiedzał go

Lech Wałęsa i Tonia działacze i eksperci "Solidarności" oraz ruchu opozycyjnego. Także dziennikarze zagraniczni, Udzielali wywiadów. Łopoki mógł, starał się pisać. Jego umysł pozostał precyzyjny, zachował przenikliwość sądu. Bardziej niż własny problem /zdawał sobie sprawę z wyroku losu/ zajmowała go kwestia dalszego programu. Ciągle miał nowe pomysły. Po rozwiązaniu ZLP podjął próbę utworzenia bractwa konfraterni literackiej przy Bazylice Mariackiej /władza szybko udaremniła ten pomysł/. Nieustannie sprawdzał, czy nie oparł się na wątpliwość. Było w tym coś heroicznego, to wybiegnięcie w przyszłość, poza kres własnego życia, o którym wiedział, że się kończy. Choroba przynosiła mu wielkie cierpienia. Znosił je z imponującą godnością.

W tym czasie miało miejsce wiele ciekawych rozmów i wydarzeń. Wspomnę tylko o dwu. Na początku stanu wojennego napisał list do premiera Rakowskiego z prośbą o interwencję w sprawie internowanych gdańskich dziennikarzy. Z Rakowskim znał się dobrze, pisywał do "Polityki" także w okresie "Solidarności", był przez niego lekko kokietowany. Prośba zawierała jedno zdanie i wygięta następująco: "Poddaję Panu Premierowi pod rozwagę sprawę uwolnienia z internowania kolegów dziennikarzy z Gdańska, przebywających w obozach od dnia..." Dalej nazwiska i podpis. Odpowiedzi nie otrzymał i chyba na nią nie liczył. Zdobył się na ten list wyłącznie z poczucia obowiązku wobec internowanych kolegów.

Inny fakt, warty tutaj wyjaśnienia. Jeden z młodych działaczy, wówczas się ukrywających, przyszedł do niego umyślnie z wiadomością, że ma powielacz i chciałby wydawać podziemną gazetę. Potrzebował firmy Bądkowskiego. Bądkowski odmówił. Poradził działaczowi, aby na razie się tym nie zajmował. Było to w pierwszych dniach wojny. Wiadomo nam jednak że nosił się z takim zamiarem. Choroba nie pozwalała mu zająć się tym osobiście w sposób kompetentny i racjonalny, jak to było w jego zwyczaju. W przygotowanie do konspiracji i rozsądek tego młodego człowieka nie ufał, choć znał jego odwagę. Jak się potem okazało, nie bez podstaw. Uważał, że należy podjąć działalność konspiracyjną w momencie odpowiednim, dokładnie przygotowując siatkę, żeby nie wytracać sił bez potrzeby.

PRZEZ CZYŚCIEC REFLEKSJI

Taki tytuł nosił tom jego opowiadań wojennych. Są to ostre opowiadania w duchu moralistyki Conrada i Saint-Exupery'ego. Ich zaletą jest skromność relacji, ton powściągliwości w mówieniu o sprawach ostatecznych, takich jak życie i śmierć, odwaga i tchórzostwo, upadek i godność. Ich główną myślą jest, że bitwa trwa w każdym z nas i że człowiek jest w stanie przezwyciężyć swój upadek, a nawet śmierć.

Po rozwiązaniu "Solidarności" Bądkowski powiedział spokojnie, gdy myśmy szaleli: to się nie zmaruje, to się nie może zmarować. Wszystko się teraz oczyści w czystcu refleksji.

Zmarł 24 lutego 1984 roku. Jego pogrzeb był wielką manifestacją, zgromadził około dziesięć tysięcy ludzi. W czasie, gdy emocje społeczne budzą głównie śmierć gwałtowne, w niewyjaśnionych okolicznościach, jest to zastanawiające. Była to więc manifestacja uznania dla pewnej postawy. Dowód tej refleksji, która wszystko, co zaciemnione, oczyszcza.

Lech Wałęsa powiedział: "Żegnamy dziś człowieka, który pierwszy połączył prawdziwymi więzami polskiego intelektualistę z polskim robotnikiem... Wskazywał nam drogę. Jego dziś zabrakło, lecz my pójdziemy dalej".

Prócz Wałęsy obecni byli Bronisław Geremek, Jerzy Stembrowicz, Zbigniew Herbert, Wiktor Woroszyński, Leszek Prorok. I stocznicy, działacze kaszubscy, ludzie kultury, ludzie z ulicy. Na jednym z dziesiątków wieńców można było odczytać napis: "Z podziękowaniem za świadectwo prawdy. Uczniowie Liceum Ogólnokształcącego nr 3 w Gdańsku". To od walczącej szkoły przy ul. Topolowej.

Gdy wyniesiono z kaplicy trumnę, przykrytą flagą "Solidarności", oczekujący by go pożegnali tłum zamarł w ciszy. Potem spokojnie, bez hałas i okrzyków, podniósł się w górę łas rąk na znak, że bitwa trwa. Zaspiewano hymn narodowy i "Boże, coś Polskę".

ERNESTO CARDENAL

MANAGUA NIKARAGUA

OPISZK
GRZEWEC 194

SKARONNY PAMIE.

W 1982 r. wybitny pisarz zachodniemiecki Günter Grass odwiedził Nikaragę; rok wcześniej był w Polsce. Owocem tych dwóch podróży był głośny artykuł w "Die Zeit", w którym autor "Biaśzanego bębena" przeprowadził porównanie między rewolucjami polską i nikaraguańską, dopatrując się w nich podobnych korzeni i treści. W czerwcu 1983 r. doszło do spotkania redakcji i sympatyków "Przeglądu Politycznego" z Grassem. Dyskusja, dotycząca głównie tej kwestii, opublikowana została w trzecim numerze naszego pisma. W jej trakcie nasz rozmówca stwierdził m.in.: "Myślę, że naszą jedyną szansą jest ogólnoeuropejskie porozumienie - pomiędzy krajami Wschodniej i Zachodniej Europy, w ramach którego usiłowano by wywierać wpływ na jedną i drugą potęgę /USA i ZSRR/. Jako drugą możliwość widzę - powracając do tematu sandinistów i "Solidarności" - wzajemny kontakt pomiędzy siłami tych dwóch krajów. Przykładowo: jakiś polski intelektualista, może pisarz, aktywnie powiązany z ruchem opozycyjnym napisałby list do księdza-poety-rewolucjonisty Ernesto Cardenal, po czym mogłaby się wywiązać ożywiona korespondencja. Byłby to most nowego rodzaju, stanowiący zaskoczenie jednocześnie dla obu mocarstw, ponieważ obie te dogmatyczne "świątynie wiary" - komunistyczna i kapitalistyczna - byłyby tym samym zachwiane".

Zdecydowaliśmy się sami nawiązać z Panem korespondencję. Nie dlatego bynajmniej, byśmy dzielili z G. Grassem optymizm co do jej politycznej skuteczności. Sowiecka świątynia trzyma się dobrze, w jakiejś mierze również dzelki Pańskiej i Pana kolegów polityce, amerykańską zaś chwiać nie zamierzamy. Oceny wydarzeń w Nikaragui i w Polsce autorstwa G. Grassa traktujemy jako jeszcze jeden przykład reguły, że kwalifikacje artystyczno-literackie rzadko idą w parze z politycznymi. Oceny te więc nie są również główną przyczyną naszej decyzji. Chcielibyśmy tą drogą uzyskać od Pana kilka odpowiedzi rozjaśniających nasze wątpliwości co do charakteru przemian w Pańskim kraju i zaprezentować własną opinię na podstawie dotychczasowych - z pewnością niepełnych - informacji. Przy okazji chcielibyśmy zauważyć na użytek zachodnich intelektualistów, że z równie historyczną euforią wykrzykują dziś swe poparcie dla rewolucyjnej Nikaragui, jak onegdaj dla Kuby, Wietnamu, Libii, Kambodży, Angoli czy Etiopii.

Nie chcemy być złymi prorokami. Pragniemy wierzyć, że rewolucja nikaraguańska nie okaże się jeszcze jedną wersją sowieckiego despotyzmu i instrumentem Imperiałnej polityki Rosji. Sympatia Polaków do wszystkich, którzy decydują się na walkę z tyranią /a rządy Somozy były nią bez wątpienia/ jest wręcz genetycznie uwarunkowana, nie ma więc mowy o jakichkolwiek uprzedzeniach. Mamy na tyle wyobraźni /doświadczenia nam brak/, by zrozumieć, że amerykańska opieka może być dla małych narodów Ameryki Środkowej nie do zniesienia. Władza Anastasio Somozy, niewątpliwie co najmniej tolerowana przez Stany Zjednoczone, musiała budzić sprzeciw każdego człowieka o elementarnym poczuciu sprawiedliwości. Nic więc dziwnego, że z całej Ameryki Południowej napływały do Was ochotnicy, że duża część światowej opinii publicznej popierała sandinistów w walce z reżimem Somozy. Zrozumiały staje się w tym świetle fakt, że potoczyły się w tej walce nie tylko rozmaite rozruchy ruchu sandinistów, ale także ludzie tak różni jak literat Sergio Ramirez, marksista Tomas Borge, drobny posiadacz Alfonso Robelo, w końcu Pan i ksiądz d'Escoto - duchowni. Wasze wkrocze-

nie na czele rewolucyjnych oddziałów do Managuí 21 lipca 1979 r. było dla wielu triumfem wolności i sprawiedliwości.

Jak jednak zauważył w trakcie rozmowy z nami Günter Grass - sprawowanie władzy deformuje moralność i ideowość każdego praktycznie ruchu politycznego. Zasady, niegdyś - w czasach walki - święte, nagle okazują się niewygodne lub archaiczne. Historia wskazuje jednoznacznie, że najbardziej skłonny do przejścia władzy do negatywnych przemian w sferze praktyki politycznej były rewolucyjne ruchy lewicowe.

Świat i politykę na pewno inaczej się widzi z Managuí, inaczej z Warszawy czy z Gdańska. Nie dziwi nas specjalnie, że - pozostając w opozycji do USA, prowadząc politykę niezgodną z interesami tego mocarstwa - szukacie sojuszników wśród państw komunistycznych. Rozumiemy, że w waszej sytuacji może lepiej zapomnieć o sytuacji wewnętrznej i agresywności zewnętrznej tychże sojuszników - gdyż niewiedza tłumaczy się w żadnym wypadku nie możecie. Bo nie mogą duchowni nie wiedzieć o sytuacji Kościoła i wierzących w Czechosłowacji czy ZSRR, nie mogą poeci nie wiedzieć o sytuacji poetów w ludowym obozie, np. Valladaresa na Kubie, nie może drobny posiadacz nie wiedzieć, co Sowietci - etapami i systematycznie - robili ze skazaną przez historię wrogą klasę drobnych posiadaczy. Nie mogą, nawet jeżeli rządzą krajem ogarniętym niepokojami, nawet jeżeli wypatrują ze strachem amerykańskich helikopterów.

Trudniej nam już zrozumieć Waszą młodzieńczą fascynację marksizmem i wypływającymi z niego dobrodziejstwami, na czele z kolektywizmem. Jesteśmy narodem, który na nieszczęście uczestniczył w historycznym eksperymencie czerwonych równania ludzi w nędzy i zniewoleniu. Naszej grupie zrozumieć to tym trudniej - ze względu na przywiązanie do starych, liberalnych, czy jeśli wolicie, burżuazyjnych zasad zarówno ekonomicznych, jak politycznych i prawnych. Może jednak istnieje inna czerwień od tej, która wzbudza w nas tak zdecydowaną niechęć. Jeżeli rzeczywiście większość waszych obywateli dokonała takiego wyboru i nie przymusiła do niego inaczej myślących, jeżeli nie uzurpujcie sobie reprezentowania większości, jeśli więc - powtarzamy - Nikaraguańczycy pragną tego, jest to wyjątknie ich sprawa. Możemy tylko z rosnącym zainteresowaniem obserwować rozwój wydarzeń.

Reasumując, rozumiemy /co nie znaczy, że aprobujemy/ waszą politykę zagraniczną, uznajemy też wasze prawo do urządzania swej rzeczywistości zgodnie z własnymi wyobrażeniami o tym, co słuszne i prawdziwe, a co nie. Istnieją jednak sprawy, nazwijmy to, kontrowersyjne, za objaśnienie których byłibyśmy szczerze wdzięczni. Oto niektóre z nich:

Dlaczego wydaliliście z kraju walczących w szeregach sandinistów lewaków, zamknęliście niezależny, walczący przeciw w przeszłości z Somozą dziennik "La Prensa" i wprowadziliście cenzurę prasy?

Co spowodowało, że bohater ruchu Eden Pastora walczy w tej chwili z Wami, mówiąc, że "wywlecze nowych notabli z ich limuzyn"?

Dlaczego niszczycie kulturę Indian Miskito z taką zapanietalością, że stanowią oni w tej chwili część bazy społecznej walczącej z Wami partyzantki? Dlaczego pacyfikowaliście ich wioski?

Jak to się dzieje, że kilkunastoletni chłopcy walczą z Wami, nosząc krzyże na pierśsiach?

Dlaczego były członek sandinistówkiej Junty Alfonso Robelo musiał emigrować?

Dlaczego aresztowaliście byłego dysydenta z Gwardii Narodowej Somozy, czyniąc go najpierw ministrem?

Dlaczego opieracie się na specjalistach kubańskich, a więc przedstawicieli kraju, gdzie robotnicy otrzymują najcięższe wyroki za próby organizowania wolnych związków zawodowych?

Czy to prawda, że Rosjanie budują wojskową bazę morską w Estelí?

Czy teologia wyzwolenia, dopuszczając zaprowadzenie sprawiedliwości społecznej przez mocą, sankcjonuje również te wszystkie fakty? Czy czujecie się z tym wszystkim dobrze i na właściwej drodze?

Pytamy o to wszystko, ponieważ znamy z historii własnej i sąsiadów skutki uświecania

środków przez przyszły cel, który w miarę uświęcania coraz bardziej diabolicznych środków przybiera nie tyle twarz Szatana, co Stalina, Somozy, Jaruzelskiego, Pinocheta. Czy my, Polacy, nie mamy prawa przypuszczać, że również w Nikaragui za słowem rewolucja kryje się w rzeczywistości dyktatura, skoro Wasi "rewolucyjni" przywódcy odwiedzając w czerwcu tego roku Polskę rozmawiali nie z rewolucyjnym w sensie spofecznym i narodowym podziemiem, a z dyktatorem dławiącym wolnościowe dążenia Polaków?

Napisał Pan kiedyś wiersz o okrutnym kraju, gdzie wszystko jest imieniem Somozy. Czy nie obawia się, że pojawi się niedługo w Nikaragui poeta, który napisze wiersz o powszechnie znienawidzonym a wszechobecnym imieniu Sandíno? W Polsce wystarczyło 40 lat rządów komunistów, by robotnicy znienawidzili własne niegdys symbole: czerwony sztandar i "Międzynarodówkę".

Widzimy sens pełnego współdziałania wszystkich ruchów wolnościowych na całym świecie, niezależnie od barwy skóry czy ideologii. Jesteśmy głęboko przekonani, że takie współdziałanie jest możliwe, mimo różnych uwarunkowań geopolitycznych, historycznych i społecznych. Zbyt dobrze jednak wiemy ile nadużyć popełniono wobec słowa wolność i ludzi w nią wierzących, o nią walczących. Po własnych doświadczeniach nie możemy też uznać czystości intencji tych, którzy dzierżąc w rękach sztandar wolności współdziałają z najokrutniejszym w dziejach imperium niewoli. Nasze miejsce jest po drugiej stronie barykady.

Pozostajemy z nadzieją i szacunkiem

PRZEGLĄD POLITYCZNY

JADWIGA STANISZKIS

WŁASNOŚĆ ■ RACJONALNOŚĆ ■ DYNAMIKA ■ STRUKTURA

Każda zmiana modelu pojęciowego pokazuje w nowym świetle zjawiska, które stary model pozostawiał w cieniu lub traktował w sposób stereotypowy, zgodny z potocznymi wyobrażeniami. Celem tego artykułu jest zaproponowanie takiego modelu do analizy realnego socjalizmu. Model ten został sformułowany w opozycji do dwóch funkcjonujących współcześnie paradygmatów realnego socjalizmu: koncepcji kapitalizmu państwowego/1/ z jednej strony i schematu analizy określanego jako post-althusseriański /2/ - z drugiej.

Punktem wyjścia proponowanego przeze mnie modelu jest specyficzny charakter praw własności w socjalizmie, określane jako własność niekompletna i niewytężalna. Postępują się tu koncepcją własności wypracowaną przez szkołę property rights/3/. Według tej szkoły własność to uznane społecznie prawo podejmowania działań dotyczących rzadkich i pożądaných przez ludzi zasobów/4/. Kompletny zestaw tych działań /gdy interesującym przedmiotem są środki produkcji/ zawiera: prawo użytkowania, prawo przywłaszczenia wypracowanej nadwyżki i określenia jej przeznaczenia /sposobu użytkowania/, prawo zmiany formy przedmiotu własności przez skapitalizowanie w akcie sprzedaży, prawo decydowania o celu użytkowania i jego sposobie, prawo zaniechania użytkowania, wreszcie prawo przekazania swoich praw - także w formie dziedziczenia. Niekompletność własności w socjalizmie oznacza systemowy brak niektórych z wymienionych wyżej wymiarów praw własności, zlikwidowanych w akcie nacjonalizacji środków produkcji. Brak więc zindywiduowanego - przywiązanego do konkretnych osób - prawa przywłaszczenia nadwyżki. Aparat władzy - niekompletny właściciel - to składająca się z pracowników najemnych korporacja, której celem jest stabilizacja systemu i swojej w nim władzy politycznej, nie zaś, jak to jest w wypadku kapitalisty - tworzenie warunków ciągłej, rozszerzonej reprodukcji kapitału /akumulacja/. Korzyści materialne aparatu są rezultatem zajmowanego miejsca w hierarchii i nie pozostają w ścisłym związku /jak u kapitalisty/ ze zdolnością gospodarci do akumulowania w sensie ekonomicznym. Odwrotnie - w imię stabilizacji politycznej /spokoju społecznego/ - aparat poświęca w długich okresach czasu zarówno formowanie kapitału zmniejszonego jak i zabezpieczanie wartości kapitału stałego /maszyny i urządzenia/. Brak bowiem kolejnego wymiaru prawa własności - możliwości skapitalizowania na własny rachunek posiadanych środków przez wyprowadzenie ich na rynek oraz brak dziedziczenia - powoduje, że dekapitalizacja majątku nie jest przez nikogo traktowana jako koszt, choć stanowi faktyczny ubytek. Jak widać z powyższego, brak niektórych wymiarów prawa własności w socjalizmie prowadzi do nieobecności określonych interesów i - w konsekwencji - do nietraktowania pewnych ubytków przedmiotu własności jako kosztów.

Innym aspektem niekompletności praw własności w socjalizmie jest zlikwidowanie niektórych technicznych warunków egzekwowania tych praw. Tak więc jako logiczna konsekwencja nacjonalizacji przestał istnieć rynek na kapitał. Stworzono bowiem jednolity, państwowy fundusz własności, podczas gdy rynek na kapitał wymaga wielości wyodrębnionych prawnie właścicieli kapitału.

Druga cecha własności środków produkcji w socjalizmie - ni ew y t ą c z n o ś ć w y n i k a, po pierwsze, z faktu przywiązania wspomnianych wyżej, niekompletnych praw własności do zespołów ról organizacyjnych, nie zaś konkretnych osób, i rozproszenie tych praw w wieloszczeblowym i wielocentrowym systemie instytucji władzy politycznej, administracyjnej i gospodarczej o nieprecyzyjnie określonych kompetencjach i bez odpowiedzialności ekonomicznej /finansowej/. Innym wyznacznikiem niewyłączności własności jest systemowa niemożność wyłączenia z korzyści /kosztów użytkowania określonych środków produkcji/ osób nie związanych z tą działalnością. Owa trudność w zapewnieniu wyłączności korzystania - a jest to ważny wymiar własności w klasycznym kanonie prawa rzymskiego - wiąże się z metodologiczną niemożnością określenia w gospodarce socjalistycznej gdzie powstaje nadwyżka w sensie ekonomicznym, a nie tylko finansowym. Wynika to z niemożliwości - ze względu na brak rynku na kapitał i czynniki produkcji - wyceny tych ostatnich zgodnie z ich faktyczną rzadkością. Zarówno koszty jak i korzyści są w tej sytuacji rezultatem administracyjnie ustalonej konwencji liczenia i niewiele mówią o tym, którzy producenci wytwarzają rzeczywistą nadwyżkę ekonomiczną, a którzy funkcjonują na ich koszt.

Jak widać z powyższego, standardem, z którym porównują prawa własności w socjalizmie, jest własność kompletna i wyłączna, w której:

- istnieje prawo /i techniczna możliwość/ wykonywania wszystkich wymienionych wyżej operacji składających się na użytkowanie dobra, dysponowanie nim i korzystanie z rezultatów użytkowania;
- poszczególne wymiary prawa własności przywiązane są do konkretnych osób, zaś osoba uznana za prawnego właściciela ponosi odpowiedzialność typu ekonomicznego;
- zjawisko eksterjalizacji kosztów i przechwytywania przez innych korzyści z tytułu użytkowania i dysponowania danym zasobem jest maksymalnie ograniczona, zaś owe korzyści oddają ekonomiczny sens działania mierzony efektywnością użytkowania rzadkich w danym społeczeństwie zasobów.

Akt nacjonalizacji zlikwidował możliwość takiej kompletnej i wyłącznej własności; celem tego artykułu jest pokazanie ekonomicznych i społecznych konsekwencji tego faktu. Powyższego nie należy mylić z zjawiskiem ograniczenia praw własności przez państwo we współczesnym kapitalizmie. Państwo stawia tam warunki dotyczące sposobu egzekwowania poszczególnych wymiarów prawa własności, ale nadal pozostaje ona kompletną. Owe ograniczenia wkraczają bowiem w formie dodatkowego parametru w procesie decyzyjnym. Jest to jakkolwiek inna sytuacja niż ta, w której po zlikwidowaniu pewnych wymiarów prawa własności oraz określonych mechanizmów ekonomicznych i interesów, wkracza w ich miejsce państwo, zastępując je działaniami typu administracyjnego. Co więcej, we współczesnym kapitalizmie interwencjonizm państwowy nie likwiduje metodologicznej możliwości wyceny czynników produkcji zgodnie z ich faktyczną rzadkością - w socjalizmie likwidacja taka stała się faktem wskutek aktu nacjonalizacji i likwidacji rynku na te czynniki.

Niekompletność i niewyłączność własności w socjalizmie jest odpowiedzialna za występowanie w tym systemie trzech barier racjonalności ekonomicznej, nie dających się zlikwidować całkowicie żadnymi zabiegami organizacyjnymi /reformami wewnątrzsystemowymi/. Bariery te występują we wszystkich odmianach socjalizmu - od radzieckiej do jugosłowiańskiej. Są to:

1. SPLOT TENDENCJI DO NADMIERNEGO INWESTOWANIA Z OBJAWAMI DEKAPITALIZACJI/5/. Spłot ów ma, moim zdaniem, źródło w niekompletnym charakterze własności, a konkretnie w wynikającym z owej niekompletności braku interesu w zasobach kapitałowych. Z jednej bowiem strony dekapitalizacja - ze względu na typ własności - nie jest traktowana przez żadnego z uczestników systemu jako koszt. Odwrotnie, aparat władzy i społeczeństwo wydają się mieć wspólny doraźny interes w postugiwaniu się dekapitalizacją jako swoistym amortyzatorem bieżących konsumpcji. Z drugiej strony, ów brak interesu w pomnażaniu zasobów kapitałowych /czyli w inwestycjach/ zmusza państwo do tzw. miękkiego finansowania owych inwestycji. W tej sytuacji stają się one dla przedsiębiorstwa /resortu/ nie tyle wydatkiem, ile rodzajem dodatkowej konsumpcji, atrakcyjnej niezależnie od jej ekonomicznego sensu /lub braku sensu/. Sprzyja temu oderwanie w socjalizmie kategorii akumulacji od zjawiska formowania kapitału w sensie ekonomicznym. Ta pierwsza kategoria jest bowiem kategorią podziału dochodu narodowego na fundusz akumulacji i konsumpcji. /I może się tu zwiększać kosztem konsumpcji - niezależnie od faktycznego poziomu wyprodukowanej nadwyżki; dobrą ilustracją powyższego jest zjawisko tzw. pierwotnej akumulacji w socjalizmie, mającej swoje źródła między innymi w dekapitalizacji rolnictwa/. Dodatkową konsekwencją braku intere-

su w zasobach kapitałowych jest brak możliwości egzekwowania odpowiedzialności /nie-
czynność kategorii "bankrutstwa" i "kontraktu"/ oraz związana z tym niemożność stosowania
instrumentów cywilnie prawnych w gospodarce.

2. Drugą barierą racjonalności ekonomicznej jest BRAK RYNKU NA KAPITAŁ. Jest to lo-
giczna konsekwencja aktu nacjonalizacji, likwidującego wielość wyodrębnionych prawnie
właścicieli kapitału/6/. Ów brak oznacza również nieobecność w sposób ciągły me-
chanizmu samoregulacji struktur gospodarczych, równoważonych przez swobodny przepływ ka-
pitału w pogoni za zyskiem do obszarów wzmożonego popytu. W socjalizmie substytutem ryn-
ku na kapitał musi być z konieczności administracyjna redystrybucja środków, przyjmują-
ca niekiedy formę regulacji przez kryzysy/7/.

3. Kolejną systemową barierą racjonalności ekonomicznej jest BRAK POWIĄZANIA MIĘDZY
TYM CO JEST POSTRZEGANE PRZEZ PRODUCENTÓW JAKO ICH KORZYŚĆ I KOSZT, A KORZYŚCIĄ I KOSZ-
TEM OGÓLNOŚPOŁECZNYM /mierzoną efektywnością użytkownika rzadkich w danym systemie za-
sobów/. Ów brak powiązania wynika z konwencyjnego charakteru efektu finansowego przed-
siębiorstw ze względu na systemowo uwarunkowaną, metodologiczną niemożność wyceny czyn-
ników produkcji zgodnie z ich faktyczną rzadkością /a więc niemożność ekonomicznej obie-
ktywizacji kosztów produkcji/. Ta arbitralność wyceny jest nieuniknioną konsekwencją
braku konkurujących ze sobą właścicieli czynników produkcji i rynku na te czynniki,
przybliżającego ich wycenę do odwzorowania ich faktycznej rzadkości. Dodatkowym czynni-
kiem, wzmacniającym ową arbitralność jest doktrynalnie uwarunkowana teza o pracy jako
jedynym źródle wartości, powodująca trudności wyceny czynników produkcji nie pochodzących
z pracy /ziemia, woda, kopaliny/. W tej sytuacji korzyść producenta /zysk finansowy/ jest
przede wszystkim odbiciem korzystnej dla niego - i sformułowanej w drodze przetargu or-
ganizacyjnego - konwencji liczenia i niewiele mówi o ekonomicznym sensie jego działania
i jego ogólnospołeczny efekcie. Trudno też w tej sytuacji określić, gdzie powstaje aku-
mulacja /nie finansowa, ale faktyczna, wyrażona pojęciem wartości dodatkowej/. Akumula-
cja staje się w tych warunkach kategorią podziału w skali makro, a nie kategorią pro-
dukcji. Zmienia się też - w porównaniu z gospodarką opartą na własności prywatnej i ry-
nku - mechanizm wyzysku.

Powyższe, wraz z nieograniczoną, ze względu na konwencyjność efektu, możliwością ad-
ministracyjnej redystrybucji napięć w systemie, ma zasadnicze znaczenie dla faktycznego
kształtu i społecznej percepcji struktury społecznej. Nie tylko bowiem zmienia się - w
porównaniu z kapitalizmem - dynamika sprzeczności związanej z akumulacją, ale zmniejsza
się użyteczność kategorii "interesu ekonomicznego" dla wyjaśnienia procesów strukturo-
twórczych i przebiegu osi konfliktowych. Wróć do tej problematyki w dalszej części ar-
tykułu.

Wracając do omawianego w tym fragmencie braku związku między korzyścią-kosztom pro-
ducenta a korzyścią-kosztom ogólnospołecznym, należy podkreślić, że sytuacja ta nie
sprzyja efektywnemu użytkowaniu rzadkich zasobów i innowacjom technologicznym/8/. Kon-
wencyjność efektu i arbitralny charakter semantyki ekonomicznej uniemożliwiają również
obiektywizację ekonomicznego sensu decyzji. Takimi momentami obiektywizacji / w krzy-
wym zwierciadle/ stają się kryzysy ekonomiczne, gdy dźwigni są gospodarka sygnalizuje,
że jej swoiste i nie uwzględnione w konwencjach zarządzania prawa zostają złamane. W mo-
mentach takich podejmuje się oparte na intuicji korektury. Kryzys - będąc jedynie g l o b a l n y m
zakwestionowaniem konwencji - również nie obiektywizuje bowiem sensu p o s z c z e g ó l n y c h
kategorii pojęciowych używanych w gospodarce. Po owych doraźnych
korekturach artefaktowa forma, kamuflująca "ekonomiczność" gospodarki, znowu staje się for-
mą jedyną. W warunkach permanentnego, pełzającego kryzysu /trwała nierównowaga/ - tak
jak w Polsce obecnie - nie ma już nawet owych chwil doraźnej, skokowej regulacji.

Skutkiem opisanego wyżej systemowego braku pewnych mechanizmów i interesów jest -
oprócz wymienionych barier racjonalności ekonomicznej - także swoiste usytuowanie pań-
stwa. Państwo, dopełniając niekompletną własność, czyli zastępując nieobecne mechanizmy
i interesy działaniami administracyjnymi, staje się bowiem nieważnym elementem sto-
sunków produkcji, a jego instrumenty /w tym przemoc/ istotnymi czynnikami produkcji.
Rozpatrywanie swoistego ułokowania państwa w tzw. bazie jako logicznego dopełnienia sto-
sunków własnościowych, odpowiada standardowi analizy formacji sformułowanemu przez Hin-
dessa i Hirsza/9/. Standard ten uznaje za poprawną analizę, która:

- opisyje w oparciu o dane empiryczne stosunki produkcji / w tym szczególnie stosunki

własnościowe/;

- dedukuje odpowiadający tym stosunkom charakter czynników produkcji /w tym niezbędne zakres i formę interwencji/ czynnika politycznego w gospodarce/, oraz granice i warunki reprodukcji tych stosunków;

- weryfikuje powyższe przy pomocy danych empirycznych.

Substytucja przez państwo zlikwidowanych w akcie nacjonalizacji mechanizmów i interesów nie jest substytucją neutralną. Aparat władzy, stanowiący korporację o zmieniającym się składzie personalnym - a więc nie klasę społeczną - wypełnia bowiem swoją rolę kierując się specyficzną funkcją celu/10/. Jest nią maksymalizacja wyłącznej kontroli nad powstającymi w systemie wartościami użytkowymi/11/, w celu ich dalszej redystrybucji w imię racjonalności dominacji. W pierwszej fazie historii systemu była to radykalna polityczna mobilizacja zasobów dla realizacji totalitarnej utopii, w tym budowy kompleksu militarno-przemysłowego. Obecnie racjonalność dominacji sprowadza się do racjonalności kontroli /stabilizacji/. Powyższa funkcja celu aparatu, spleciona z jego doktrynalnymi uwarunkowaniami określającymi w sposób aprioryczny "postępowość" poszczególnych form życia społecznego, decyduje o preselekcji nie tylko celów ale i środków działania w gospodarce. Akceptowane są te, które - niezależnie od efektów ekonomicznych - bądź to gwarantują maksymalizację aktualnej kontroli/12/, bądź też - w rzadkich momentach wycofania się państwa z pewnych obszarów działania gospodarczego ze względu na zagrożenie materialnych podstaw reprodukcji systemu - pozwalają w każdej chwili taką kontrolę odzyskać.

Opisany wyżej charakter praw własności w socjalizmie leży u podstaw dwóch mechanizmów o zasadniczym znaczeniu dla funkcjonowania i dynamiki systemu. Jest to - z jednej strony - specyficzny mechanizm przyczynowości strukturalnej, z drugiej - proces reprodukcji materialnych podstaw systemu.

Pojęcie przyczynowości strukturalnej jest konstrukcją teoretyczną wyrażającą wpływ struktury na samą siebie. Mechanizm przyczynowości strukturalnej można odtworzyć w sposób hipotetyczny obserwując prawidłowości reprodukowania się bądź zmiany /i to zarówno w warstwie interakcyjnej jak i w sferze świadomości/ stosunków społecznych składających się na sposób produkcji. W wypadku socjalizmu w sposób produkcji wliczamy reprodukowanie się państwa z jego specyficzną funkcją celu jako dopatnienia niekompletnej własności. Specyficzna przyczynowość strukturalna w socjalizmie, upodobniająca zresztą ten system do innych znanych w historii systemów, w których państwo było również niewalgiem elementem stosunków produkcji/13/, posiada nietransformacyjny charakter. Oznacza to, że przyczynowość ta pracuje raczej na rzecz reprodukcji niż zmiany systemu, ze względu na swoisty spłot "bazy" i "nadbudowy". Tak więc w systemie socjalistycznym państwo znajduje się równocześnie w "bazie" / jako jeden z czynników produkcji i logiczne dopełnienie niekompletnej własności/ i w "nadbudowie" /regulując i gwarantując środkami politycznymi reprodukowanie się takiego właśnie typu własności/. Powyższe przesądzenie stanowi podstawę mechanizmu przyczynowości strukturalnej opartego na stałym przywoływaniu państwa jako elementu stosunków produkcji, przy równoczesnym politycznym eliminowaniu możliwości zmiany typu własności odpowiedzialnego za to przywołanie. Interesy, zarówno po stronie władzy jak i społeczeństwa, związane z trwaniem skonwencjonalizowanej gospodarki /a więc niekompletnej własności/ reprodukują równocześnie - najczęściej w sposób nieświadomy - sferę polityki, w tym państwo jako element stosunków produkcji. I odwrotnie - interesy aparatu władzy, związane z maksymalizacją sfer wyłącznej kontroli, reprodukują równocześnie sferę gospodarki w jej obecnym kształcie.

Drugim mechanizmem owej nietransformacyjnej przyczynowości strukturalnej jest postępująca homogenizacja /totalizacja/ form życia społecznego, eliminująca możliwość przejawiania się swoistości i różnorodności jego treści. Konwencyjność form życia gospodarczego, w tym metodologiczna niemożność określenia związku między korzyścią-kosztom producenta i korzyścią-kosztom ogólnospołecznym, oraz systemowo uwarunkowany brak reprezentowania w procesie decyzyjnym niektórych faktycznie ponoszonych wydatków jako oszów produktu, ze swoistość gospodarki, wyrażająca się w ekonomiczno-technicznych zasadach reprodukcji, przejawia się tylko w momentach kryzysów i to w formie całostkowego zakwestionowania owej konwencji. Trudno marzyć o racjonalności ekonomicznej, gdy nawet pojęcie opanowanie działalności gospodarczej jako swobodnego procesu reprodukcji nie ma miejsca. Nie myślę tu oczywiście o opanowaniu teoretycznym, opartym na założeniach idealistycznych, ale opanowaniu w toku codziennego działania.

A oto inny przykład: w sytuacjach między kryzysami, tzw. "normalnych", różnorodność, dezeń i porządek poszczególnych grup w gospodarce przejawia się poprzez manipulowanie instrumentami zarządzania czerpanymi z jednego, zupifikowanego repertuaru. Pozwala to wprawdzie w pewnym stopniu zaspakajać potrzeby materialne wewnątrz skonwencjonalizowanej gospodarki, ale równocześnie uniemożliwia ujawnienie się różnorodności i swoistości dążeń poszczególnych grup. W sytuacjach kryzysów politycznych odrzuceniu zostaje z kolei doktrynalny schemat artykulacji oparty na koncepcji kierowniczej roli partii, przynajmniej sobie - w myśl mitu awangardy - monopol definiowania potrzeb społecznych i wyłączenie prawo ewentualnego dopuszczenia na scenę grup typu korporacyjnego. Właśnie ów model, poprzez swoją aprioryczność i doktrynalność, uniemożliwia ujawnienie się całej różnorodności interesów i dążeń społecznych i zmusza do opisanych wyżej niejawnych gier interesów. Równocześnie jednak wyciska on swoje piętno nawet wtedy, gdy zostaje zakwestionowany - poprzez narzucenie konwencji, w której formuluje się kontrschemat. Ów kontrschemat, ze względu na charakter tego, czego odrzucenie pragnie wyrazić, jest już z góry w pewnym stopniu zdeterminowany co do płaszczyzny i formy artykulacji: musi być na przykład a rebours równie homogeniczny i aprioryczny. Powyższe zjawisko odwróconej, ale zależnej formy artykulacji jest - na zasadzie paradoksu - tym wyraźniejsze, im bardziej masowy i autentyczny jest sam bunt. Wróć do tego w dalszej części rozważań.

Problem homogeniczności formy, kamoflującej swoistość społecznej treści poszczególnych instancji systemu, występuje i w innych wymiarach. Tak więc język ideologii jako obowiązkowy język wewnętrzznego komunikowania się aparatu, skutecznie blokuje możliwość ujawnienia się różnic w jego tonie i stanowi w związku z tym skuteczną formę kontroli uniemożliwiającą wyartykułowanie niezadowolenia i projektów zmian/14/. Wreszcie postępująca entropia /ujednolicenie/ statusów materialnych w gospodarce państwowej w miarę nasilenia się tak zwanej gospodarki etycznej/15/ również odrywa stratyfikację od sfery reprodukcji materialnej, podporządkowując ją racjonalności stabilizacji kontroli i wciągając coraz szersze kręgi społeczeństwa w sferę konwencyjnej, artefaktowej, homogenicznej formy/16/.

Wszystkie zasygnalizowane przejawy homogenizacji formy utrudniają wyartykułowanie różnic i swoistości poszczególnych elementów tkanki społecznej i są drugim - po reprodukowaniu państwa w "bazie" - elementem nietransformacyjnej przyczynowości strukturalnej. Wróć do tej problematyki analizując zjawisko martwej struktury.

Trzecim elementem przyczynowości strukturalnej w socjalizmie jest niemożność pojawienia się w zrealizowanej gospodarce interesów materialnych mogących spowodować transformację systemu. Inaczej mówiąc, nie występuje tu sytuacja jaka istniała np. przy przejściu od feudalizmu do kapitalizmu, gdy wyraźnie wykrystalizowały się interesy ekonomiczne rozsądzające system, dla których relacja między korzyścią a kosztem ewentualnej zmiany coraz wyraźniej kształtowała się na rzecz tej pierwszej. W socjalizmie sytuacja jest inna. W miarę rysowania się schyłkowości ekonomicznej systemu, gdy - po wyczerpaniu się rezerw ekstensywnych - trzy wymienione na wstępie bariery z całą mocą ujawniają swój destrukcyjny charakter, coraz większe kręgi społeczeństwa są wciągane w orbitę gospodarki etycznej, zaś koszty zmiany /np. typu własności/ rosną zarówno dla aparatu władzy jak i społeczeństwa. To ostatnie bowiem, zanim odczułoby pozytywne efekty ekonomiczne zmiany, musiałyby się liczyć z ograniczeniem gospodarki etycznej, szybko rosnącymi zróżnicowaniami statusów materialnych, wzrostem niepewności i ujawnieniem się głębokich konfliktów w tonie samego społeczeństwa. Co więcej, w tej fazie historii systemu zgodzeniu ulega ekonomiczna sprzeczność między właścicielem środków produkcji /aparatem/ a społeczeństwem. Wiąże się to z brakiem interesu aparatu w formowaniu kapitału i w zapobieganiu dekapitalizacji majątku trwałego. Jego funkcja celu /stabilizacja przez redystrybucję, niezależnie od kosztów ekonomicznych/ i oczekiwania społeczeństwa /reprodukcowanie przynajmniej bezpiecznego biologicznie poziomu konsumpcji i eliminowanie różnic prowadzących do poczucia względnego upośledzenia/ zbliżają się do siebie, mimo malejącej puli środków do podziału.

Kategoria "interesu ekonomicznego", rozumianego jako względnie trwałą taktiką działania ekonomicznego mającego na celu zaspokojenie potrzeb materialnych, traci w tej fazie sens, choć potrzeby materialne pozostają. Są one jednak zaspakajane przy pomocy administracyjnego pośrednictwa państwa, gier organizacyjnych i presji politycznych. Z kolei autentyczne interesy ekonomiczne pojawiające się na obszarze szybko rosnącej tzw. drugiej gospodarki/17/ - poza kontrolę aparatu władzy - nie mogą stać się z kilku powodów zaczątkiem alternatywnych stosunków produkcji.

Po pierwsze, interesy te nie mogą się zagregować jako alternatywa dla gospodarki państwowej, gdyż są w dużym stopniu oparte na półlegalnych i nielegalnych formach zasilania. Pozostają rozproszonym, luźnym zbiorem, a nie strukturą i nie wytwarzają wyartykułowanego interesu grupowego. Trudno w oparciu o takie formy tworzyć uznaną społecznie strukturę. Zapieczeniem materiałowym drugiej gospodarki jest najczęściej gospodarka państwowa: dla wielu nieefektywność tej ostatniej jest głównym źródłem dobrych interesów /np. przedsiębiorstwa polonijne/. Druga gospodarka w żadnym razie nie chce się więc stać gospodarką dominującą. Jest to swoista symbioza, dopełnianie, a nie konkurencja.

Po drugie, istnienie drugiej gospodarki czyni życie możliwym i zmniejsza presję na zmianę. Wróć do społecznych skutków owego drażnienia systemu od wewnątrz /gdy - choć bez zmiany systemu - coraz mniej sfer zaspokajających potrzeby społeczeństwa kontrolowanych jest przez państwo/ w części poświęconej materiałnemu reprodukowaniu się systemu.

Opisany wyżej mechanizm przyczynowości strukturalnej, odpowiedzialny za reprodukowanie się szeroko rozumianych stosunków produkcji splecionych ze sferą polityki jest - jak już podkreślałam - mechanizmem nietransformacyjnym. Zmiana w systemie może nastąpić jedynie w wyniku dezorganizacji owej przyczynowości strukturalnej, nie zaś jako rezultat jej wewnętrznej dynamiki/18/. Jednym z takich czynników dezorganizujących może stać się zatemianie materialnych warunków reprodukcji systemu.

Reprodukcja materialnych podstaw systemu to drugi proces determinowany przez typ własności. Opisane wyżej trzy systemowe bariery racjonalności ekonomicznej są odpowiedzialne za nieuchronne pogarszanie się tych warunków wraz z wyczerpywaniem się rezerw ekstensywnych. Problem reprodukowania się materialnych podstaw systemu można rozpatrywać z dwóch punktów widzenia: opisując dynamikę owej reprodukcji lub próbując wznaczyć poziom reprodukcji materialnych podstaw systemu, poniżej którego mechanizm przyczynowości strukturalnej, reprodukującej stosunki społeczne, może ulec dezorganizacji. Ten pierwszy punkt widzenia był wielokrotnie rozwijany/18/, więc w tym miejscu ograniczę się do zasygnalizowania tylko podstawowych elementów. Charakter własności w socjalizmie, prowadzący nieuchronnie do braku pewnych mechanizmów i interesów, jest przyczyną innego niż kapitalistyczny typu uprzemysłowienia. Nie jest więc zaskoczeniem, że jest to proces ekstensywny - ze względu na systemowy brak sił innowacyjnych i interesów w oszczędzaniu zasobów oraz traktowanie inwestycji jako formy konsumpcji. Logiczna jest także rola państwa, inna niż w toku kapitalistycznej industrializacji. Dopełnianie niekompletnej własności, redystrybucja jako substytut rynku na kapitał, polityczne mobilizowanie zasobów i kreowanie popytu /wraz z błędnym kołem produkcji dla produkcji/ to tylko niektóre, specyficznie socjalistyczne obszary gospodarczej aktywności państwa. Bariery rozwojowe w socjalizmie są związane ze wspomnianymi na wstępie zjawiskami, eliminującymi racjonalność ekonomiczną. Wśród tych barier należy wymienić szczególnie dwie:

- finansową, gdy nieinnowacyjna gospodarka nie jest w stanie obejść się bez symbiotycznych zapożyczeń z Zachodu, a równocześnie nie stać jej finansowo na takie zapożyczenia ze względu na niekonkurencyjność i niską jakość własnych wyrobów/19/;

- zasileniową, związaną z wyczerpywaniem się rezerw ekstensywnych i systemową trudnością przejścia do rozwoju intensywnego. Typową reakcją na pojawienie się tej bariery jest polityczne mobilizowanie zasobów /np. w formie militaryzacji czy integracji w ramach RWPG, która dostarcza dodatkową - skończoną - pulę zasobów/ za cenę regresu cywilizacyjnego w postaci prymitywizacji struktur produkcji i konsumpcji, powiększenia dystansu technologicznego wobec Zachodu i większej jeszcze zależności politycznej w ramach obozu. Powyższemu towarzyszy rozszerzenie się gospodarki etycznej, nastawionej na względnie egalitarne zaspakajanie podstawowych potrzeb. Jest to znów logiczne w sytuacji, gdy materialna rozszerzenie gospodarki etycznej prowadzi z kolei do finansowego kryzysu państwa/20/. Jest to obok objawów kryzysu neomalthusiańskiego/21/, nowy typ kryzysu w socjałizmie. Co więcej, dawne cykle kilkuletnie zastąpione zostają krótszymi /rocznymi/ drganiem gospodarki/22/.

Zanim przejdę do zaprezentowania kategorii mogących pomóc w określeniu progów, po przekroczeniu których może nastąpić dezorganizacja mechanizmu przyczynowości strukturalnej, chciałabym zwrócić uwagę na swoisty paradoks. Otóż stopniowe pogarszanie się ma-

terialnych warunków reprodukcji systemu początkowo konsoliduje, wzmacnia reprodukcją system przyczynowo strukturalną. Coraz szersze kręgi społeczeństwa są bowiem wciągane w orbitę gospodarki moralnej i komercyjności, stanowiących odrębne totalizacji formy, kamuflującej świadomość poszczególnych instancji struktury. Co więcej, ewentualne przyszłe załamania mechanizmu przyczynowości strukturalnej może nastąpić w momencie, gdy nie będą istniały w systemie skryształizowane podstawy innych, alternatywnych sposobów produkcji, zaś koszty społeczne każdej zmiany w kierunku racjonalności ekonomicznej będą bardzo wysokie ze względu na wyniszczenie przez stazyzję poprzedniej infrastruktury systemu/23/. Stąd duże niebezpieczeństwo nasilenia się w takim momencie objawów dezorganizacji społecznej, wzrost roli utopii /także tych najbardziej irracjonalnych/ i ciążenie ku różnej maści autorytaryzmom - ze strachu przed chaosem, także poznowszym, gdy stare, znane pojęcia ustracą sens. Jest to oczywiście daleka przyszłość; być może zresztą uda się utrzymać reprodukcję materialnych podstaw systemu powyżej progu dezorganizacji przyczynowości strukturalnej. Teoretycznie jednak trzy wspomniane na wstępie bariery czynią zasygnalizowaną wyżej apokalipsę możliwą - chyba żebym wcześniej uruchomiono procesy zmian - wbrew dotychczasowym interesom wszystkich uczestników systemu i wbrew przyczynowości strukturalnej.

Pierwszy ze wspomnianych wyżej progów materialnej reprodukcji podstaw systemu dotyczy biologicznej reprodukcji gospodarstw domowych na /kulturowo zdeterniowanych/ minimalnym poziomie. Załamanie się owej reprodukcji /a potrzeb i standardów nie da się skonwencjonalizować; jest to jedyna instancja życia gospodarczego - ale już poza obszarem produkcji - która broni się przed homogenizacją i zachowuje swoją swoistość/ może zdeorganizować przyczynowo strukturalną opartą na gwarancjach choćby minimalnego bezpieczeństwa socjalnego. Wspomnianą wyżej niemożność skonwencjonalizowania potrzeb gospodarstw domowych prowadzi zresztą do charakterystycznego w socjalizmie konfliktu; gdy pracujący w sektorze państwowym-członkowie rodziny są zainteresowani w kontynuowaniu artefaktowych stosunków gospodarczych /o ile te przynoszą im korzyści materialne, minimalizują ryzyko i odpowiedzialność/, a równocześnie są przeciwko samym sobie i pozostałym członkom rodziny jako konsumentom, cierpiącym z powodu niskiej efektywności skonwencjonalizowanej gospodarki. To uwewnętrznienie jednej z podstawowych sprzeczności socjalizmu, a także trudność zagregowania rozproszonych interesów konsumentów, przyczynia się zresztą także do reprodukcji systemu. Napięcia gospodarstw domowych mogą stać się w tej sytuacji siłą transformacyjną dopiero w warunkach zagrożenia elementarnych potrzeb.

Drugi próg reprodukcji materialnych podstaw systemu to granica katastrofy ekologicznej. Tej sfery też nie można skonwencjonalizować; w pewnym momencie ujawnia swoistość i zaczyna stawiać opór. Przykładem obecne kłopoty z wodą, stanowiące poważne ograniczenie dalszego wzrostu typu ekstenywnego.

Trzeci próg dotyczy samego aparatu władzy. Chodzi tu przede wszystkim o reprodukcję materialnych zasobów niezbędnych dla utrzymania i opłacania tego aparatu. Zasoby te mogą być do pewnego stopnia zastąpione przez takie wartości jak dostęp do informacji, wojniejszy spadek stopy życiowej niż u reszty społeczeństwa, czy wreszcie obietnica ochrony. Pewne minimum środków materialnych jest jednak niezbędne. Konieczne jest również zachowanie pewnego minimum realnych procesów do kontrolowania. Każda władza potrafi się wprawdzie żywić sama, produkując wciąż nowe regulacje /i w związku z tym nowe obszary kontroli/ ale obserwowane obecnie w krajach socjalistycznych kurczenie się kontrolowanych przez władzę procesów realnych/24/ może uruchomić nowy, niezany przedtem mechanizm. Wzrost fikcyjności /komercyjności/ sfery regulacji/ i połączone z tym poczucie absurdu może się nianowicie zderzyć w świadomości potocznej z coraz bardziej powszechnym pojawianiem się standardów racjonalności ekonomicznej w skali mikro /druga gospodarka zaspakajająca elementarne potrzeby społeczeństwa/. Wprawdzie - jak już podkreślałam - gospodarstwa ta nie może się zagregować i ustrukturalizować wewnętrznymi, ale - przez swoje zderzenie z absurdem - może wyznaczyć w przyszłości nową oś konfliktu/25/. Co więcej, sytuacja jest obecnie inna niż w okresie NEP-u: sfera drugiej gospodarki nie może być zlikwidowana /podobnie jak sektor prywatny/26// ze względu na ich stabilizujący wpływ na całość systemu.

Dopiero jednak empiryczna analiza relacji między mechanizmem przyczynowości strukturalnej a procesem reprodukcji materialnych podstaw systemu pozwoliłaby określić w jakiej fazie swej historii znajduje się aktualnie formacja socjalistyczna: w fazie

schytku czy fazie konsolidacji? To pierwsze miałyby miejsce, gdyby pogarszanie materialnej reprodukcji systemu było procesem nieodwracalnym i próg dezorganizacji przyczynowości strukturalnej był bliski. To drugie - gdyby udało się zmobilizować dodatkowe rezerwy ekstenzywne /choćby za cenę regresu cywilizacyjnego i zastosowania radykalnych środków politycznych i administracyjnych/, lub gdyby reformy, ograniczone trzema wspomnianymi barierami systemowymi, były jednak w stanie odzyskać choć część rezerw ekstenzywnych już wprowadzonych do systemu/27/. Wyrazem tej drugiej tendencji byłoby także konsolidowanie się mechanizmu przyczynowości strukturalnej na skutek pogorszenia materialnych warunków. Taka faza poprzedza okres załamania się owej przyczynowości, ale może trwać długo, szczególnie gdy doskonalone są techniki homogenizacji formy i wciągania społeczeństwa w orbitę skonwencjonalizowanej gospodarki, służebnej wobec racjonalności kontroli /stabilizacji/. Trzeba się tu zgodzić z Heglem /który wydaje się patronować całości moich rozważań/, że czas historyczny danej formacji jest odbiciem w ciągłości czasu jej w n e j istoty. Każda formacja ma w związku z tym swój własny rytm. "Stawanie się" formacji, nabieranie przez nią tożsamości, winno być więc analizowane z uwzględnieniem wewnętrznego kryterium jej specyficznej przyczynowości strukturalnej. Oceny fazy, w której znajduje się aktualnie formacja, biorące za podstawę "obiektywne" standardy efektywności ekonomicznej nie tylko abstrahują od kulturowego relatywizmu owych standardów, ale też nie biorą pod uwagę złożonych związków między reprodukowaniem się stosunków społecznych a reprodukowaniem się materialnych podstaw systemu w socjalizmie.

Zanim przejdę do analizy struktury społecznej, buntu i "normalizacji" w perspektywie zarysowanego wyżej modelu, pragnę pokazać podstawowe różnice między moim ujęciem a wspomnianymi na wstępie dwoma paradygmatami realnego socjalizmu: teorią kapitalizmu państwowego i modelem post-althusseriańskim - z drugiej.

Fałszywe jest - moim zdaniem - twierdzenie zwolenników teorii kapitalizmu państwowego, że klasa kapitalistów została w socjalizmie zastąpiona nową klasą biurokracji, kierującą się tym samym motywem zysku /akumulacji/, tylko dysponującą bardziej radykalnymi metodami wyzyskiwania. Aparat władzy, niekompletny właściciel w socjalizmie, tworzy korporację, nie klasę, i jego funkcja celu nie zawiera w sobie kryterium aktualnego i przyszłego zysku w sensie ekonomicznym, a raczej kryterium aktualnej i przyszłej kontroli. System oparty na niekompletniej i niewyłącznej własności nie posiada - jak wskazywałam - systemowych warunków egzekwowania racjonalności ekonomicznej. Inny jest również mechanizm akumulacji i wyzysku, a nie tylko - jak chcą zwolennicy teorii kapitalizmu państwowego - kto inny jest egzekutorem tych mechanizmów. Powyższe względy nie pozwalają moim zdaniem w sposób poważny posługiwać się terminem "kapitalizm państwowy". Teoretycy kapitalizmu państwowego wychodzą z założenia jednocelowości procesu historycznego. Moje podejście jest zaś oparte na koncepcji wielocelowości. Tak więc w niektórych krajach /Rosja, Chiny/ po dezorganizacji starej przyczynowości strukturalnej pojawił się w wyniku rewolucji nowy typ przyczynowości strukturalnej. Mechanizm ten, przez wprowadzenie racjonalizowanej własności, reprodukuje państwo w tzw. bazie w sposób bardziej radykalny niż poprzedni typ przyczynowości strukturalnej, w którym także państwo było elementem stosunków produkcji. Własność traktowana jest w tym podejściu jako kategoria kulturowa, a nie tylko ekonomiczna; inaczej mówiąc - jako kategoria ukształtowana w wyniku długiego procesu cywilizacyjnego/28/.

A oto argumenty wskazujące odmienność mojego podejścia w zestawieniu ze schematem post-althusseriańskim. Jego punktem wyjścia jest teza, że w socjalizmie stosunki produkcji, identyfikowane względem instancji struktury, gdzie realizuje się akumulacja i dysponowanie nadwyżką, są stosunkami politycznymi i w związku z tym analiza systemu i jego ewentualna zmiana winna sprowadzać się do problematyki państwa. W odróżnieniu od zaprezentowanego przeze mnie podejścia, w schemacie postalthusseriańskim abstrahuje się od problematyki własności. Moim zaś zdaniem, typ własności - mimo iż w socjalizmie przestaje być ona kategorią sensu stricto ekonomiczną - w dalszym stopniu decyduje o tym, jak odbywa się alokacja rzadkich zasobów, jak i czy/ potrzeby materialne są przekładane na interesy ekonomiczne, jaki wreszcie jest charakter mechanizmu kumulacji. W socjalizmie wszystkie te aspekty nabierają - właśnie ze względu na charakter własności - swoistych właściwości. Racjonalna ekonomicznie alokacja nie jest możliwa ze względu na systemową niemożność wyceny czynników produkcji zgodnie z ich faktyczną rzadkością. Zapośredniczenie zaspakajania potrzeb materialnych przez państwo /redystrybucja, gospodarka etyczna/redukuje użyteczność kategorii "interesu ekonomicznego", zaś

brak - znów ze względu na niekompletność własności - interesu w formowaniu kapitału i zabezpieczeniu wartości kapitału trwałego zmienia charakter sytuacji konfliktowych między właścicielem /aparatu/ a siłą roboczą. Co więcej, akumulacja w socjalizmie odarwana jest od formowania kapitału w sektorze państwowym: jej źródłem może być represjonowanie przez państwo /niekompletnego właściciela/ konsumpcji, dekapitalizacja sektora prywatnego bądź wręczcie cięcia budżetowe. Akumulacja, która staje się w tej sytuacji kategorią podziału a nie produkcji, może rosnąć mimo malejącej zdolności formowania kapitału w sektorze państwowym i bez rosnącego wyzysku w tym sektorze. Ma to wpływ na swoistość artykulacji interesów i procesów strukturotwórczych. Jak wynika z powyższego - zmiana ulega nie tylko instancja struktury, w której realizuje się akumulacja i zafaszczanie nadwyżki /wyzysk/, jak twierdzą zwolennicy modelu post-althusseriańskiego, ale zmienia się zarówno charakter samej akumulacji jak i wyzysku i zmiany tej nie można wyjaśnić bez odwołania się do charakteru własności. Przedstawiciele post-althusseriańskiego podejścia abstrahują od problemu własności w dużym stopniu na skutek przyjęcia w stosunku do socjalizmu nieuprawnionego założenia, że proces reprodukcji materialnych podstaw systemu jest tylko odbiciem /"zewnątrznym pozorem"/29/ reprodukcji się stosunków społecznych. Według mnie taki związek występuje tylko w kapitalizmie, gdzie reprodukcja materialnych podstaw systemu /akumulacja kapitału/ jest częścią mechanizmu przyczynowości strukturalnej, reprodukcją całej stosunki społeczne. W socjalizmie, gdzie właściciel musi akumulować władzę, a nie kapitał, by przetrwać, są to odmienne, choć powiązane w bardzo złożony sposób procesy. Stosunki społeczne reprodukcją się według innej logiki niż materialne podstawy systemu, zarówno bowiem akumulacja władzy, jak i "akumulacja" w tym znaczeniu, w jakim używają tego słowa socjalistyczni planiści wcale nie oznacza formowania kapitału i rozszerzonej reprodukcji materialnych podstaw systemu.

Moim zdaniem wychodzenie od praw własności pozwala wyjaśnić więcej niż rozpoczęcie analizy od stosunków politycznych. Prawdą jest oczywiście, że stosunki własności w socjalizmie zostały ukształtowane w wyniku procesu typu politycznego. Jeżeli jednak za początek formacji uważamy moment zapanowania niewytącznych i niekompletnych praw własności, to od tego momentu obecność państwa w "bazie" przestaje już być wyłącznie wyborem czysto politycznym, a staje się logicznym dopełnieniem brakujących mechanizmów i interesów. Co więcej - pojawiają się nowe interesy, związane z reprodukowaniem tego typu własności, i nie są to tylko interesy aparatu władzy.

Swoistość procesów strukturalizacji społeczeństwa określanego jako "socjalistyczne" stanowi odbicie opisanych wyżej mechanizmów. W tym tekście interesuje mnie tylko jeden aspekt owej strukturalizacji, mianowicie zjawisko **m a r t w e j s t r u k t u r y**. Zdecydowałam się na analizę tego zjawiska, ponieważ ilustruje ono dobrze przebieg procesu totalizacji /homogenizacji/ form życia społecznego. A przecież właśnie owa homogenizacja jest jednym z trzech wymienionych wyżej elementów składających się na reprodukcję system mechanizm przyczynowości strukturalnej. Pragnę od razu zaznaczyć - dla uniknięcia nieporozumień - że **m a r t w a s t r u k t u r a** nie jest strukturą nieruchomą. Odwrotnie, jest pełna napięć i konfliktów, ale **f o r m a** owych napięć i charakter spięć powodują, że ich nośność transformacyjna jest niewspółmiernie mała do zaangażowanych emocji i gwałtowności działań.

Na początek kilka uwag ogólniejszych. Prowadzone w Polsce w różnych okresach badania dotyczące wizji struktury w świadomości potocznej wydają się sugerować występowanie swistego **rytmu strukturalizacji i destrukuralizacji** /a może raczej przemienności dwóch krańcowo odmiennych typów strukturalizacji/. W długich okresach względnie "normalnych", w których nie występują ostre objawy kryzysu, uderza brak w świadomości społecznej wizji struktury rozumianej - za Levi-Strausem - jako model myślowy organizujący przestrzeganie społeczeństwa w porządek identyczności i opozycji opartych na poczuciu więzi z jednej strony i świadomości przeciwnika - z drugiej/30/. W tych "normalnych" okresach przeważa świadomość zróżnicowań pozycji / w kategoriach dochodu, wykształcenia i władzy/ postrzeganych jako luźny agregat, bez wyraźnych punktów ciężkości i osi konfliktowych. Ten sposób postrzegania stosunków społecznych jest logiczną konsekwencją zanurzenia w skomercjonalizowanej gospodarce, w której dominującym mechanizmem jest administracyjna redystrybucja i pośrednictwo państwa w zaspakajaniu potrzeb, zaś gry interesów odbywają się przy pomocy manipulowania językiem zarządzania, uniemożliwiającym otwarte ujawnienie osi konfliktu. Administracyjne przesuwanie napięć i postępująca entropia statusów materialnych /w miarę ciężenia ku gospodarce etycznej/ dodatkowo wzmacniają ową tendencję do po-

strzegania różnicowań bez świadomości struktury. Gdy - z rzadka - pojawia się jednak w tych "normalnych" sytuacjach wizja systemu jako całości, jest to wizja typu matrycowego, w której materialne statusy poszczególnych grup społecznych postrzegane są w izolacji, jak gdyby były całkowicie od siebie niezależne/31/. Relacje między grupami są w tej wizji określane przy pomocy nieostrych, kulturowych cliché, nie poddających się weryfikacji empirycznej. Taką funkcję pełni na przykład zmitologizowana kategoria inteligencji, stanowiąca standard, przy pomocy którego inne grupy oceniają swoją pozycję społeczną/32/.

W momentach kryzysów politycznych sytuacja zmieniała się gwałtownie i mieliśmy każdorazowo do czynienia z nagłym /instant/ procesem strukturalizacji w rozumieniu Levi-Straussa. Inaczej mówiąc, pojawia się model pojęciowy organizujący wizję systemu w "my" i "oni", łączący świadomość wspólnotowości ze świadomością konfliktu. Równocześnie rozchwianiu ulegała wyrazistość systemu różnicowań w kategoriach dochodu i wykształcenia: po jednej stronie znajdowali się bowiem ludzie o bardzo różnym statusie materialnym i kwalifikacjach. Trzeci wymiar stratyfikacji, władza, z gradacyjnego zmieniał się w polaryzujący i ulegał przełożeniu na inny, nowy język. W Sierpniu 1980 był to język ocen moralnych/33/.

Temu gwałtownemu procesowi strukturalizacji towarzyszyło oderwanie się od empirycznego, codziennego doświadczenia /wyrażanego w świadomości różnicowań/ i pojawienie się myślenia typu symbolicznego. W kolejnych kryzysach typ tego myślenia symbolicznego zmieniał się. W 1956 r. była to symbolika w dużym stopniu narzucona z góry, w trakcie rytuału zmiany, ze wskazaniem kosztów ofiarnych i sztuczną polaryzacją, odwracającą uwagę od problemów głębokiej struktury systemu. To myślenie symboliczne tylko w niewielkim stopniu zeszło na poziom świadomości robotniczej. W 1970 r. również obserwowaliśmy gwałtowną zmianę perspektywy ontologicznej: od empirii do myślenia symbolicznego. Wciąż jednak było to myślenie wewnątrz narzuconej od góry apriorycznej formuły /np. swoista "chytryść" dokumentów Szczecina, operujących pojęciem "klasy robotniczej" w celu wykorzystania uwikłanego aparatu władzy w jego własne formułki legitymizujące; w 1980 r. gdy strajkujący czuli się naprawdę silni, odrzucili taką "protezę"/. Innym przejawem wrażliwości symbolicznej i abstrakcyjnej percepcji struktury w 1970 r. była reakcja robotników na magię chwilowego zawieszenia statusów /złamania hierarchii/ w związku z przyjazdem Gierka do stoczni. Dopiero jednak w Sierpniu 1980 sformułowany spontanicznie model pojęciowy /struktura w sensie Levi-Straussa/ odrzucił całkowicie poprzedni, wtłoczony odgórnie schemat, proponując wizję systemu opartą na kategoriach moralnych. Pojawienie się takich właśnie kategorii jako podstawy wizji formułowanej w sytuacji buntu nie było przypadkiem. Była to - po pierwsze - odpowiedź na zagrożenia niesione przez realny socjalizm /także w jego post-totalitarnej, konsumpcyjnej, autorytarno-biurokratycznej odmianie z lat 70-ych/: atomizację, obcość samemu sobie, trudność rozróżnienia prawdy i fałszu, fikcji i rzeczywistości, demoralizację. Wysiłek odbudowania elementarnej tożsamości moralnej musiał być pierwszym krokiem w sytuacji autentycznego buntu. Operując kategoriami moralnymi można było zaspokoić głęboką psychologiczną potrzebę identyfikacji przeciwnika, tak trudną w języku interesu ekonomicznego ze względu na brak żywo pracujących mechanizmów ekonomicznych, opisywaną wcześniej specyfikę mechanizmu akumulacji i wycisku, oraz ciągłą administracyjną redystrybucję napięć/34/. Równocześnie jednak ów symboliczny charakter samo-identyfikacji i aprioryczność tworzonej od dołu wizji struktury nie pozwalał na ujawnienie całej złożoności warstwy interakcyjnej, na którą składały się między innymi obiektywne procesy reprodukowania materialnych podstaw systemu i wbudowane w nie konflikty między poszczególnymi grupami i sektorami gospodarki, szczególnie zaś konflikt dwóch typów racjonalności: racjonalności ekonomicznej i racjonalności dominacji, determinujący relacje między sektorem państwowym i prywatnym.

Jest paradoksalne, że rozróżnienie między językiem artykulacji a złożonością sfery interakcji był tym większe, im bardziej masowy i autentyczny był sam bunt. Trzeba bowiem pamiętać, że przeżywane "polityki" na poziomie społeczeństwa masowego sprowadza się zazwyczaj do dwóch elementów:

- silnego przeżycia moralnego, które staje się równocześnie doświadczeniem poznawczym, wywołując gwałtowną zmianę perspektywy ontologicznej/35/;
- współzawodnictwa statusowego z uczestnikami obozu "przeciwnika", które sprzeczka się do symbolicznego politykowania, polegającego na wysłaniu i odbieraniu znaków odzworowujących układ sił.

Prawdziwa polityka - nawet w okresie rewolucji czy rebelii - jest zawsze sferą dostępną wyłącznie dla elit. Także tych wyłanianych przez same masy. Zgadzałem się tu w pełni z Heglem, który pisał, że dla mas domeną polityki jest przede wszystkim wyobraźnia. Z drugiej strony jednak oba typy popularnego uczestnictwa w polityce mają swoją logikę, wyrażającą się w czarno-białym widzeniu wokół kilku symboli z jednej strony, i w niekontrolowanej dynamice polaryzacyjnej - z drugiej. Oba wymagają operowania w ramach apriorycznie ustalonej - a więc rozpoznawalnej, trwałej i nie weryfikowanej empirycznie - mapy znaków. Tak więc odrzucona, aprioryczna, homogenizująca forma, kamuflująca różnorodność treści społecznych, zostaje w okresie buntu zastąpiona inną, równie aprioryczną, choć opartą na odmiennych znakach formą, posiadającą swoją własną dynamikę, również niezależną od rzeczywistych procesów.

Jak już wspominałem, w Sierpniu 1980 przeżycie moralne stało się równocześnie doświadczeniem poznawczym. Wspólna sytuacja egzystencjalna, angażująca emocjonalnie /strajk solidarnościowy/ była bowiem nie tylko momentem odkrycia w sobie wartości, których warto bronić /poczucie godności, łączność z innymi/, ale dostarczyła ludziom nie posiadającym przedtem żadnego ogólnego modelu pojęciowego do analizy systemu - czyli pozbawionym świadomości struktury - pierwszych kategorii pojęciowych pozwalających na samodzielne poruszenie się myślowe w sferze makro. W tej sytuacji operowanie silnie skontrastowanymi pojęciami /radikalizm poznawczy/ nie było wyłącznie, a nawet przede wszystkim, znakiem radykalizmu politycznego/36/. Odwrótnie, wyniki badań wskazują na bardzo luźny związek tych dwóch rodzajów radykalizmu. Jedną z możliwych interpretacji tej sytuacji jest odwołanie się do analogii z myśleniem mitycznym opisywanym przez Levi-Straussa, gdzie czarno-biała mapa pojęciowa, obecna w każdym micie, służyła przede wszystkim wyczerpaniu i utrwaleniu nowych kategorii pojęciowych przez ich silne skontrastowanie/37/. Tłumaczy to niechęć fundamentalistów w "Solidarności", operujących czarno-białą mapą ocen i kwalifikacji etycznych, do kompromisu, zacierającego ostrość i moc rozdziałczą owych kategorii, i do przełożenia ich na język rozwiązań instytucjonalnych. Oba posunięcia groziły im bowiem zniszczeniem nowonabytych zdolności porządkowania i interpretowania zdarzeń i powrotem w świat chaosu, bez struktury. Z drugiej strony jednak ów z takim wysiłkiem zdobyty język artykulacji okazał się językiem niezbyt użytecznym. Nie pozwolił na przykład wyrazić tak silnych w samej "Solidarności" napięć wokół zróżnicowania kompetencji językowych. Zróżnicowania te stały się bowiem szybko podstawą powstania wewnętrznej hierarchii w ruchu, w którym autoteliczny wymiar mówienia /ekspresja/ był tak ważny/38/.

Nie mógł też być wyrażony inny konflikt po stronie "my", związany z odmiennością kryteriów racjonalności w państwowym i prywatnym sektorze, przy równoczesnym podobieństwie interesów /np. interesu w utrzymaniu wygodnej konwencji liczenia/ po obu stronach barykady w zetatyzowanej gospodarce. Operowanie językiem kategorii moralnych i etykietek przypisywanych apriorycznie, na zasadzie oceny przez kontekst, uniemożliwiło przy tym zawarcie politycznego sojuszu z ruchem struktur poziomych w PZPR. Co więcej, postawa fundamentalistyczna, zbudowana na podobnym typie artykulacji, jest niesłychanie krucha i ma tendencję do autoparaliżu, gdy nie dopełni się wyznaczonych sobie standardów i utraci się - według własnej oceny - prawo do operowania kategoriami moralnymi, które są przy tej postawie jedynym znanym językiem artykulacji i poruszania się poznawczego na poziomie makro/39/. Efektem postawy fundamentalistycznej jest także "front odmowy" i wycofanie się z życia publicznego. Oba wspomniane typy reakcji prowadzą do tak pożądaną przez władzę demobilizacji społeczeństwa i przyczyniają się do polskiej odmiany "normalizacji". Innym elementem owej normalizacji jest - znów specyficzny dla Polski - fakt swoistej dyskredytacji w świadomości potocznej sytuacji swobodnej artykulacji jako takiej. Z jednej strony bowiem repertuar kategorii moralnych, zorganizowanych w czarno-białą strukturę pojęciową, tak żywo broniły przez fundamentalistyczną część "Solidarności", zawiódł jako instrument poznania i ekspresji, a także utrudnił uprawianie skutecznej polityki i był stale korodowany w sferze interakcyjnej. Z drugiej strony inny sposób identyfikacji /np. wokół migocącej mapy działań w sferze gospodarczej/ nie tylko podzieliłby nieuchronnie społeczeństwo, ale jest niesłychanie trudny do wyartykułowania ze względu na typ własności. Gdyby nawet owa mapa interakcji została wiernie odwzorowana, ujawniłby się tylko jej nietransformacyjny charakter. Powyższe zjawiska dotyczą głębszych pokładów świadomości społecznej niż opisywany przez Simeckę zgeneralizowany strach /w tym obawa utraty statusu społecznego/, czy zinternalizowane fałszywe alternatywy /własność czy względny dobrobyt/ i postrzeganie tej pierwszej wyłącznie jako wartości tragicznej /Wajda o sytuacji węgierskiej/.

Opisany wyżej rozziw między sferą artykulacji a sferą działania, wraz z praktycznymi konsekwencjami tego rozziwu stanowi pierwszy wymiar martwej struktury. - Drugim wymiarem jest swoisty spłot między biegunami struktury, postrzeganymi jako biegunowe w perspektywie standardów moralnych. Chodzi tu o robotników z jednej strony i aparat władzy - z drugiej. Prowadzone w ostatnich latach badania socjologiczne pozwalają na sformułowanie tezy o trzech wymiarach tego - nieco surrealistycznego - spłotu:

- po pierwsze, obie te grupy w większym stopniu niż grupy kontrolne /studenci, dyrektorzy/ i nawet wtedy, gdy walczą ze sobą, przywołują te same cechy systemu: aprioryczność rozumowania z jednej strony i redystrybucję jako podstawowy mechanizm regulacyjny - z drugiej;

- po drugie, wyobraźnia polityczna obu grup - postrzeganych jako opozycyjne w perspektywie ocen moralnych - jest w wielu wymiarach bardzo zbliżona. Mam tu na myśli chociażby silną orientację etatystyczną obu grup/40/, silniejszą niż u innych grup poparcie dla niekompletnej własności i etycznej gospodarki/41/, podobną, materialną a nie proceduralną koncepcję sprawiedliwości/42/, niska tolerancja na pluralizm i konflikty we własnej grupie. Owe podobieństwa towarzyszyły ostremu współzawodnictwu statusowemu i identyfikowaniu się z odmiennymi symbolami;

- po trzecie, należy tu wymienić zjawisko, które proponuję określić mianem nadbudowy adaptacyjnej. Chodzi o stwierdzony empirycznie fakt, iż ogólne wartości socjalizmu są w zasadzie akceptowane przez społeczeństwo, reguły organizacyjne /np. kierownicza rola partii/ - kwestionowane, zaś praktyczna realizacja tych reguł, oceniana na podstawie własnego doświadczenia, oceniana znacznie mniej krytycznie niż same reguły ze względu na mechanizm wtórnego wzmocnienia /gdy np. kanał partyjny służy zdobywaniu dla przedsiębiorstwa surowców/. Jest to przykład rosnącej tożsamości systemu na poziomie interakcyjnym, mimo odrzucania go w warstwie pojęciowej. Opisany wyżej spłot biegunów to drugi wymiar martwej struktury. Oba są ważnymi momentami reprodukcji systemu przyczynowości strukturalnej.

Przedstawione w tym tekście rozważania stanowią pierwsze kroki na drodze poszukiwania kategorii pojęciowych do opisu i wyjaśniania dynamiki realnego socjalizmu. Brak takich kategorii powoduje bowiem nie tylko impotencję teoretyczną, ale i polityczną.

Przypisy:

- /1/ Koncepcję kapitalizmu państwowego i nowej klasy łączę z takimi nazwiskami jak Carr, Džilas, Rubel.
- /2/ Schemat post-althusseriański /od L. Althussera, autora - wraz z E. Balibarem - "Czytania kapitału" i "Pour Marx"/ łączony jest m.in. z takimi nazwiskami jak W. Brus, A. Heller /autorka "Dictatorship over needs", Oxford 1983/, J. A. Konrod i A. K. Pokratyn w ZSRR, oraz Bahro czy Bałcerek /tzw. nurt antybiurokratyczny/.
- /3/ Przegląd tej też szkółki dają w swoim zbiorze E. Furubotn i S. Pejović w "The economics of property rights", Cambridge 1974.
- /4/ Patrz A. Alchian, H. Demsetz "The property right paradigm" /w The Journal of Economic History, 1/1973/.
- /5/. W 1983 r. w Polsce dekapitalizacji uległo 53,2% maszyn i urządzeń /M. Lesz "Cena de kapitalizacji", Życie Gospodarcze 5/1983/, zaś plan inwestycyjny został przekroczony o ok. 200 mld zł.
- /6/. Teoretycznie jest możliwe w socjalizmie organizacyjne wyodrębnienie kapitału /uwłaszczenie przedsiębiorstw/ i operacje kapitałowe, dokonywane przez dyrektorów /samorządy?. Pozycja obu tych instancji jest jednak związana z organizacją, nie zaś kapitałem; dyrektor nie przenosi się wraz z kapitałem na nowy obszar działania i nie ma gwarancji zachowania swojej pozycji np. po uzasadnionej logiką formowania kapitału decyzji obkurczeniowej /ograniczenia/ produkcji, z którą był dotychczas związany. Co więcej, w odel ten /w Polsce formułowany m.in. przez doc. Domańskiego/ nie przewiduje przepływu kapitału do sektora prywatnego. Oba powyższe względy zasadniczo zmieniają charakter cyrkulacji kapitału w porównaniu z gospodarką opartą na własności prywatnej. W takim modelu państwo musiałoby działać wbrew swojej dotychczasowej funkcji celu /maksymalizacja kontroli/ i stać się gwarantem stabilności warunków konkurencji, demonopolizacji, rozbięcia struktur brażowniczych i niezależności przedsiębiorstw. Musiałoby także ograniczyć zakres swoich de-

czyli dotyczących środków finansowych.

/7/. Patrz mój artykuł "Systemowe uwarunkowania funkcjonowania przedsiębiorstwa" /Przebieg Socjologiczny t. 32/1981/.

/8/. D. C. North i R. P. Thomas, "The Rise of the Western World". Cambridge University Press 1973, uważają, że warunkiem rozwoju gospodarczego jest maksymalna bliskość korzyści-kosztu producenta i korzyści-kosztu ogółospołeczny, możliwa tylko w warunkach wyłączności własności i rynkowej wyceny czynników produkcji zgodnie z ich faktyczną rzadkością.

/9/. "Pre-capitalist modes of production", Londyn 1975.

/10/. Jest to przeformułowanie tezy A. Heller /op. cit./. Nie chcę tu antramorfozować "aparatu" jako bytu zbiorowego. Cel ów to cel poszczególnych funkcjonariuszy państwa wyznaczony przez organizacyjną i doktrymalną sytuację ich działania.

/11/. Są to wszystkie rzadkie i pożądane dobra: nie tylko środki konsumpcji ale i produkcji.

/12/. Analiza decyzji kolektywizacji ziemi w ZSRR /B. Bruckus, artykuł w "Ekonomiście", 1937/ pokazuje, że mimo spadku produkcji rolnej po kolektywizacji państwo było w st nie wyeksportować dwa razy więcej zboża: cel maksymalizacji wyłącznej kontroli nad powstającymi w systemie wartościami użytkowymi został więc osiągnięty.

/13/. Myślę tu o Rosji carskiej, gdzie gospodarka pełniła rolę struktury kontroli, a po politycznym wyeliminowaniu niektórych mechanizmów ekonomicznych /jak swobodny przepływ czynników produkcji czy możliwość formowania kapitału/ państwo substytuujące te mechanizmy stało się niezbędnym elementem stosunków produkcji. Podobnie było w Chinach konfucjańskich z ich gospodarką etyczną eliminującą pewne mechanizmy, zastępowane później przez państwo.

/14/. Analizy dokumentów IX Zjazdu PZPR pod tym kątem dokonał K. Łazarski, Colloquia Communae, Uniwersytet Warszawski 1983.

/15/. Jest to określenie wprowadzone przez E. P. Thompsona dla opisu przedkapitałistycznych społeczeństw. Oznacza ono oderwanie wyceny czynników produkcji i statusów konsumpcyjnych od mechanizmów ekonomicznych. Opis elementów gospodarki etycznej w Polsce zawiera artykuł R. Milic /oparty na badaniach pod kierunkiem L. Beskid i Z. Sufina, IFIS PAN 1983/, Życie Warszawy, 7-8 stycznia 1984.

/16/. Ilustracja presji na rozszerzenie gospodarki etycznej na sektor prywatny /czyli dalsza etatyzacja społeczeństwa i homogenizacja formy/ są uświadczania ZSL zagwarantowania administracyjnego parytetu dochodów rodzin miejskich i wiejskich, niezależnie od relacji typu ekonomicznego.

/17/. Według badań Spółdzielczego Instytutu Badawczego tylko 18% usług w 1983 r. wykonywanych było w ramach form ewidencjonowanych przez państwo /i ze znanymi źródłami zaopatrzenia materiałowego/. W budownictwie aż 60% kubatury powstaje poza kontrolą państwa

/1/. Herbst, Instytut Organizacji Mechanizacji Budownictwa, Warszawa 1982/.

/18/. Uderza tu analogia z tezą Maxa Webera, który pisząc w 1906 o Rosji twierdził, że zmiana systemu ekonomicznego nie nastąpi tam w wyniku działania sił ekonomicznych produkowanych przez system /Gesammelte Politische Schriften, Tübingen 1958/.

/19/. W 1983 r. za każdą złotówkę dewizową importu z Zachodu otrzymywano w reeksporcie na Zachód tylko 0,16 zł dewizowego, zaś przy eksporcie do stawiających mniejsze wymagania jakościowo krajów RWPG - aż -2,2 zł.

/20/. W 1982 r. 68,5% zasobów bankowych, używanych m.in. do finansowania sektora państwowego pochodziło z oszczędności ludności, wpływów z sektora prywatnego i kredytów zagranicznych. Lokata budżetowa państwa uległa przy tym znacznej redukcji /Z. R. Wierzbicki, "Bank czy Kasa", Życie Gospodarcze 13/1983/.

/21/. Jest to termin użyty przez J. Strzeleckiego /"Polski kryzys", maszynopis 1984/ i oznacza trwałe tendencje spadku produktywności środków trwałych na głowę mieszkańca oraz towarzyszący temu spadek jakości życia i procesy demograficzne.

/22/. Patrz opracowanie R. Góreckiego, E. Gucwy i M. Wiśniewskiego "Ocena dotychczasowych zmian w dochodach i wydatkach", Wydział Ekonomiczny UW 1983.

/23/. Według wyliczeń M. Rakowskiego /Przebieg Techniczny, listopad-grudzień 1983/ cofnęliśmy się w stosunku do innych krajów w porównaniu z 1953 r.

/24/. Rozwój drugiej gospodarki obserwuje się od ZSRR po Węgry.

/25/. Przykładem strajk w Gdańskiej Stoczni Remontowej w lutym 1984 r., stanowiący przejaw walki z administracyjnym absurdem /praca w wolne soboty bez zabezpieczenia materiałowego w imię biurokratycznej fikcji/. Standardem do porównań stała się praca.

- tw. zespołu zadaniowego na jednym z wydziałów, pracującego według ustalonych przez siebie zasad.
- /26/. Ze względu na udział tego sektora nie tylko w zaspakajaniu potrzeb społecznych ale i finansowaniu państwa /i gospodarki państwowej/.
- /27/. Sukces reformy węgierskiej polegał na jej wczesnym wprowadzeniu /1962/ i lepszym w związku z tym wykorzystaniem rezerw ekstensywnych. Trzy wspomniane na wstępie bariery racjonalności ekonomicznej występują jednak i w tej gospodarce (patrz J. Kornaj, "Economics of Shortage", Amsterdam 1980/.
- /28/. Można tu wymienić m.in. odmienny typ wyzwań rozwojowych /rzadkość ziemi tylko w Zachodniej Europie/, inny - uwarunkowany kulturowo typ reakcji na owe wyzwania /feudalizm z jego filozofią władzy tylko na Zachodzie/, brak na Wschodzie dziedzictwa prawa rzymskiego /via kościół katolicki/ i brak deetycyzacji gospodarki /protestantyzm/.
- /30/. W badaniach z lat 70-ych /Słomczyński, Wesołowski, referat na Zjeździe Socjologicznym, Kraków 1976/ wyraźnie ujawnił się fakt świadomości różnicowań bez świadomości struktury. Podobnie w badaniach Beskid-Suflin /1983/. W tych ostatnich świadomość struktury miały tylko grupy pozostające poza zasięgiem gospodarki etycznej.
- /31/. Beskid, ibidem.
- /32/. Patrz analiza pamiętników, W. Karojek "Struktura społeczna w świadomości jednostki" PIW 1982.
- /33/. W badaniach IFiS PAN /A. Rychard i inni, 1981/, także w badaniach "Polacy 1980 i 1981" wyraźnie wystąpiło operowanie modelem pojęciowym zbadowanym w oparciu o kategorie etyczne. W badaniach Rycharda aż 59% badanych używa ocen etycznych, gdy mówi o różnicach dzielących społeczeństwo; tylko 3,7% podkreślało różnice statusów materialnych, zaś 6% mówiło o różnicach między miastem a wsią.
- /34/. Trudność określenia "drugiej strony" w zetatyzowanej gospodarce wyrażała się np. odpowiedziami na pytanie "Kto korzysta z pracy przedsiębiorstw?" 25,7% /na pierwszym miejscu/ odpowiedziało, że spekulanci /Rychard, op.cit./.
- /35/. A. Camus "Człowiek zbuntowany", M. Stirner "The Ego and His Own", Londyn 1912.
- /36/. Z badań serii "Polacy" /także Rychard/ wynika, że najbardziej radykalną politycznie grupą w latach 1980-81 byli ludzie z wyższym wykształceniem nie zajmujący stanowisk kierowniczych. Nie operowali oni przy tym czarno-białą wizją opartą na kategoriach etycznych. Powyższe podważa tezę S. Ossowskiego o związku dychotomicznej wizji z radykalizmem politycznym.
- /37/. Patrz Levi-Strauss "Antropologia strukturalna" /rozdział o mitach/
- /38/. Badania /m.in. J. Jankowski, Szczecin 1981/ wskazywały na napięcia w związku z kształtowaniem się nowej hierarchii opartej na kompetencjach językowych. Stało się to szczególnie wyraźne po tzw. porozumieniu warszawskim /marzec 1981/.
- /39/. Kontakty w środowisku górniczym - już w stanie wojennym - wskazują na autoparaliż postawy fundamentalistycznej po niedopełnieniu standardów moralnych /nie mamy już, prawa do 'Solidarności', bo nie zareagowaliśmy na strzały w kopalni "Wujek"..../.
- /40/. 74% badanych było za instytucjonalnym określeniem potrzeb i kolejności ich zaspakajania /Rychard, op. cit./.
- /41/. W badaniach Sużańskiej /Politechnika Wrocławska, 1981/ 64% za zagwarantowaniem administracyjnym równych szans, ok. 80% za państwem opiekuńczym.
- /41/. Porównanie wyników G. Lindenberga /"Studenci Warszawy", 1982/ z badaniami w środowisku robotniczym /m.in. K. Koseła, 1983/.
- /42/. Badania ośrodka socjologicznego "Solidarności" regionu Mazowsze /Dorn, Ofierski, Radzko/, jesień 1981, także moje własne analizy "Solidarności".
- /43/. Rychard, op. cit., Także "Polacy".

JADWIEGA STANISZKIS

/tekst publikujemy bez wiedzy i zgody autorki - PP/

ANDRZEJ SMOCZYŃSKI

GOSPODARKA: realizm i umiarkowanie

REFLEKSJE NA MARGINESIE WYPowiedzi LECHA WAŁĘSY NA TEMATY EKONOMICZNE

Przewodniczący NSZZ "Solidarność" opublikował, datowany 7 marca 1984 r., tekst dotyczący problematyki gospodarczej. Tekst ten został jeszcze w marcu zasygnalizowany przez zachodnie rozgłośnie, opublikowany w całości przez "Tygodnik Mazowski" 80/81, a następnie, za tym tygodnikiem, powtórzony w drugiej połowie kwietnia przez rozgłośnie "Wolna Europa" i "Głos Ameryki". Nie spotkałem natomiast dotąd żadnego komentarza na ten temat, a szkoda, gdyż jest to, moim zdaniem, ważne wystąpienie.

Dlaczego tekst ten uważam za ważny?

Po pierwsze dlatego, że jest to programowe wystąpienie Przewodniczącego naszego Związku, stanowiące rozwinięcie tez postawionych w dniu 16 grudnia ubiegłego roku, przygotowane w konsultacji z szerszym zespołem doradców. Teksty przywódców powinny być starannie analizowane, niezależnie od tego, jaką orientację polityczną reprezentują. Każde z takich wystąpień jest bowiem zwykle zapowiedzią pewnych kierunków działań i odzwierciedla poglądy szerszej grupy osób, mającej wpływ na nasze życie społeczne.

Po drugie, wystąpienie to, jeszcze wyraźniej niż wystąpienie z 16 grudnia, wskazuje na ewolucję poglądów Wałęsy spowodowaną ewolucją sytuacji w kraju.

Analizując ten tekst z punktu widzenia układu treści, można wyraźnie wyróżnić dwie jego zasadnicze części: charakterystykę sytuacji gospodarczej Polski wraz z diagnozą jej przyczyn oraz propozycje mające na celu zmianę tej sytuacji. Jeśli chodzi o diagnozę, trzeba stwierdzić, że autor nie powiedział nic nowego. Pesymistyczną ocenę sytuacji gospodarczej Polski można znaleźć nie tylko w opiniach zachodnich ekspertów oraz zachodnich czasopiśmie, lecz również w wielu polskich oficjalnych publikacjach i opracowaniach, wykonanych np. pod firmą PAN czy Rady Społeczno-Gospodarczej, chociaż tezy w nich zawarte są oczywiście formułowane ostrożniej, a niektóre wnioski są w pełni czytelne tylko dla specjalistów. Znane są również dość powszechnie przyczyny uniemożliwiające podjęcie przez władzę skutecznych kroków dla wyprowadzenia kraju z kryzysu, chociaż w tej sprawie wypowiedzi publikowane oficjalnie są oczywiście znacznie bardziej optymistyczne, a krytyka wyraźnie stonowana.

Znaczenie tej części wypowiedzi Wałęsy polega na jasnym sprecyzowaniu najpoważniejszych zagrożeń naszej sytuacji gospodarczej oraz na wyraźnym wskazaniu źródeł naszej niemocy. W rzetelnie i swobodnie prowadzonej dyskusji trudno byłoby zakwestionować słuszność oceny przedstawionej przez autora.

Zupełnie inny charakter ma druga część tej wypowiedzi. Przewodniczący "Solidarności", wyciągając wnioski z przeprowadzonej diagnozy, proponuje przyjęcie aktywnej postawy w stosunku do otaczającej nas rzeczywistości, wzywa do pracy organicznej. Cele tych działań powinny być według niego wielorakie. Wśród nich wymienić można dążenie do ułatwienia społeczeństwu przetrwania kryzysu, gdy nie ma nadziei na skuteczne działanie władz w tej dziedzinie, ograniczanie wszędzieżdy aparatu, a więc racjonalizację działalności gospodarczej, wreszcie przygotowywanie społeczeństwa do racjonalnego gospodarowania wtedy, gdy zaistnieją po temu warunki. Trudno szeregować te cele według ich ważności.

Tak postawione, są one dosyć odległe i trudne do osiągnięcia. Równocześnie nie są to działania tak atrakcyjne, jak np. podejmowanie spektakularnych demonstracji czy strajków. Sądzę jednak, że są to działania obecnie najpotrzebniejsze, ponieważ społeczeństwo polskie nie może się dać zniszczyć w swojej walce z władzą ani teraz, ani w przyszłości. Nie twierdzą oczywiście, że demonstracje i strajki są obecnie niepotrzebne. Są to bowiem sposoby wyrażania przez społeczeństwo swych poglądów, skutecznie oddziałujących na postawę władzy, ograniczając jej samowolę. Obok działań typu destrukcyjnego niezbędna jest jednak działalność pozytywna, szczególnie w sferze ekonomicznej.

Znaczenie wypowiedzi Lecha Wałęsy polega głównie na zaangażowaniu swojego autorytetu w przełamanie występujących powszechnie postaw apatycznych, niewiary w skuteczność działań pozytywnych oraz obawy przed społecznym potępieniem za kolaborację z władzą. Szczególnie ważne jest w tym przypadku zapalenie zleńzonego światła dla tych, którzy swą pracę i działalnością usiłują doprowadzić, w miarę możliwości, do poprawy sytuacji gospodarczej kraju. Uczynić to mógł tylko ten, kto cieszył się w społeczeństwie wystarczająco dużym autorytetem.

W przedstawionych przez Wałęsę propozycjach dominuje idea, według której trzeba dla niezależnej społecznej i gospodarczej działalności zdobywać te pola, które są do zdobycia legalnym lub półlegalnym sposobem. W ten bowiem sposób można ograniczyć patologiczną centralizację władzy i stworzyć warunki do budowy nowoczesnego, wojnego społeczeństwa i zdrowej gospodarki. Idea taka jest bardzo bliska społecznej nauce Kościółca oraz koncepcjom współczesnego liberalizmu. Jest ona również bardzo groźna dla systemu społeczno-ekonomicznego opartego na założeniu ogromnej centralizacji władzy oraz pozbawieniu jednostki i całego społeczeństwa podmiotowości, gdyż realizacja tych idei musi prowadzić do rozpadu systemu totalitarnego.

Wałęsa wyróżnia pięć podstawowych płaszczyzn, na których istnieje możliwość relatywnie dużej swobody działania. Są to samorządy pracownicze przedsiębiorstw państwowych, spółdzielczość, rolnictwo indywidualne, rzemiosło oraz różnego rodzaju wspólnoty. Oznacza to, że większość aktywnego zawodowo społeczeństwa ma możliwość - zdaniem Wałęsy - podejmowania takich niezbędnych, społecznie użytecznych działań. Każdemu z tych problemów poświęcono w wystąpieniu tylko jeden akapit. Są to więc, z natury rzeczy, stwierdzenia dość ogólne, wskazujące na podstawowe problemy wymagające rozwiązania, lecz nie stanowiące programu. Program taki powinien być dopiero przedmiotem dyskusji, uwzględniającej wystąpienie Wałęsy. On sam zresztą do takiej dyskusji wzywa.

Trzy z wymienionych płaszczyzn ewentualnego działania są - moim zdaniem - najważniejsze: samorządy pracownicze, spółdzielczość i rolnictwo indywidualne. Samorządy powstały ponownie po grudniu 81 w większości przedsiębiorstw. Nikt nie może obecnie powiedzieć autorytatywnie, jaka jest ich obecna pozycja. Powołano je z wyraźnej inspiracji władz, które zobowiązały dyrektorów do ich tworzenia. W wielu przedsiębiorstwach nasi działacze zobjektowali wybory, a władzę w samorządach objęli ludzie podporządkowani dyrektorom. Dotyczy to zwłaszcza dużych przedsiębiorstw. W wielu jednak dawnych działaczy samorządowych i "Solidarności"; samorządy te dążą do utrzymania niezależności od władzy. Odnotować przy tym trzeba, że do dzisiaj część działaczy samorządowych nie jest przekonana o słuszności pracy w samorządach o ograniczonych kompetencjach. Oczekują oni na ogół przyjęcia jednolitego stanowiska przez cały autentyczny ruch samorządowy. Nie sądzę, żeby to było możliwe. Nie ma bowiem jednej, uniwersalnej recepty na wszystkie sytuacje. Takie też stanowisko zajął Wałęsa, uzależniając celowość pracy w organach samorządów od konkretnej sytuacji w przedsiębiorstwie. Każdy działacz musi więc ten problem rozstrzygnąć we własnym sumieniu.

Nie kwestionując generalnej tezy Wałęsy w sprawie samorządów pracowniczych, a więc uznając potrzebę popierania samorządów uznanych za autentyczne, widzę konieczność poszerzenia ujęcia tej sprawy. Należy myśleć o popieraniu nie tylko tych samorządów, któ-

re obecnie można uznać za samodzielne i autentyczne. Nawiasem mówiąc, trudno byłoby ustalić ostre kryteria, pozwalające na dokonanie podziału samorządów na autentyczne i nieautentyczne. Zasadniczym problemem jest w tym przypadku dążenie do przekształcenia samorządów ubezwłasnowolnionych w autentyczne organy reprezentujące załogi. Jeżeli nie podejmujemy tego rodzaju działań, a więc nie przyjmujemy postawy ofensywnej, to oddamy pole aparatowi partyjno-administracyjnemu, który ma pełną świadomość politycznej wagi tej sprawy i podejmuje w związku z tym usilne starania o poszerzenie bazy samorządów uległych, usiłując podporządkować sobie również te samorzady, które są jeszcze niezależne.

Doświadczenia pogrudniowe wyraźnie wskazują, że większość samorządów pracowniczych nie jest właściwie przygotowana do zarządzania przedsiębiorstwami, nie potrafiąc wykonywać posiadanych uprawnień. Przed wojną samorządom pomagał Związek oraz dosyć liczna grupa niezależnych specjalistów. W niektórych regionach działały rady koordynacyjne samorządów. Wydawano też wiele materiałów instruktażowych, wysoko na ogół cenionych przez działaczy samorządów. Obecnie każdy samorząd jest pozostawiony samemu sobie. Nie ma rad koordynacyjnych, ograniczony jest dopływ fachowej lektury, wąskie jest pole działania niezależnych specjalistów. Działacze samorządowi są natomiast intensywnie indoktrynowani przez oficjalną propagandę. Nie można oczekiwać odbudowy ruchu samorządowego, jeżeli nie zmienimy tej sytuacji. Pozycję samorządów należyoby wzmocnić tworząc - w zakresie dopuszczalnym przez prawo - organizacje wzorujące się na doświadczeniach byłych rad koordynacyjnych. Trzeba organizować pomoc na drodze legalnej, półlegalnej i nielegalnej, nasilając różne formy akcji instruktażowej.

Kilka słów na temat relacji samorząd-dyrektor. Brzmieć to może jak paradoks, lecz interesy samorządów pracowniczych często są zbieżne z interesami dyrektorów. Chodzi o działania obronne skierowane przeciw organom władzy gospodarczej. Dyrektorzy często wykorzystują tę sytuację, wchodząc w sojusz z samorządami przy walce z "górami". Trzeba więc pomyśleć również o sytuacji odwrotnej, to jest wykorzystaniu dyrektorów działań zgodnych z interesami załogi. Nie jest to oczywiście sojusznik pewny, gdyż pozostaje w ścisłym związku z władzą. Niekiedy jednak może być bardzo przydatny.

Problematykę spółdzielczości Wałęsa zarysował w swym wystąpieniu bardzo skrótowo. Wydaje mi się, że Przewodniczący "Solidarności" nie w pełni docenił miejsce spółdzielczości w naszym życiu gospodarczym i potencjalne możliwości jej usamodzielnienia. Dominująca większość spółdzielni jest poddana silnemu oddziaływaniu centrum. Znane są nawet przypadki odwoływania przez wojskowe grupy operacyjne lub władze administracyjno-polityczne wybranych przez członków ich władz. Dzieje się to pod rządami prawa spółdzielczego gwarantującego tym organizacjom gospodarczym suwerenność decyzyjną.

Trzeba jednak zdać sobie sprawę, że w spółdzielczości zatrudnionych jest ponad 2 miliony pracowników, a przedsiębiorstwa spółdzielcze dominują w niektórych działach gospodarki narodowej, np. w handlu czy gospodarce mieszkaniowej. Skala problemu uzasadnia więc pilną potrzebę walki o zmianę obecnej sytuacji. Obowiązujące prawo stwarza możliwość znacznego uniezależnienia spółdzielczości od wpływów aparatu partyjno-administracyjnego, w tym również wyzwolenia spod działania "nomenklatury". Przy mądrej, skoordynowanej polityce istnieją poważne szanse na osiągnięcie sukcesu w tej dziedzinie. Byłoby to bardzo poważny krok w kierunku liberalizacji naszej gospodarki, ze wszystkimi pozytywnymi tego efektami. Jest to oczywiście zadanie trudne, wymagające znacznego wysiłku organizacyjnego i obliczone na wiele lat.

W okresie ostatniego roku, a nawet nieco dłuższym, obserwujemy szybki rozwój spółdzielczości w różnych działach gospodarki narodowej. Powstało wiele nowych spółdzielni, prężnych, gospodarnych i samodzielnych, wrastających w nasz system ekonomiczny. Dysponują one już obecnie dosyć znacznym potencjałem gospodarczym, pracując często o wiele efektywniej niż przedsiębiorstwa państwowe. Nie poddają się przy tym oddziaływaniu aparatu władzy; operując na rynku i wykorzystując swą samodzielność w interesie członków, a więc zgodnie z ideą spółdzielczości.

Rozwój ten przekroczył chyba oczekiwania władzy, która wydaje się być nim wyraźnie zaniepokojona. Podejmowane są więc już działania zmierzające do powstrzymania rozwoju spółdzielczości, przy wykorzystaniu różnych środków, nie zawsze zgodnych z prawem, a już z pewnością sprzecznych z podstawowymi założeniami reformy gospodarczej. Należy się więc liczyć z silnym przeciwdziałaniem władzy wszelkim próbom zapewnienia spółdzielczości takiego miejsca, jakie przewidziano dla niej nawet w dokumentach partyjnych i obowiązują-

cych ustawach.

Obecna rola spółdzielczości w gospodarce narodowej oraz szanse stworzenie suwerennie działającej poważnej siły gospodarczej uzasadniają konieczność podjęcia głębokich studiów na ten temat. Trzeba bowiem określić możliwość naszych działań w tej dziedzinie i opracować odpowiednią strategię dla realizacji zamierzeń.

Podjęwając sprawy rolnictwa Lech Wałęsa skoncentrował swą uwagę kwestiach związanych z Fundacją organizowaną z inicjatywą Kościoła i wsparcią przez Wałęsę nagrodą Nobla. Należy jednak zasymalizować również inne problemy dotyczące naszego rolnictwa.

Polskie rolnictwo, jako jedyne w państwach należących do bloku sowieckiego, jest w swojej większości oparte na indywidualnej własności gospodarstw chłopskich. Jest to w oczywisty sposób sprzeczne z założeniami sowieckiego modelu gospodarki socjalistycznej i koncepcją scentralizowanej ekonomiki, preferowanej przez władzę. W naszym systemie ekonomicznym przeciwdziała się wolnorynkowej działalności tych gospodarstw przez rozbudowę wysocę scentralizowanego paratu zaopatrzenia i skupu. Rolnictwo indywidualne jest więc poddane silej presji ze strony gospodarki uspołecznionej. Mimo to nie udało się kolejnym ekipom doprowadzić do takiego uzależnienia rolnictwa od centrum, jak to się dzieje w innych działach gospodarki narodowej. Jest to niewątpliwie fakt pocieszający, stwarzający nadzieję na dalszy rozwój tej części gospodarki. Z drugiej jednak strony zniszczone zostały w rolnictwie tradycyjne organizacje broniące interesów chłopskich. Dokonały się również - niestety niekorzystne - przemiany w mentalności chłopskiej, wynikające z obawy, że wszelkie formy wspólnot gminnych i gospodarczych mogą być szybko przekształcone w kolektywizację na wzór sowiecki.

Odbudowa tych drobnych, niezależnych od władzy organizacji mogłaby znacznie podnieść efektywność gospodarowania na wsi. Jest to jednak zadanie bardzo trudne, m.in. z tego powodu, że brak jest dotąd nawet zarysu koncepcji podjęcia od tego problemu. Tematu tego nie podjęto w sposób poważny w okresie legalnego działania "Solidarności", tym trudniej będzie podjąć go teraz.

Wystąpienie Lecha Wałęsy jest w tonie umiarkowane, a propozycje realistyczne. Mogą one stanowić punkt wyjścia do opracowania programu odpowiadającego potrzebom obecnej sytuacji - czasu reakcji systemu totalitarnego. Tym różnią się one od niektórych propozycji niezależnych środowisk politycznych, zawierających bardziej radykalne projekty rozwiązań. Część z nich opowiada się za pełną reprivatyzacją naszej gospodarki. Oparte są one na następującym schenacie rozumowania; doświadczenia wszystkich systemów gospodarczych funkcjonujących na wzorach radzieckich jednoznacznie wskazują na niską efektywność tych systemów; można również wykazać, że wynika to z fałszywych założeń, leżących u podstawy ich konstrukcji - należy więc powrócić do systemu bardziej efektywnego, opartego na gospodarce rynkowej i prywatnej własności środków produkcji. Pozwoli to na szybkie zdynamizowanie gospodarki, a co za tym idzie, poprawę bytu społeczeństwa.

Nikt rozsądny nie wątpi rzeczywistości - po tyłu naszych doświadczeniach - w wyższość gospodarki kapitalistycznej nad "socjalistyczną". Realizm, świadomość stanu aktualnego Polski w sferze ekonomicznej nakazuje jednak sceptyczne podejście do tego typu rozumowania. Pomiędzy bariery polityczne, wewnętrzne i zewnętrzne, rozwiązanie to jest ze względów czysto ekonomicznych na dzień dzisiejszy nieralistyczne.

Po pierwsze, trzeba pamiętać, że niezbędnym warunkiem jego powodzenia jest posiadanie ogromnych kapitałów, których w Polsce brak. Po drugie, polski system ekonomiczny, podobnie jak systemy innych państw obozu sowieckiego, jest kształtowany od 40 lat na podobieństwo systemu wschodniego hegemonu. Z całą świadomością zniszczono wiele mechanizmów samoregulacji, niezbędnych przy funkcjonowaniu gospodarki rynkowej. Zlikwidowano również wiele instytucji związanych z rynkiem. Wykształcono kadre menadżerów, którzy potrafią działać tylko w systemie zwanym "gospodarką socjalistyczną". Jest to dziedzictwo, którego z dnia na dzień nie możemy się pozbyć. Ewentualny powrót gospodarki rynkowej to proces, który musiałby trwać wiele lat, nie przynosząc w tym czasie większych efektów ekonomicznych. Nie warto przedstawić opinii publicznej takich nieralistycznych wizji; trzeba poszukiwać rozwiązań uwzględniających istniejącą, twardą rzeczywistość. Sądzę, że krokiem w tym kierunku może być wypowiedź Lecha Wałęsy.

RAYMOND ARON TESTAMENT

Miałem szczęście w młodości, że do moich przyjaciół należało trzech ludzi, których wyższości nie mogłem przed sobą zataić: Jean-Paul Sartre, Eric Weil, Alexandre Kojève. Wobec pierwszego miałem przez kilka lat wątpliwości. Reakcja Maïtraux na "Légende de la vérité" wzbudziły moją obawę, czy bujność umysłu i potęga twórcza, tak oczywiste na początku lat trzydziestych, miał objawić się w genialnym dziele, nie zatracą się zawieszony między filozofią i literaturą. Nasz dialog nie stał się przez to trudniejszy. Zapewne Sartre miał rację zarzucając mi zbyt dużą obawę przed "wygłupieniem się". Nawet w naukach zwanych ścisłymi badaniami towarzyszy błądzenie, a błądzeniu sukces. On natomiast, zwłaszcza w polityce, hojnie korzystał z prawa do błądzenia.

Eric Weil, który jest znany zaledwie kilku tysiącom osób, odznaczał się wyjątkową kulturą, niemal bez skazy. Parokrotnie spierałem się z nim, w związku z wydarzeniami nigdy nie tyjącymi filozofii. Jednak kiedy w końcu zabieraliśmy się do filozofii, odczuwałem prawie fizycznie siłę intelektu przewyższającą moją, zdolność sięgania dalej i głębiej w formowaniu systemu. Znał on w tym czasie wiekich filozofów lepiej ode mnie.

Przy Aleksandrze Kojéve odnosiłem wrażenie, że gdy we mnie rodził się dopiero jakiś pogląd, on miał go już gotowy. A jeżeli nie przemyślał go, to mógł być to zrobić. Budził też we mnie podziw pełnią i solidnością swej kultury filozoficznej, o czym świadczą jego książki wydane pośmiertnie. W 1938 r. również pomylił się odnośnie historii dnia bieżącego; nie wierzył w wojnę na kilka miesięcy przed inwazją na Polskę. A ja wtedy postawiłem pytanie w jednej z moich rozpraw: w jakim sensie okaże się on w 1939 r. staliniścią czystej wody?

Moja zażyłość z tymi trzema wyjątkowymi ludźmi, z których jeden stał się diabelskim oibryzmem, a dwaj inni pozostali niemal nieznanymi, chroniła mnie przed złudzeniami. Nigdy nie marzyłem, by się mierzyć z minionymi wielkościami, przeciwnie, upodobałem sobie cytowanie, interpretowanie, kontynuowanie ich myśli. Zazdrościłem Sartre'owi, który w wieku 25 lat mniemał bez cienia próżności, że wyżyny Hegla są mu dostępne; drugi z tejże grupy budził moje wątpliwości będąc przekonany, że prześcignie Maxa Webera, o ile poświęci się studiom ekonomiczno-społecznym; zazdrościłem, nie bez ironii, Ericowi Weilowi, gdy pewnego dnia powiedział mi z całą powagą, że zamierza załatwić się ostatecznie z całą filozofią. A co się tyczy pism Kojéve'a, które jego zdaniem stanowią koniec cyklu myślowego i historii, to odczytuje je dzisiaj z tymi samymi co przed pół wieku uczuciami, być może jeszcze bardziej dwoistymi.

Oczywiście odczuwałem dla tych niezwykłych umysłów zarówno podziw jak i wątpliwości. Ale podziw nie przeszkodził mi mierzyć zbyt wysoko i tym samym cierpieć z powodu rozdźwięku między moimi ambicjami a działalnością. W kilka tygodni lub miesięcy od wydania każdej z moich książek zaczynałem odnosić się do nich z rezerwą. Chyba tylko do "Introduc-

tion", "Opium des Intellectuels", "Paix et Guerre" i "Clausewitz" odczuwałem dłuższą satysfakcję.

Z żadnej z innych moich książek nie jestem całkowicie zadowolony. Niedoskonałość ich wszystkich, nawet mierzona stosunkiem do poziomu, który pragnąłbym osiągnąć, teraz, gdy kości zostały ostatecznie rzucone, nie ciąży mi zbytnio. "Introduction" wymagała jeszcze jednego roku nieskrępowanego pisania, w mniejszym napięciu, mniej skrótowo. Podobnie "Paix et Guerre" - choć projektowałem tę książkę w ciągu dziesiątki lat, została napisana zbyt szybko; różne jej części były niejednako dojrzałe. Co się zaś tyczy opinii formułowanych w Anglii i Stanach Zjednoczonych na temat pewnego zbioru moich artykułów, nie zakłócają one mego sądu o sobie - ani te najpobłażliwsze ani te najbardziej surowe. Nie wierzę na słowo panu Bernardowi Crickowi, który przedstawił mnie jako ucznia, lecz jako równego Tocqueville'owi; nie czuję się też przygnębiony sądem zbyt surowym historyka, którego szanuję - Felixa Giberta.

Kłamałbym, gdybym twierdził, że sądy o mnie i o moim dziele są mi obecnie obojętne. Ten przeklęty skrzep nie utwardził mej skóry na tyle, by strzały odbijały się od niej jak od pancerza. Niemniej mam wrażliwość, przesadną, gdy miałem lat dwadzieścia dziś opadła poniżej normalnej. Cierpiąłbym w razie utraty przyjaźni lub szacunku tych kilku starych lub młodych, którzy są obecnie moim światem. Co do innych, mają prawo mnie pogrzebać. /.../ Przypadkowo lub z przewrotności opieram się nadal w pograżeniu w ciszy. Mam prawo otrzymywać ciosy, bo od czasu sam je zadaje /możliwie najrządziej/, lecz czas polemiki dla mnie się skończył. A jednak, kto wie dlaczego, odczuwam niekiedy potrzebę demaskowania mistyfikacji i kontynuowania walki, która przekracza moje możliwości. Chętnie przekazałbym żagiew w inne ręce.

Co skłania do współzawodnictwa Raymonda Arona? - zapytał na łamach "Le Monde" Viançon-Ponté poświęconych "Etapom myśli socjologicznej". Skłoniła mnie niegdyś do tego misja przekazana w spadku przez niepowodzenie, które spotkało mego ojca. Nie żeby ta misja nakazywała mi ubieganie się o zaszczyty. To prawda, mój ojciec pragnął otrzymać Legię Honorową; wyrównałoby to mu w jakimś stopniu to, co było rzeczywistym przedmiotem jego ambicji. Tak się nie stało. Nie szukałem honorów ani sukcesów. Pierre Bourdan przysłał mi do podpisania wniosku; byłem kawalerem Legii Honorowej przez dwadzieścia osiem lat - swoisty rekord. Inne odznaczenia same przyszyły do mnie. Zdanie o orderach, które przypisują Winstonowi Churchillowi, odpowiada mi znakomicie: nigdy nie żądać, nigdy nie odmawiać, nigdy nie nosić. Co się tyczy dwunastu doktoratów honoris causa, nie miałem żadnych powodów do odmowy ich przyjęcia. Odmowa świadczyłaby o przesadnej pysze. Rewolucyjny motyw Sartre'a, który nie przyjął nagrody Nobla, nie ma dla mnie żadnego sensu. Miła mi była nagroda Goethego, którą przyznało mi miasto Frankfurt. Trzy lata wcześniej otrzymał ją G. Lukacs, a trzy lata później - E. Jünger.

Być może dziennikarstwo, które nie przysłużyło mi się w oczach moich uniwersyteckich kolegów, naznaczone mnie bardziej, niż uznanie zagranicznych jurorów. Bez moich artykułów przypuszczalnie profesorowie doceniliby bardziej moje książki, a zagraniczne uniwersytety rzadziej myślałyby o mnie. Nieważne. Moim rodzicom dałem to, czego się ode mnie spodziewali. Z pogodą oczekuję ostatnich lat mego życia nie myśląc o nich ze zgrozą.

Czy udało mi się wybrać najpięszą z możliwych części mego życia? Zbliżając się do filozofów wysokiego lotu wiedziałem, że nigdy nie będę jednym z nich. Z pewnością, gdybym zrezygnował z powrotu na uniwersytet w 1945, gdybym był wybrany w 1947 do Sorbony, gdybym zrezygnował z dziennikarstwa, napisałbym jeszcze inne książki. Aby zacytować przykład najmniej wątpliwy: napisałbym zamiast trzech książek z serii kieszonkowej "Idee" jeden opasty tom, który zapewne miałby mniej czytelników, lecz odpowiadałby w większym stopniu moim wymaganiom ścisłości. Tego tomu, porównywalnego do "Introduction" lub "Penser la guerre" ośobiście żałuję. Moje dzieło jako analityka i walczącego w służbie wolności - kompensuje te straty.

Jakich książek żałuję, że nie napisałem? Być może kilku czytelników odpowiedziałoby: książki o Marksie. Myślę, że tylko z pewnym wahaniem mógłbym podpisać się pod tą potoczną opinią; z wahaniem, ponieważ marksizm oraz marksizm-leninizm nie może już interesować żadnego poważnego człowieka, powiedzmy akademika. Postępuję się tu stwierdzenie: mego przyjaciela Jona Elstera: czy można być jednocześnie marksistą-leninistą, inteligentnym i uczciwym? Można być człowiekiem inteligentnym i marksistą-leninistą, ale wtedy nie jest się intelektualnie uczciwym. Nie brak marksistów szczerych, ale inteligencja nie jest im właściwa. J. Elster jest w trakcie pisania książki, w której usiłuje odnaleźć podstawowe

sensy w myśli marksowskiej; książki będącej nie biografią intelektualną, ale źródłową interpretacją marksizmu; książki, która - jeżeli można tak powiedzieć - ujmuje marksizm w sposób możliwy do przyjęcia lub, w każdym bądź razie, nadający się dzisiaj do użytku.

Moim zamiarem jest, lub było przed kilku laty, całkiem coś innego: oczyścić istotę rzeczy od spekulacji filozoficznych młodego Marksa, uchwycić główne nurty jego myśli ekonomicznej, które zaprezentował w "Krytyce...", "Grundrisse" i "Kapitał" i wreszcie z tych dwóch wątków wydobyc różnych, możliwych Marksów oraz cechy charakterystyczne dla rewolucjonisty-proroka. Wątpię, abym zdążył jeszcze napisać tę rozprawę, której wykład w Collège z lat 1976-1977 są szkicem. W zbiorze moich pism taki esej wypełniłby zapewne puste miejsce. Ale uwzględniając wszystko, strata - nawet dla mnie - nie wydaje się poważna.

W momencie gdy to piszę, rozwija się nowy spór marksologiczny. Wybuchł on z racji nowego zainteresowania angielskich analityków marksistowską filozofią historii; ponowną próbą odczytania "Wstępu" do "Przyczynku do krytyki ekonomii politycznej", tekstu, który według samego Marksa zawierał istotę jego koncepcji rozumienia historii; tekstu, który marksiści II Międzynarodówki bez końca komentowali, a którym pogardzał Lukacs i bfińscy jego poglądów egzystencjaliści. Z drugiej strony teksty ekonomiczne napisane pomiędzy "Grundrisse" a "Kapitał" nie zostały dotychczas opublikowane. Zrozumienie zatem całości myśli ekonomicznej Marksa wymagałoby nowych lat studiów marksologicznych. Specjaliści znają ekonomistę imieniem Marks, w inny sposób bogatego, wnikliwego i interesującego niż jako autora "Kapitału". Ale Marks brzemienny w skutki - jeśli tak mogę powiedzieć - ten, który być może zmienił historię świata, to ten, który rozposzczernił fałszywe idee. Sformułowane przezeń - pojęcie wartości dodatkowej sugeruje, iż nacjonalizacja środków produkcji pozwala pracownikom odzyskać ogromną część wartości zawłaszczonych dotąd przez posiadaczy środków produkcji; socjalizm lub przynajmniej komunizm eliminuje same pojęcia "ekonomiczny" i "wstrętna nauka". Jako ekonomista Marks pozostaje, być może, najbogatszym i najbardziej pasjonującym myślicielem swej epoki. Jako ekonomista-prorok, jako duchowy prekursor marksizmu-leninizmu jest przeklętym sofistą, który ponosi odpowiedzialność i ma swój udział w okropnościach XX wieku.

Powinienem też żałować, że nie rozwinąłem tego, co poruszyłem w swoich dwóch rozprawach: "Introduction" i "Histoire et Dialectique de la Violence". Dyskutowanie nad książkami angielskich analityków już mnie nie interesuje. Sprawy, które wywołały tyle kontrowersji: pierwsza określana mianem Hempel-Dray, druga zaś dotycząca natury /lub rzeczywistości/ "rzeczy społecznej", wydają mi się teraz na swój sposób jałowe. Kilkakrotnie czytaniem aluzję do pierwszej z nich na marginesie sporu: *e x p l i c a t i o n* czy *c o m p r é h e n s i o n*? Wyjaśnienie historyczne odpowiadające idealnemu typowi interpretacji naukowej wymaga jednego lub kilku ogólnych twierdzeń, z których można wyprowadzić wnioski szczegółów. Schemat ten bardzo często odnaleźć można w pismach historyków-socjologów. Jednak gdy ma się do czynienia z podejmowaniem decyzji przez jakiegoś człowieka w sytuacji. Jedyne w swoim rodzaju, historyk objaśnia ją przez łgkie teże sytuacji uzupełnioną o charakter aktora podejmującego decyzję. Zrozumieć decyzję Hitlera zaatakowania Związku Sowieckiego w czerwcu 1941 wychodząc od analizy jego ambicji i jego osobowości wydaje mi się zarówno łatwe jak i niepewne. Uważam bowiem za błędne, logicznie i egzystencjalnie, zinterpretowanie jej w podobny sposób jak przyczynę zawału serca, burzy czy trzęsienia ziemi.

Druga sprawa, która wywołała ostatnio tyle kontrowersji, interesuje mnie znacznie bardziej. Odnosi się ona do *s o c i e t a l f a c t s*, do natury "rzeczy społecznej", pojęcia, którego nie należy utożsamiać ze zjawiskami społecznymi. Czy poczta, sieć kolejowa, Kościół mogą być upodobnione do Istoty albo po prostu do podmiotu zdolnego podejmować decyzje, być określane przymiotnikami na sposób stosowany w odniesieniu do osoby? Sprzeczność subtelna, zawista, być może niewyczerpalna. Poczta, czy w społeczności archaicznej system wzajemnego obdarowywania się nie jest przeciw Piotrem lub Pawłem, osobnikiem ludzkim, bytem z ciała i namiętności. "Rzecz społeczna" składa się z jednostek, niezmiennych między nimi zależności i zrytualizowanych bądź zorganizowanych zachowań zapewniających trwałość systemu. Czy działa ona i nakazuje w ten sam sposób jak pojedynczy człowiek? Na tak postawione pytanie kusi mnie odpowiedzieć, jak uczyliśmy to jeden z najbardziej przykrych analityków: tak i nie, czy: tak albo nie - jak wolisz. Istnieją rozmaite zbiory tworzące społeczeństwo ciasne i archaiczne albo szerokie.

kie i nowoczesne; socjolog obserwując je nie tworzy ich, one istnieją, ale innym rodzajem istnienia niż pojedynczy osobnik ograniczony biologicznie. W tych "rzeczach społecznych" większość osobników jest w sposób oczywisty zamienna: sezonowy zastępca listonosza wypełnia tę samą funkcję co etatowy listonosz przebywający w tym czasie na urlopie.

Głęboko fascynują mnie te analizy, chociaż w równym stopniu wydają mi się zwodnicze. Wiąza się one także z dyskusją nad indywidualizmem metodologicznym i holizmem. Byłbym rad dokonać swistej rekapitulacji mych rozproszonych uwag dotyczących zbiorów społecznych, "Zusammenhänge", według terminu Diltheya, w które my wszyscy jesteśmy wpisani.

Dyskusja, która zapewne nie jest czymś nowym, posługując się innym słownictwem, znajduje się już w centrum dialogu pomiędzy Durkheimem i Tarde, a także pomiędzy tymi, którzy Sir Karl Popper nazywa holistami i zwolennikami indywidualizmu metodologicznego /np. Friedrich Hayek/. Dyskusja ta przybiera inną formę, gdy socjologowie prezentują społeczeństwo funkcjonujące samo przez się, zaś jego osobników jako ogniwa tego mechanizmu, jako więźniów podlegających niezłomnemu determinizmowi. Wykłady, które prowadziłem w Collège, miały tłumaczyć zarówno naturę zbiorów społecznych jak i sposoby ich indywidualistycznego bądź holistycznego rozumienia.

Jednocześnie pracowałem nad "Introduction" i "Histoire et Dialectique de la violence". Gdy socjolog studiuje funkcjonowanie jakiegoś społeczeństwa, /lub jego części/, uciekając się do danym momentcie. Im bardziej jego spojrzenie niekierowane jest z racji metody na unieruchomioną całość, tym mniej się troszczy o zmiany, którym ona podlega - niezależnie czy są one niedostrzegalne czy też niekiedy niszcząco gwałtowane. Z zadowoleniem wiązałbym jedno z drugim: system i historię. W "République impériale" uwydatniłem raczej względną niezależność relacji zachodzących pomiędzy państwami w stosunku do rynku światowego, niż to, co jest im wspólne. Być może każda kariera szkolna i uniwersytecka jest w ponad trzech czwartych zdeterminowana przez przymus warunków społecznych. Ale kto żyje w wieku Hitlera i Stalina, musiaby kompletnie nie dostrzegać historii, gdyby negował rolę "herosów" w dziejach; musiaby widzieć tylko przetaczanie się nieugiętego i dającego się przewidzieć totalnego determinizmu tam, gdzie współczesny człowiek słyszy huk, widzi wściekłość i szuka sensu.

W naszej epoce ekonomii i wojny powinienem być, i być może uczynię to jeszcze, naszkicować odpowiednik "Jahre der Entscheidung" Oswalda Spenglera, albo raczej zarysować problemy filozofii historii końca XX wieku. Dwie wielkie wojny naszego stulecia, pierwsza przygotowująca drugą, obie zaś prowadzące ku trzeciej. Ten ciąg pozornie logiczny przerwany został przez nowość techniczną - broń nuklearną. Być może nie zostanie ona nigdy użyta przez supermocarstwa przeciw sobie, gdyż prawdopodobne zniszczenia przekraczają korzyści płynące ze zwycięstwa.

Dość na razie tych ubolewań. Założymy, że ktoś zada sobie trud czytania mnie jutro. Odkryje on rozterki, pragnienia i wątpliwości, które przepełniają świadomość człowieka przenikniętego historią: obywatela francuskiego, lecz Żyda, którego rząd francuski z Vichy wykluczył ze swojej ojczyzny na podstawie kryteriów rasowych; obywatela Francji będącej członkiem Wspólnoty Europejskiej, jednej z czterech światowych ognisk nauki i ekonomii; Francji niezdolnej obronić się samej, wahającej się między protekcją amerykańską, a pokojem sowieckim, który Moskwa jej ofiarowuje za cenę wolności; obywatela pewnej Europy, bardziej tolerancyjnej, bardziej wolnościelskiej niż kiedykolwiek dawniej, ale także i tej trawionej przez bunt wobec przymusów społeczeństwa industrialnego; pewnej Europy, być może dekadentckiej, ponieważ cywilizacje rozkwitają w wolności, a marnieją w beznadziei; pewnej Europy tkwiącej w ludzkości, Europa, która na przekór zwolnionemu tempu rozwoju ekonomicznego jest jednak skazana na ekspansję swej nauki i produkcji.

Znacznie bardziej niż tych niedokonań żałuję często, że nie pogłębiłem odpk wiedzy na pytanie, które sformułowałem w "Introduction": co jest z historyzmem? Czy jest esny więźniem dobra i zła? Czy cywilizacja, którą Zachód rozsiewa po całym świecie, warta jest więcej niż kultury, które dławii, sptyca skazując częstokroć na śmierć? Pozostałem w pewnym sposób człowiekiem Oświecenia. Naturalnie nie odrzucam jednak słowa "zabobon" do-

gnatów Kościoła. Mam wiele sympatii dla katolików wiernych swej wierze, którzy opowiadają się za totalną wolnością myśli w każdej materii świeckiej. Zbliżają bliższe mi są, z racji potworności religii świeckich, religie transzendentne.

Czy religie świeckie różnią się w istocie rzeczy od wierzeń społecznych w ujęciu ogólnym? Nasze społeczeństwo zawsze nas uczy osądzać ludzi, ich czyny i dzieła; religie świeckie, usurpując sobie monopol wartości ostatecznych, oznaczają dla mnie regres wobec różnorodności porządków świata, idei systemów. Zachód swą wielkość i zdolność do rozwoju zawdzięcza w poważnym stopniu dualizmowi władzy duchowej i doczesnej. W Związku Sowieckim pseudowierzący trwają w pseudoreligii głoszącej wiarę w rzekomą prawdę społeczną stojącą na czele podporządkowanych jej prawd wtórnych. Dla nas, Europejczyków, okcydentalistów, przyjęcie marksizmu-leninizmu za jedynie obowiązującą w państwie prawdę oznaczałoby więcej niż regres, oznaczałoby abdykację. Zachód istnieje i trwa tylko dzięki pluralizmowi.

Marksizm-leninizm zastępuje, w pełnym tego słowa znaczeniu, na miano zabobonu. Religijne dogmaty zbagawienia wymykają się - wynika to z istoty rzeczy - dociekaniom prowadzonym zgodnie z regułami wiedzy racjonalnej. W przeciwnieństwie do nich pretendujący do prawdy absolutnej dogmatyzm podlega krytyce, skoro sam usiłuje odwoływać się do poznania naukowego.

Uparty antykomunizm, który mi niektórzy przypisują, wyznaję bez złej wiary. Nazizm jest mi równie wstrętny co komunizm. Argument, którym tylekroć się posługiwałem, aby odróżnić mesjanizm rasy od mesjanizmu klasy, nie czyni już na mnie wrażenia. Pozorny uniwersalizm tego drugiego okazał się w ostatecznej analizie złudzeniem. Komunizm, raz doszedłszy do władzy, wikła się w nacjonalistyczny bądź imperialny mesjanizm. Sakralizuje konflikty i wojny, choć jemu samemu daleko jest do zachowania ponad granicami delikatnych więzów wspólnej wiary.

Pluralizm intelektualny lub duchowy nie pretenduje do prawdy porównywalnej z prawdą matematyczną lub fizyczną; nie poniża się także do poziomu jakiegokolwiek opinii; tkwi korzeniami w tradycji naszej kultury, uzasadnia się i w swoisty sposób weryfikuje przez fałszywość wierzeń, które usiłują go zanegować. Szyccy irańscy, jak i marks-leniniści należą do tej samej rodziny, skoro kler szyicki, podobnie jak to czyni sowiecka partia komunistyczna, chce rzucić społeczeństwem cywilnym. Okcydentalista góruje nad wyznawcą Lenina bądź Chomeiniego, ponieważ dostrzega różnicę pomiędzy prawdami naukowymi, jakkolwiek nie byłoby one tymczasowe, a wierzeniami religijnymi; góruje nad nimi również i dlatego, ponieważ wątpi - świadom, że jego kultura jest jedną z wielu. Przez odrzucenie wątplenia wzmacnia się być może zapach walczących, ale tym samym wyklucza się możliwość pacyfikacji konfliktu. Marks-leniniści i Chomeini przypominają nam, że zawołanie krzyżowców: "Ia foi qui agit!" jest żywe i w naszej epoce. Okcydentaliści są dzisiaj jedynymi, którzy, świadomi zasadności pluralizmu autorytetów moralnych jak i szczególnych cech naszej kultury, otwierają drogę historii mającej jakiś sens.

Pluralizm logicznie wynika z sekularyzacji polityki. Nie dlatego, że konkurencja partyj może być wartościowana na tej samej płaszczyźnie, co pluralizm porządków duchowych. Wydaje mi się, że to, co warunkuje w przyszłości osłabienie naszych odziedziczonych przekonań, to zekwestionowanie podstaw porządku społecznego i systemu politycznego. Byłoby nierozsądne twierdzić, że więcej jest warte społeczeństwo stale kontestujące niż społeczeństwo zespolone jednorodnymi przekonaniami /więcej warte dla kogo?. Powiedziałem, że kontestacja polityczna nieuchronnie postępuje za kontestacją religijną. Otóż kontestacja polityczna jest, stosownie do sposobu rządzenia, albo mniej, albo bardziej dławiona za pomocą gwałtu lub chytrłości, albo też tolerowana lub organizowana.

Nie wynika z tego jednak, że ustroje, które nazwałem konstytucyjno-pluralistycznymi, muszą być najlepsze lub jedynie dobre, że nadają się do ogólnoludzkiego upowszechnienia. Auguste Comte nazwał stan myślenia, któremu one odpowiadają, awangardą ludzkości. Prawo wszystkich do udziału w dialogu politycznym nad wspólnym tosem wynika z odrzucenia prawdy absolutnych, a jednak przyznanie tego prawa niektórym społeczeństwom powoduje ich rozpad.

Demokracja w rozumieniu filozofii klasycznej żądała istnienia obywateli i to obywateli "szlachetnych" czyli respektujących prawa. Demokracja w społeczeństwach industrial-

nych przeciwstawia sobie producentów i konsumentów, grupy interesów i partie; powoduje iż władza wyłoniona w nieuchronnej rywalizacji i przez nią ograniczana ryzykuje degenerację, zapomnienie wymagań kolektywnego bezpieczeństwa. Można powiedzieć, że ludzie zawsze pragnęli i nadal pragną suwerena, władcy, którego od poddanych oddziela ucieleśniona w nim przeszłość i uczucia świadczące mu przez wieki. Jeżeli chłodno porównamy cienie i blaski, wady i zalety takiego lub innego ustroju, nie wiem - biorąc pod uwagę wszystkie teoretycznie możliwe ustroje - czy przyznalibyśmy pierwsze miejsca demokracjom Europy lub Ameryki. Ale jakżby inny ustrój na Zachodzie byłby uznany za prawowity? Ustroje monopartyjne funkcjonują jedynie przez gwałt ledwie kamuflowany, przez ponurą rezygnację ludzi. Kraje Europy wschodniej są tego przykładem.

Nawet w polityce spór o historyczne zachowanie charakter abstrakcyjny, prawie sztuczny. Odpowiedź na pytanie, czy należy żałować, że ludzkość nie zatrzymała się na etapie społeczeństw neolitycznych lub greckich miast-państw, wydaje mi się niemożliwą, a samo pytanie pozbawione sensu. Zwierzę-człowiek zostało, przez swe dziedzictwo genetyczne zaprogramowane do ewolucji kulturowej. Na różnych etapach tej ewolucji organizacja życia zespołowego objawiała się w rozmaitych postaciach. Różnorodność ta jako taka nie jest problemem. Problemem w oczach wyznawców historyzmu jest dopiero fakt, że zło tutaj - gdzie indziej staje się dobrem.

Socjolog rozwdzi się na temat różnorodności języków, obyczajów, bogactwa przejawów ludzkości. W imię jakiej wartości, jakiego kryterium mamy prawo wartościować te "społeczności", określać ich miejsce w hierarchii, wreszcie uznać jedno z nich za najlepsze, za wzór? Kierując się podobną intencją Max Weber pyta: co przeważa w kulturze niemieckiej, a co we francuskiej? Odpowiadam: po co stawiać to pytanie? Po co porównywać? Po co wynosić jedną nad drugą?

Różnorodność pociąga za sobą ryzyko popadnięcia w sceptycyzm, skoro przy przechodzeniu od społeczeństwa do społeczeństwa dobro i zło bywają wartościami przemiennymi. Nie uważam, żeby tak miało być. Uczciwość, szczerłość, lojalność, łagodność, przyjaźń nie zmieniają swego znaku z wieku na wiek, z kontynentu na kontynent, przy przekraczaniu każdej granicy. Oczywiście to samo zachowanie w różnych grupach może być opatrzone odmiennym sądem: uznane za agresywne w jednej, w drugiej może być traktowane jako zdrowo-sportowe. Ani aktywność ludzka, ani sukces nie mają wszędzie tej samej miary. Wewnątrz tego samego społeczeństwa nie istnieje jeden typ człowieka, jeden wzorzec. Rycerz, duchowny, uczony nie pretendują do tego samego rodzaju doskonałości. Wszystko bowiem, co wywodzi się z kultury, tak jak ją definiują etnologowie, nie poddaje się uniwersalnemu sądowi. Ktokolwiek formułowałby taki sąd, nieuchronnie przynależał do jakiejś kultury. Nie ma obserwatora zdolnego wznieść się ponad chaos.

W pewien sposób wielorakość kultur przypomina wielorakość sztuki. Należy podziwiać ich różnorodność, a nie optakiwać i pozorną anarchię. My, ludzie Zachodu, znajdujemy się w błędnym kole; bardziej niż inni świadomi jesteśmy tej różnorodności, a jednak aspirujemy do prawd uniwersalnych i wartości uniwersalnych. Ta pełna udręki sprzeczność jest źródłem rozdarcia naszej świadomości historycznej, a jednak nie jesteśmy zdolni jej przezwyciężyć lub co najmniej znieść ją w pokorze.

Czy należy przeklinać rzymski podbój Galii, czy go wielbić, bo z niego narodziła się Francja? Każdy odpowie na to pytanie stosownie do swych uczuć i wiedzy. Tego rodzaju sądy historyczne zostawmy gustującym w nich erudytom i polemistom lub też filozofom opętanym przez demona propagandy w rodzaju Fichtego. Tego rodzaju sądy historyczne niepokoją nas jedynie wtedy, gdy stają się sądami politycznymi.

W naszej epoce miliony ludzi przeżywa i cierpi wewnętrzne rozdaranie; jest ono spowodowane przez fakt przynależności do kultury, która umiera, oraz pożądaniem i jednoczesną pogardą tej, która wskazuje drogę ku potędze i obfitości. Prawie pół wieku temu napisałem, że Zachód zatracił świadomość swej roli, w którą wpisane było jednak pryncypie niszczenie przezeń wartości pozytywnych i negatywnych. Pozbawiony swoich imperiów nie bierze na siebie, jak dawniej, odpowiedzialności wynikającej z przyjętej roli; być może Europejczyk nadal popełnia ludobójstwa, ale popełnia je nie tyle w imię cywilizacyjnej misji, ile raczej przez fakt swego istnienia. Historia ludzkości jest cmentarzem martwych kultur, niejednokrotnie zupełnie wymazanych z pamięci żywych.

Czy historia była tragiczna dla Indian, dla Azteków, dla Inków? Któż w to wątpi? Depcze ona trupy kultur równie skutecznie jak i trupy ludzi. Ku czemu ona zmierza? Czy to,

co nadejście jutro, w jakikolwiek sposób usprawiedliwi cierpienia tych, którzy padli po drodze? I na te pytania także nikt nie jest w stanie odpowiedzieć. Dzisiaj, w XX wieku, jesteśmy wolni od swoistego prowincjonalizmu właściwego wszystkim kulturom minionym, wolni od naiwnego progresizmu, wolni od łatwego relatywizmu także. Dawniej fundamentami naszego myślenia była wiara w sens nauki, było przekonanie, że godność przynależna jest każdemu: szlachetnemu i nikczemnemu. Wydarzenia naszego stulecia zniszczyły te złudzenia; okazało się bowiem, iż postęp nauki nie czyni człowieka lepszym, nie warunkuje harmonijnego rozwoju społeczeństw. Okropności reżimów Hitlera i Stalina, na przekór potocznym opiniom, wyrwyją nas z iluzji powierzchownego progresizmu. Wiemy, że wszystko, w tym i najgorsze, jest możliwe. Dzięki temu wiemy jednak również i to, że zło i dobro są moralnie czym innym.

Tak spekulując doszedłem do teorii lepiej opracowanej, zawartej w dwóch cyklach wykładów w Aberdeen. Jak pogodzić myśl przyznającą prawo do istnienia wszystkim kulturom ze zdecydowanym przekonaniem o przynależności do swojej własnej? Jak pogodzić w praktyce moją przynależność do narodu, którego jestem obywatelem, z wiernością mym żydowskim przodkom? Jak zaakceptować możliwość zastosowania broni nuklearnej ze świadomością skazania milionów niewinnych na śmierć? Czy ponownie mogę przyjąć za własne ostatnie zdanie z "Introduction": "Egzystencja ludzka jest dialektyczna, to znaczy dramatyczna, gdyż ma miejsce w świecie pozbawionym ładu, angażuje się bez względu na swój czas trwania, poszukuje prawdy, która przed nią ucieka, nie mając żadnej innej pewności prócz fragmentarycznej wiedzy i formalnego myślenia"?

Obecnie usiłowałbym raczej odgraniczać dokładniej wartości społeczne od cnót moralnych, położyłbym większy nacisk na podstawy prawdy naukowej i ludzkiego uniwersalizmu. Co się zaś tyczy działania, to naszą kondycję historyczną opisałbym - choć nie postępując się terminami na wskroś odmiennymi - w sposób bardziej konkretny. W okresach spokojnych, wewnątrz nowoczesnych społeczeństw demokratycznych, obywatel nie ma powodów przeżywać lęku związanego z awanturczym charakterem podejmowanych decyzji. Gdy dobro ogółu jest jednak zagrożone, gdy spekulujemy na temat odstraszenia i broni nuklearnej, gdy wahamy się między protekcją amerykańską a protektorem sowieckim, ukrzczamy w świat wewnętrznie niespójny; postawieni jesteśmy postawieni wobec konieczności dokonania wyboru jednego z dwóch, w końcu obu niedoskonałych, porządków społecznych; zdani jesteśmy na ewentualne okropności będące tego wyboru konsekwencją, miast go z gruntu, być może, odrzucać.

Napisałem prawie pół wieku temu, że nasza kondycja historyczna jest dramatyczna. Czy jednak nie należałoby powiedzieć dramatyczna lub tragiczna? Z pewnych względów tak, raczej tragiczna. Tragiczna, bowiem bezpieczeństwo zbiorowe zapewnia groźba bombardowań nuklearnych; tragiczna, bowiem trzeba wybierać między gromadzeniem broni klasycznych a niebezpieczeństwem nuklearnym; tragiczna, bowiem cywilizacja przemyślowa prowadzi do destrukcji starych kultur. Ale tragiczność naszej kondycji historycznej byłaby ostateczna tylko wtedy, gdybyśmy nie byli zdolni do wyobrażenia sobie innego finału niż katastrofy. Nadal myślę, że szczęśliwy koniec jest wyobraźalny, ale daleko poza horyzontem politycznym, poza ideą Rozumu w rozumieniu Kanta.

Czy żał mi, że nieostałem Kissingerem jakiegoś Księcia, jak żartobliwie piszą niektórzy, np. Jean d'Ormesson? Odpowiem im przyjaźnie, że się mylą.../ myślę po prostu, że nigdy nie posiadałem odpowiednich kwalifikacji do sprawowania władzy, nawet na poziomie doradcy. Ostrożny w pismach, źle jednak panuję nad swoimi wypowiedziami. Pozwalam sobie, pod wpływem okoliczności lub nastroju, na sformułowania krótkie, które nie wyrażając sedna mojej myśli, grożą jej wypaczeniem. Polityk powinien panować zarówno nad swoim językiem, jak i nad swoim piórem. Potrafię dostosować moje słowa do mego rozmówcy, ale język dyplomacji jest mi nieznośny. Lubię mówić bez odważania każdego słowa, a kłamstwo, nawet najbanalniejsze, przychodzi mi z trudem. Brak mi wyobraźni, aby zrezygnować z udziału w obiedzie lub zebraniu.

Co więcej, nigdy nie przypisywałem sobie kompetencji zawodowego ekonomisty. Zapewne także większość ministrów finansów nie posiada kompetencji tych, którzy uczą ekonomii lub ją stosują. Dlatego minister, który szuka doradcy spoza administracji, miałby wy-

brać człowieka mojego pokroju; człowieka z pogranicza wielu dyscyplin, o umyśle niezależnym, kierującego się uczuciami niezbyt dającymi się pogodzić z obowiązkami doradcy?

Przypadek Henry Kissingera narzuca się komentatorom z racji moich z nim powiązań, uczuć, którymi mnie darzy i z których nie robi tajemnicy nawet w mojej nieobecności. Moje wuki przechodzą za dumą egzemplarz jego pamiętników z dedykacją "to my teacher" /miśno, że tymczasem historycy zdjęli Kissingera z jego cokołu, a ja wraz z nim dziełem nieśmiałości fortuny. Przewodniczyć narodowej radzie bezpieczeństwa w Waszyngtonie, informować co dzień rano prezydenta Stanów Zjednoczonych o sytuacji w świecie, negocjować w jego imieniu w Pekinie lub Moskwie, tego rodzaju funkcja fascynowałaby mnie, gdybym był obywatelem amerykańskim. Tym bardziej, że McGeorge Bundy, W. Rostow, H. Kissinger, Z. Brzeziński, profesorowie o randze porównywalnej z moją w Harvard, dostąpili tej funkcji bez prowadzenia kampanii wyborczej, bez budowania tronu dla Księcia. Z całą pewnością będąc obywatelami amerykańskim żyłoby się sobie doświadczenia władzy, ale mniemam, że zrozumiąłbym w porę, że nie jestem z gatunku Kissingera.

Nie wystarczy inteligencja, wiadomości sądy. Trzeba uzdolnień, których mi-brak według wszelkiego prawdopodobieństwa. Trzeba wtargnąć w dżunglę kłótni waszyngtońskiej, kłótni osób i instytucji, uwodzić prasę albo przynajmniej unikać z nią targów, podejmować lub inspirować decyzje często konieczne, które wysyłają do boju albo na śmierć młodych ludzi. To nie negacja zasadności używania siły w teorii lub praktyce - czym innym jednak jest godzić się na użycie sił zbrojnych, a co innego przekonać prezydenta, by się hic et nunc nimi posłużył. Skłonność do zbytnej skrupulatności, nieznośność przemocy, przeszkadzałyby mi na stanowisku zajmowanym przez tej rangi intelektualistę co Kissinger.

Poniechajmy tych wyznań na tematy nieralne. Wyobraźmy sobie stanowisko we Francji odpowiadające stanowisku doradcy prezydenta USA do spraw dyplomacji i obrony. Żaden z prezydentów V Republiki nie miał potrzeby posiadania takiego doradcy i nie zaakceptowałby go. A same stanowisko nie byłoby zbyt pociągające. Znaczna część dyplomacji Generała de Gaulle'a nie wykraczała poza inscenizację. Cóż pozostało z jego podróży po Ameryce tacińskiej, Rumunii, Polsce prócz wspomnień oklasków? Kilka decyzji powziętych przez niego pozostało: wystąpienie z dowództwa NATO, nieudana próba aliansu francusko-niemieckiego celem wydobycia obu krajów spod "hegemonii amerykańskiej", ponowne nawiązanie stosunków z Moskwą /po odprężeniu nie nastąpił ani kooperacja, ani przyjaźń/. Od tego czasu dyplomacja francuska idzie w dwu kierunkach: stałe porozumienie z partnerami Wspólnoty Europejskiej oraz aktywność w pozostałych częściach świata.

W Afryce Francja usiłuje zachować obszar swych wpływów, podtrzymywać więzi z krajami francofoniskimi. Od czasu do czasu wybuchają kryzysy w Czadzie, w Afryce Centralnej, w Klnshasie. Podejmowane decyzje, szczęśliwe czy nie wymagają nieprzeciętnej przynikliwości i odwagi. Na Bliskim Wschodzie dyplomacja francuska nie wykracza poza deklaracje z racji braku niezbędnych środków, by móc zaważyć bezpośrednio na wydarzeniach. Francja jest obecna we wszystkich częściach świata, jednak prezydenci V Republiki ulegają iluzjom, gdy na wzór prezydentów amerykańskich chcą być swymi własnymi ministrami spraw zagranicznych. Od śmierci Generała dyplomacja francuska - nie licząc wejścia Wielkiej Brytanii do Wspólnoty Europejskiej - przestrzega tej samej linii. Nie ona jednak wyznacza pozycję Francji na świecie, czynią to sami Francuzi przez jakość swej pracy i kulturę.

Nie marzy mi się ministerstwo ani ambasada lub choćby hotel w jakiejś szacownej radzie. /.../ To, co mnie pobudza i co od czasu do czasu wznieca moje obawy i nadzieje, to pytanie, które ustawicznie sobie stawiam: czy moje nauki miały jakąkolwiek wartość dla moich młodych słuchaczy? Czy nauki zawarte w moich artykułach przysadyły się memu krajowi, czy przyczyniły się do rozwoju moich czytelników, czy zwiększyły za granicą uznanie dla dziennikarstwa francuskiego? Czy przydałem się jakoś w ciągu tych trzydziestu lat, gdy - było nie było - pisałem przynajmniej jeden artykuł tygodniczo?

W ciągu tuzina lat na Sorbonie nigdy nie doświadczałem niepokojów co do wpływu, jaki mogłem wywierać. Dostarczałem moim studentom, marksistom i niemarksistom, teorię społeczeństwa przemysłowego, filozofię polityki Spinozy, interpretację socjologiczną Monteskiusza, studia nad stosunkami międzynarodowymi. Nauczanie to - dla tych, którzy wybrali karierę socjologa - nie miało, być może, tej samej wartości, co nauczanie socjalisty od ankiet. Udy się jednak miało do czynienia ze studentami typowymi dla pryncypalnej epoki między Sorboną z lat mojej młodości i Sorboną, która eksploatowała w 1938 r., to

profesor bardziej klasyczny, który w sposób prozaiczny, ścisły, wytyczał drogę analizy socjologicznej, nie zrobiłby tego lepiej, aniżeli ja. Zapieć dla niektórych, a gorzej dla większości. Profesjonaliści nadają tym większe znaczenie socjologii uśrednionej, że znają jej granice, a więc w ostatecznym rachunku jej łatwość.

Pytanie, które stawiałem sobie wielokrotnie, dotyczy moralnej lub politycznej zawrotności mojego nauczania interpretowanego w jak najszerszym zakresie. Wspominałem o moich kontaktach ze studentami École Normale Supérieure de Saint-Cloud. Przed kilku miesiącami, w 1982, gdy ta książka była na ukończeniu, otrzymałem od jednego z absolwentów tej szkoły kilka stron książeczki-pamiętnika, którego nie zamierzałem opublikować, a w którym ja figuruję. "Zawsze za radą d'Auriaca - czyli dla nas nakazem - my oto w półcieniu jednej z sal Sorbony, gdzie odbywa się posiedzenie francuskiego Towarzystwa Filozoficznego pod przewodnictwem Leona Brunschwicga - olimpijskiego, o wysokim czole i przenikliwym spojrzeniu, obojętnego na pozory. Raymond Aron - jakby z jednej bryły, o twarzy karykaturalnej jak maska, z odstającymi uszami, haczykowatym nosem, o ustach na poły ironicznych a na poły zgorzkniałych - mówi chłodno i beznamiętnie o względności w historii, o kruchości demokracji, o niepewnej przyszłości człowieka, o poglądach podważających jedynolity świat Victora Bascha. Ten zaś, trzęsący się cały, wykrzykuje głosem trybuna swoje niezachwiane przekonanie: wolność zrodziła się w Grecji, nie przestała przyswieszczać człowiekowi w jego marszu, jest światłem, które nigdy nie zgaśnie, ona go zdoberdzie. Jego rozmówca odpowiada mu z lodowatą kurtuazją, że nic nie jest za-wczasu zdecydowane, nic nie jest nabyte, że wszystko, co można sądzić /przysiąść to od niechcenia, jakby na skutek znudzenia/, to to, że w bardzo, bardzo odległym czasie słuszność i moralne względy przeważą dzięki swej zbieżności i że są one bardziej skuteczne i trwałe niż namiętność i gwałt. /.../ Tutaj Raymond Aron ma na pewno rację".

Posiedzenie Francuskiego Towarzystwa Filozoficznego, opowiedziane tu przez jednego z moich słuchaczy z Saint-Cloud, miało miejsce w czerwcu 1939 r. Wspominałem o nim z mieszanymi uczuciami w jednym z poprzednich rozdziałów. Naturalnie miałem rację: niepewność przyszłości, groźba wojny, kruchość demokracji. Victor Basch żył swą wiarą, pogodny na przekór burzy, która wzbierała na horyzoncie. Został zamordowany, bo był żywym, bo wierzył we wszystkie wartości, które naziści i ich francuscy uczniowie chcieli zniszczyć.

"Cloutard" snuje wspomnienia o swych profesorach filozofii. "Słuchaliśmy wykładów dwóch profesorów zobowiązanych jednocześnie do wykładów filozofii w Szkole, obu Żydów, ale różniących się między sobą całkowicie. Sumienny Dreyfus-Lefoyer, zawsze obecny, jego wykład przetadowany, a nawet wyczerpujący, bez wątpliwości i niespodzianek, pozostawiał nas obojętnymi. Wnikliwy Raymond Aron był w swym wykładzie prowokujący i pobudzający, bo wykraczając poza program wzbogacał go o uwagi o filozofach historii od Machiavela, poprzez Hobbesa do Sorela i Pareto. Przeciwstawiał idealistycznemu optymizmowi praktyczne działania polityczne, Realpolitik - taką, jaką uprawiał Bismarck, jaka inspirowała Hitlera. Aron przebywał kilka lat w Niemczech, gdzie mógł obserwować rozwój nazizmu, który go mierzył, ale i fascynował. Był socjalistą, a to pozwoliło mu na dołączoną znajomość Marksa. Cenił w nim przenikliwego krytyka ekonomii, lecz odrzucał jego materialistyczne profetyzmy niosący nieodwołalne wyroki. W imię jasności i realizmu rozbił ją złudzenia. Nie chciałem wyrzec się swej wiary, lecz doceniałem głębiej jego poglądy. Podczas gdy my pragnęliśmy żyć nadal w XIX wieku, on - jak światło rozpraszające chmury - usuwał swą ścisłością mity i my wszyscy ukazywaliśmy się sobie nadzy i bezbroni na brzegiem przepaści. Niemal obwinialiśmy go o to, że nas tam zawiódł. Był wręcz przerażający, gdy ujawniał nam niebezpieczeństwa nazizmu niosącego ze sobą groźbę wojny. Był taki też i wtedy, gdy - pozabawiając ideę rewolucyjną wszelkiej nadziei - stawał się demobilizatorem...".

To nie ja byłem przerażający, lecz świat jaki mi się jawił między 1935 i 1939 i jakim był istotnie - wiemy to dzisiaj. Nigdy nie byłem zimny i obojętny, lecz często robiłem takie wrażenie. Dlaczego? Przez skromność? Przez niechęć do mieszanina stylów? Z obowiązku wobec Spinozy: "nie ośmieszać ludzkich poczynań, nie błądzać nad nimi, nie przeklinać ich, lecz starać się je rozumieć! Mieszanina po trochu tego wszystkiego i prawdopodobnie jakaś rzecz bardziej tajemnicza. Moje wypowiedzi w młodości, w latach trzydziestych, zdradzały - być może - swoistą radość intelektualną, świadomość rozpraszania chmur i zbliżenia do prawdy. Gdyby tęsknota ku wierzeniom, które burzyłem, przebiła za moich zaprzeczeń, wtedy, być może, mój głos nie byłby analitycznie lodowaty, ale ogrzany choćby próżnym buntem świadomości przeciw rzeczywistości.

Po napisaniu przeze mnie "La Tragédie algérienne" Francois Mauriac znalazł natychmiast wspólny język z moim słuchaczem z Saint-Cloud. Dlaczego? Trzeba było wybierać między wojnę a pokój, między zachowaniem francuskiej suwerenności a prawem Algierczyków do niepodległości; postawić nieubłagane ten dyktando. Analiza nie była ani gorąca, ani zimna, lecz prawdziwa lub fałszywa. Bądźmy sprawiedliwi. Innym razem Mauriac napisał do mnie dziękując gorąco za odczyt wygłoszony do kilkuset studentów katolickich. Także w telewizji ocenił mnie całkiem inaczej: przeciwstawił mnie V. Nabokowowi, by go zniżyć.

Pozostaje zarzut w innym sensie poważny - demobilizator. Czyż całe życie byłem "demobilizatorem"? Nie mogłem nim zostać, ponieważ nie poświęciłem się ściśle i wyłącznie tylko nauce. Być może byłem nim wobec moich słuchaczy z Saint-Cloud między 1935 i 39 r., choć na pewno nie wszystkich, zwłaszcza nie wobec katolików. Ale czy mogłem postąpić lepiej? Fauconnet dał mi do wyboru: "rozpaczliwy lub sataniczny"; "Cloutard" ze swymi towarzyszami uznali mnie przerażającym. Burzyłem ich pewność, odstawiałem przed nimi całkiem bliskie niebezpieczeństwo. Opowiadałem się za demokracją, która - choć zagrożona urzędem - była przecież więcej warta niż ustroje totalitarne. "Walczymy po stronie Paris Soir a przeciw Wlkijscher Beobachter" rzekł kiedyś Jean Cavallès u Leona Brunschvicga - nie z braku nadziei, lecz z szysterstwa - on, jeden z najczystszych bohaterów Ruchu Oporu. Nie wskazywałem mym słuchaczom drogi rewolucyjnego zbawienia. Czyż myliłem się, skoro zbawienie to miało na imię Stalin?

A czy z chwilą wybuchu wojny byłem "demobilizatorem"? Rzeczywiście, trzeba było demobilizować wierzących działaczy - współtowarzyszy Stalina, Chruszczowa i Breżniewa. Tej działalności uzdrawiania umysłowego poświęcałem dużo czasu. Fakty i mody, nie moje argumenty, usiłują dzisiaj zdyskredytować rewolucyjną nadzieję, do której rości sobie prawo komunizm. Ale to, co mógł powiedzieć "Cloutard" w latach trzydziestych "za co się brać?"/, nie ma prawa napisać Michel Contat w roku 1982. Zachodnie demokracje dokonały od ostatniej wojny postępu /gardzący tymi demokracjami uważali je za niezdolne do czegoś podobnego/ - zarówno w dziedzinie ekonomii, jak i swobód obywatelskich i polepszenia stosunków społecznych. Kto rozpowszechnił "Śmiercionośną" nauki? Czy ci, którzy szukali Mekki po kolei w Moskwie, Belgradzie, Pekinie lub Hawanie, czy ci, którzy wyzwolili ze zbawicielskich wierzeń, pracowali usilnie nad dobrobytem i reformą ustrojów liberalnych, najmniej z tych w naszej cywilizacji, być może najmniej z tych w historii?

Moja krytyka świeckich religii zawiera w sobie ogólne twierdzenia, które niektórzy oskarżaliby o konformizm. Akceptuję cechy charakterystyczne ustabilizowanych ustrojów demokratycznych i liberalnych. W "Essai sur les libertés", do którego mam ciągle stałość, starałem się przedstawić niezbędną syntezę dwóch form wolności: dziedziczną autonomii pozostawionej jednostkom i środku, które państwo daje najbardziej, aby mogli przystąpić do przysznanych im praw. Nowoczesne demokracje uznają zarówno wolność wyboru jak i wolność możliwości; pierwszą z nich zapewnia ograniczenie wszechwładzy państwa, drugą zaś prawa socjalne. W swych najlepszych momentach społeczeństwa zachodnie wydają mi się zachowywać wzorowy kompromis.

Dzisiejsi "specjalści" nie określiliby mnie jako "satanicznego lub rozpaczliwego". Dużo chętniej okrzyknęliby mnie jako konserwatystę, obojętnego na nierówności między ludźmi i narodami, godzącego się na ustroje, w których każdy nie zasłużyłby do niedoskonałości, nawet wady. Zawsze istnieją bogaci i biedni, potężni i poniżeni. Żadna socjodycea nie usprawiedliwi w sposób bardziej przekonujący naszych ustrojów niż teodycea; które usprawiedliwiały kiedykolwiek Stwórcę. Ci, którzy przedkładaają równość ponad wszystko, ponad wolność, wypominają mi przyznawany przeze mnie w moich komentarzach lub książkach udział należny "skandalom" nierówności.

W moich wykładach na Sorbonie często omawiałem nierówność. Pewnego roku poświęcałem temu zagadnieniu dwie godziny tygodniowo. Nic z tego nie wykorzystałem do opublikowania, tak bardzo moje próby wydały mi się niezadowolające.

Z całego serca jestem egalitarystą w moralnym sensie tego terminu; drażni mnie ta wielość wzajemnych zależności jednostek w społeczeństwie, która dźwawi uczucia braterskie. Czy to dziedzictwo religii zbawienia, równości wszystkich wobec Boga? Arrogancja lub autorytaryzm wielu moich kolegów, często z lewicy, wobec studentów szkodzi mi. Jednak pomijając te uczucia wyznaję, że nie wiem, co implikuje sprawiedliwość społeczną i jaki rozkład dochodów lub bogactw. lub prestiżu lub władzy odpowiadałby wymaganiom równości. Filozofowie prawa w Stanach Zjednoczonych dyskutują już nad tą kwestią od paru

lat. Są skłonni zalecać jak największą równość dającą się pogodzić z zachowaniem wierności. Te spekulacje, chociaż błyskotliwe, nie usuwają ani pewnych sądów dotyczących poszczególnych przypadków, ani niepewności odnośnie całości.

Pomińjąc totalny despotyzm oraz społeczeństwo egalitarne w pełnym tego słowa znaczeniu, co jest utopią, rozdział dóbr społecznych nie podlega żadnej prostej zasadzie. Sądy negatywne narzucają się łatwiej niż sądy pozytywne. Korzyści pieniężne i nie pieniężne, z których korzystają pewne grupy, pewne zawody lub pewne osoby nie znajdują uzasadnienia ani same z siebie, ani przez porównanie z korzyściami innych grup, zawodów lub osób. Łatwiej jest potępić sytuację niesprawiedliwą niż określić, czym miałyby być sprawiedliwość w skali całego społeczeństwa. Dla każdego zawodu należałoby odrębnie określić koszty wykształcenia, stopień uciążliwości pracy, udziału w dobrach wspólnych, wydajności, nie licząc wartości moralnych każdego z nich. Wychodząc z tych rozważań, nikt, nawet najbardziej wymyślny komputer nie może udzielić jednoznacznej odpowiedzi. Przyszedłby jednostek do zawodów jest w wysokim stopniu przypadkowy: ktoś, komu się nie powiedziało, może oskarżać los i uchylać się od własnej odpowiedzialności.

Wszyscy ci, którzy w trosce o prawdę pisali o polityce, stawiali się na swój sposób demistyfikatorami. W epoce zdominowanej przez ideały wolności i równości socjologowie należeli bardziej aniżeli kiedykolwiek do klanu podejrzliwych. Nie wierzą oni na słowo przemowom wygłaszanym przez społecznych aktorów na ich własny temat. Najbardziej zuchwali lub najbardziej pesymistyczni nie dysponując już obrazem lub nadzieją na dobre społeczeństwo, osadzają je z bezlitosną surowością. To samo społeczeństwo, które głosi równość szans, przekazuje do pokolenia swój "kulturę, swe klasy, swych rządzących i swych rządzonych; członkowie tych klas zmieniają się wraz z upływem czasu, ale tradycja rodzinna obowiązuje. Uzyskiwane przez nich dyplomy są dodatkowym elementem legitymizującym ich pozycję społeczną.

Na podstawie tych samych faktów socjologowie mają odmienne wyobrażenia o społeczeństwach liberalnych. Nie jest czymś zaskakującym, że dzieci rodzin uprzywilejowanych mają więcej szans na sukces od syna robotnika fabrycznego lub rolnego. Im bardziej systemem szkolny łączy wszystkie dzieci w tych samych szkołach, a więc w warunkach pozornej równości, tym bardziej równość szans staje się nieosiągalna. Znikły iluzje jednolitego szkolnictwa. Czy trzeba jednak ulegać irytacji, że szansę pozostają nierówne? Może jednak cieszyć się, że szanse dotyczą tak wielu, jeżeli już nie wszystkich?

Społeczeństwo liberalne, jak każde społeczeństwo, "socjalizuje" młodych, wpaja im pewne wartości, pewne poczucie dobra i zła. W tym znaczeniu ci, którzy są u władzy, należą do uprzywilejowanych, narzucają także swoje symbole. Czyż to nie oburzające, że autorytet moralny praw albo państwa legitymizując je, wznacza dominację klasy rządzącej? A może trzeba się zachwycać marginesem swobody wyboru, który Zachód, niewierzący i być może dekadentki, zostawia każdej osobie? Kultura naukowa, z natury uniwersalistyczna, zajmuje dziś pierwsze miejsce w wychowaniu młodzieży. A wartości rozpowszechniane przez system szkolny skłaniają raczej do krytyki niż do respektowania ustalonego porządku.

Marxizm nie służy już obecnie niszczeniu ustrojów demokratyczno-liberalnych jako bezklasowa utopia społeczna lub przykład sowieckiej rzeczywistości. Może on służyć do podsyćcia swoistego nihilizmu. Poprzez połączenie nacisku na arbitralność wartości i nierówność stosunków między ludźmi w zbiorowościach stosunkowo najmniej tyrańskich, dochodzi się do zapomnienia najbardziej oczywistych faktów: że nowoczesne społeczeństwo od radza się /gdyby było inaczej/, nie byłoby społeczeństwem/ i ulega przemianom szybciej niż jakiegokolwiek inne w przeszłości. I że porządek liberalny stale pozostaje w swej istocie odmienny od porządku tyranii oferowanego nam przez Związek sowiecki. Kto dostrzeże tylko różnicę stopnia między ideologią państwa w Moskwie i "symbolicznym grzechem" w Paryżu, przeczny, zalepiony socjologizmem, stawkę naszego wieku.

Filozofowie historii, ze szkoły A. Toynbee'go twierdzą, że Europa może odzyskać swój rozum jedynie poprzez wiarę, religię chrześcijańską, zwłaszcza katolicyzm. Oświadczam, że nie jestem w tej kwestii kompetentny. Gdybym był wierzącym, żydem lub chrześcijaninem, starałbym się upowszechnić moją wiarę czy moją prawdę. Ponieważ jednak nie przynależę do jakiegokolwiek Kościoła, pozostawiam puste miejsce dla wiary transcendentnej i skłanianiu się do wiary filozofa - wątplenia raczej niż negacji. Licznie usiłowania pogo-

dzenia chrześcijaństwa i współczesnej nauki interesują mnie, choć czynię to bez przekonania. Kosmologia Starego Testamentu i kosmologie dzisiejsze, mimo niemożności porozumienia się, mogą współistnieć bez wzajemnej negacji. Nauka nie ofiarowuje jednak nic po równoważnego z przymierzem ludu żydowskiego lub z objawieniem Chrystusa.

Socjologia religii z założenia odrzuca wymiar nadnaturalny. Czy może ona odpowiedzieć na pytanie: czy wiek XXI będzie wiekiem religii? Czy odnowa Kościoła katolickiego jest prawdopodobna i jaką przyjmie postać? Czy zwróci się bardziej w kierunku integracji, czy też ku teologii wyzwolenia? Nie czuję się na siłach, aby coś na ten temat twierdzić. Wierzę raczej katolicyzmowi, który głosi zbawienie duszy, niż Kościołowi stanowiącemu duchowe oparcie dla ruchów rewolucyjnych /jakkolwiek ta druga możliwość w Ameryce tacińskiej wydaje mi się tu i ówdzie nie do uniknięcia/.

Czy nie podejmując refleksji nad Kościołami tradycyjnymi lecz koncentrując uwagę na religiach świeckich nie pominięciem czegoś najważniejszego? Czy pomyłka lub zwykły pech nie zdecydowały o wyborze ekonomii i wojny jako tematów mych rozważań jako naczelnych wątków naszych czasów? Nieważne, czy był to pech, czy błąd. Cóż mogłem wybrać innego? Kiedy podjąłem w mych studiach kwestię świadomości historycznej, Wielki Kryzys wznagał nacjonalizm niemiecki, pchał Hitlera do władzy a Europę ku katastrofie. Marksizm u władzy w Moskwie, rewolucja antyproletariacka w Berlinie - oto wydarzenia, jakie dyktowały kierunek moich poszukiwań badawczych. Zapragnąłem zostać historykiem współczesności, jej rewolucyj i jej wojen.

Czy był to pech? Czy inspirujące mnie idee i myśli, które znalazłem w historyzmie niemieckim u Karola Marksa i Maxa Webera, nie zawróciły mnie z dobrej drogi wskazanej przez Durkheima i Tardego? Czy moje pokolenie, "zatrute" przez idee germańskie, które Jean-Paul Sartre przetworzył z tak nieporównywalną błyskotliwością, należy już do przeszłości? Być może, nie oczuwam jednak żadnej goryczy z tego powodu. Najlepsi socjologowie wykorzystują przecież równocześnie i Marksa i Webera, obu oczyszczonych z pasji politycznych i uzupelniających się.

Co do mnie, nie myślę, by zgrębianie kultury niemieckiej, a potem wątpliwości analitycznych Anglo-Amerykanów odwróciły mnie od Francji. Przed 1939 r. Niemcy były naszym przeznaczeniem. Aż do klęski Trzeciej Rzeszy idee idące z Niemiec przenikały historię świata. Rasizm stał się własnością nie tylko Niemiec, ale też innych krajów europejskich: Hegel, Marks i ich epigoni i Nietzsche z jego krytyką ideologii informowali, ilustrowali, wyjaśniali wielkie konflikty wiążące się z dominacją nad światem.

Gdy zmierzch germańskich bogów stał się faktem, demokracja w stylu amerykańskim, pragmatyczna, bez metafizyki, szukająca ścisłości semantycznej natknęła się już tylko na schleriatę wersję heglowo-marksistowskiej tradycji. Technicyzacja planety wzięła nowy rozmach. Ostatecznie, w świecie faktów, marksistowskie mity rozsypany się i nawet zmiana w roku 1973 klimatu ekonomicznego /lub kilka lat wcześniej/, nie odmieniła widoków ludzkości na przyszłość.

Gdy patrzę przed siebie, nie dostrzegam żadnych powodów do optymizmu. Europie z racji jej wyłudniania się grozi zagłada. Ludy, których pokolenia nie odkrywają się, skazane są na starzenie a tym samym zagraża im duchowa abdykacja, "fin de siècle'izm". Mogą one wypełniać próżnię demograficzną cudzoziemcami, tak jak to się działo podczas "trente glorieuses", ale tym samym ryzykują pogłębieniem napięcia pomiędzy imigrantami a pracownikami zagrożonymi bezrobociem. Synteza demokratyczno-liberalna, ekonomia niezsana są zapewne do końca wieku zagrożone przez spowolnienie wzrostu, inflację, bałagan monetarny, obciążenie dochodu narodowego świadczeniami socjalnymi. Francja - po właściwie nieoczekiwanej poprawie - na pół sparaliżowana wewnętrznymi sporami i obstawianiem przy anachronicznych ideologiach traci swoją pozycję w świecie, mając trudności w zastosowaniu się do wymagań współzawodnictwa.

Stany Zjednoczone utraciły przewagę militarną. Związek Sowiecki zbroi się, na razie by straszyc, ale też by interweniować, gdy nadarzy się okazja. Grupa republik śskich polityków ze Wschodniego Wybrzeża, kierująca przez ćwierćwiecze dyplomacją USA sama się wykończyła; odpowiedzialna za wojnę wietnamską, zrzuciła winę za nią na Richarda Nixona, który nie zakończył jej dostatecznie szybko. Prezydent Carter i Reagan oscylują między skrajnościami. Znikła jedynomyślność w sprawie polityki zagarniczej. Kraj nie jest już dostatecznie bogaty, by finansować jednocześnie ustawodawstwo społeczne i dobranej

jego zachowań nie mogą już przewidzieć ani jego wrogowie, ani przyjaciele.

W Europie Republika Federalna Niemiec, jak nigdy zwornik całego Przymierza Atlantycznego, wydaje się zachwieaną i osłabioną. Przylegająca dośłownie do imperium sowieckiego - go, posiada ona zachować na swoim terytorium armię amerykańską, ale nie chce trytować Krenela. Ręczyła miliony Niemców redukuje możliwości podejmowania decyzji przez rząd: czy nie wyraża się w ten sposób uzasadniony lęk przed okropnymi broniąmi lub protest przeciw podzieltwi, z którymi narodowi niemieckiemu coraz trudniej jest się pogodzić?

Pojednanie Francuzów z Niemcami pozostaje niezachwiane, autentyczne. Ale czy nie nadzwać dzieł przygotowujący spory z lat pięćdziesiątych? Kanclerz z Bonn - czy to socjalista, czy konserwatysta - patrzy podobnie na zagrażający Wschód jak na osłaniający Zachód. W jakim kierunku pójdzie on ostatecznie?

Jeżeli się poddać swojemu czarnemu myśleniu, to stwierdzić, że wszystkim ideom, wszystkim sprawom, o które walczyłem, zaczyna zagrażać niebezpieczeństwo natychmiast wtedy, gdy mi się je przypisze, choć patrząc wstecz, słuszność była po mojej stronie w większości stoczonych przeze mnie pojedynków. Nie chcę jednak ulec zniechęceniu. Ustroje, których bronieniem i w których niektórzy widzą tylko władzę, tyje, że zakamufłowaną, a w istocie swej arbitralną i skora do gwałtu, są wątle i poręczne. Ale póki pozostaną wolne, póty zachowują w sobie niespodziewane zasoby siły. Będziemy jeszcze długo żyć w cieniu nuklearnej apokalipsy, między lekkiem inspirowanym potwornymi broniąmi i nadzieją, którą wzbudza cicha nauka.

Nie chciałbym zakończyć tego zbyt długiego spoglądania wstecz uwagami o tej historii, która teraz nastaje. Z samej definicji jest ona czymś, co trwa. Moment, w którym zatrzyma się ona dla mnie jest niczym dla niej i dla innych. Moja działalność zawodowa nie wypełniata bez reszty mego życia - ani artykuły, ani książki, ani nauczanie. Dla mej żony, moich dzieci, moich wnuków, moich przyjaciół muszą żyć "w zamieszeniu" od 1977 r., nie w lęku, lecz w spokoju ducha. To dzięki nim akceptuję śmierć - co jest łatwe - a także to, co ją poprzedza - następstwo zawatu i podeszłego wieku - a to jest trudniejsze. Przypominam sobie powiedzonko wygłaszane przeze mnie w wieku lat dwudziestu, gdy rozmawiałem z przyjaciółmi i z samym sobą: "zbawić się po leicku". Z Bogiem czy bez niego, nikt nie wie pod koniec swego życia, czy się ocalił, czy zatracił. Dzięki tym, o których tak mało powiedziałem, a którzy mi tyle dali, przywołuję tę formułkę bez lęku i drżenia.

RAYMOND ARON

/tłumaczenie - PP/

"Testament" /tytuł pochodził od redakcji/ to końcowy fragment "Pamiętników" Raymonda Arona, Raymond Aron, Mémoires, Paris, Julliard 1983.



ROSJA

tradycja·ideologia·polityka

ZBIGNIEW BRZEZIŃSKI

TRAGICZNE DYLEMATY SOWIECKIEGO MOCARSTWA

GRANICE IMPERIUM NOWEGO TYPU

Chcę w tym artykule zanalizować specyfikę Związku Sowieckiego jako światowego mocarstwa i spróbować ocenić cechy charakterystyczne sowieckich propozycji ułożenia stosunków międzynarodowych. Główne tezy mojej analizy pokrótce wyglądają następująco:

1. Ekspansjonizm sowieckiego systemu imperialnego jest specyficznym organicznym imperatywem powstałym z poczucia zagrożenia terytorialnego u Rosjan, którzy stanowią przeciwieństwo trzon systemu.

2. W wyniku supremacji Rosjan w systemie, nie można w najbliższej przyszłości spodziewać się jego prawdziwej ewolucji w kierunku bardziej pluralistycznych form.

3. Polityczne priorytety i biurokratyczne przerosty systemu komunistycznego ograniczają Związek Sowiecki do roli jednowymiarowego mocarstwa militarnego.

4. Związek Sowiecki, który posiada obecnie globalny zasięg militarny, lecz jego zasięg polityczny jest mniejszy, czuje się zarówno zbyt silny na arenie międzynarodowej, by zaakceptować ten stan, jak i zbyt słaby wewnętrznie, ażeby się go nie obawiać.

5. Jako mocarstwo z natury ekspansjonistyczne, a przy tym posiadające charakter militarny, nie będąc w stanie przeprowadzić prawdziwej rewolucji w systemie światowym, Związek Sowiecki skazany jest na odgrywanie z gruntu negatywnej roli burzyciela szerzyszych, opartych na ściślejszej współpracy stosunków międzynarodowych.

6. Poważniejsze zachwianie międzynarodowego systemu politycznego może raczej nastąpić w wyniku przegranej przez Zachód wyścigu zbrojeń, niż być konsekwencją narastających kryzysów na głównych pod względem strategicznym i geopolitycznym obszarach Środkowego Wschodu i Ameryki Środkowej.

1. UNIKALNIE ORGANICZNY IMPERIALIZM

Związek Sowiecki jest politycznym przejawem rosyjskiego nacjonalizmu. Rosjanie dominują nie tylko w wielonarodowym ZSRR, zamieszkałym przez około 270 mln ludzi, lecz poprzez siłę i zasoby swego państwa dominują także nad grupą sąsiadujących państw, liczących dodatkowo 115 mln mieszkańców. W rezultacie około 135 mln Rosjan sprawuje polityczną kontrolę nad wielką częścią obszaru Eurazji, zamieszkałą przez w sumie 385 mln ludzi.

Nie można powiedzieć, że jest to system polegający na zwykłym "prześladowaniu narodowym". Nacjonaliści rosyjscy rządzą zarówno za pomocą kooptacji jak i represji. Przekazy historyczne traktujące o zdobyczach rosyjskiego imperium wypełnione są przykładami przeprowadzanych z powodzeniem kooptacji, korupcji, asymilacji elite narodów podbitych. Stopniowe wchłanianie polityczne i kulturowe narodów etnicznie pokrewnych występowało obok

wykształcania w tych narodach potrzeby tworzenia większej wspólnoty. Niemniej jednak podłożem tego procesu jest realność potęgi moskiewskiej, stosowanej bezwzględnie kiedykolwiek jakiś naród zaprzagnie oprzeć się zdominowaniu, a szczególnie wówczas, gdy szuka drogi do odłączenia się od większego tworu rządzonego przez Rosjan.

Szczególny charakter rosyjskich zapędów imperialnych wywodzi się z kombinacji militarnego zorganizowania społeczeństwa rosyjskiego i nakazu rozszerzania terytorium, dyktowanego przez instynkt samozachowawczy. Na cechę tę często zwracali uwagę zarówno rosyjscy jak i nierosyjscy historycy. Od niepamiętnych czasów społeczeństwo rosyjskie realizowało się politycznie poprzez zorganizowane i zarządzane w duchu militarystycznym państwo, w którym wzgląd na bezpieczeństwo był głównym impulsem organizacyjnym. Ponieważ nie istniała dająca się łatwo określić granica narodowościowa, ekspansja terytorialna stała się oczywistym sposobem zapewnienia bezpieczeństwa. Powodowało to nowe konflikty, nowe zagrożenia, a tym samym dalsze zapędy do powiększenia terytorium. Bezwzględny cykl historyczny został wprawiony w ruch - poczucie zagrożenia wywoływało ekspansjonizm, ekspansjonizm rodził zagrożenie, poczucie zagrożenia wznagała dalszą ekspansję.

Historia Rosji jest w rezultacie historią nieustannego ekspansjonizmu terytorialnego. Te nieprzerwane podboje z równin i lasów północnej Rosji trwają z tych samych powodów już ponad trzysta lat. Partie na Zachód przeciwko siłnym rywalom spowodowało ostateczne wyeliminowanie Szwedów ze wschodniego Bałtyku oraz podział Rzeczypospolitej Polsko-Litewskiej. Ciągły napór na południe, klęski zadane Imperium Otomańskiemu uwięzione zostały podporządkowaniem ukraińskich Kozaków, krymskich Tatarów oraz wchłonięciem narodów kaukaskich i muzułmańskiej Azji Środkowej. Ekspansja dokonywała się również poprzez ciągły napływ osadników i zeszłańców, wyprawy wojskowe na wschód, wzdłuż pasa bezpieczeństwa rozciągającego się wzdłuż kolei transsyberyjskiej aż do radzieckiego Dalekiego Wschodu. Ogrom pustej Syberii został w ten sposób skutecznie zablokowany przed dostępem z zewnątrz i czeka na stopniową kolonizację.

Rosjanie uzyskali w ten sposób władzę nad największym na świecie obszarem. Uczynili to przez względnie gęste zasiedlenie terytorium Rosji europejskiej i poprzez zasiedlenie /w mniejszym, ale politycznie znaczących ilościach/ placówek kolonialnych pod względem strategicznym. Znajdują się one w rejonie Bałtyku /m.in. Kaliningrad/, w części Białorusi, we wschodniej Ukrainie, na obszarze Kazachstanu i wzdłuż pasa bezpieczeństwa rozciągającego się wzdłuż kolei transsyberyjskiej aż do radzieckiego Dalekiego Wschodu. Ogrom pustej Syberii został w ten sposób skutecznie zablokowany przed dostępem z zewnątrz i czeka na stopniową kolonizację.

W procesie tym Rosjanie zdominowali słabsze ludy zamieszkujące niektóre z tych terytoriów przez ich polityczne podporządkowanie, wchłonięcie kulturowe, a nawet biologiczne zdziesiątkowanie. Narody nierosyjskie zarządzane są centralnie. Uniemożliwia się im zbliżenie w celu przeciwstawienia się politycznej dominacji Rosjan, zamieszkujących strategicznie rozmieszczone centra wielonarodowościowego państwa.

Imperialny system rosyjski, z jego różnorodnymi zasadami kooptowania, podporządkowania i strategicznego zasiedlenia, wykazuje gruntowną odmienną od funkcjonowania politycznego innych dawnych imperiów. Nie należała do tych zasad ekspansja morska na odległe lądy i ograniczone tam osadnictwo. Była to metoda o charakterze znacznie bardziej organicznym. Polegała ona na stałym przenikaniu na sąsiednie terytoria, wynikającym z atawistycznego instynktu samozachowawczego, narzucającego poczucie potrzeby zagarniania kolejnych obszarów i łączącego się z "poczuciem zagrożenia" powodującym ciągłą ekspansję. W rezultacie - wbrew wielu dziennikarskim komanąom - Rosja w swej historii częściej sama była agresorem niż ofiarą agresji, pracując ze swego centrum w różnych kierunkach, kiedykolwiek nadarzyła się ku temu sposobność. Każdej liście wyliczającej przeprowadzone w ostatnich dwu stuleciach agresje przeciw niej można przeciwstawić podobny wykaz jej aktów zaborczych w stosunku do sąsiadów. Obwieszony przez Rosję stan zagrożenia istnieje naprawdę, lecz nie dlatego, że była ona tak często napadana, a z powodu tej przyczyny, że jej organiczna ekspansja powodowała zagarnianie coraz to nowych obszarów i wywoływała nie do uniknięcia reakcje antagonistyczne.

Dodatkową i trwałą konsekwencją stałej ekspansji terytorialnej było wykształcenie się imperialnej świadomości u samych Rosjan. Pojęcie "świadomość imperialna" jest bardzo

trudne do zdefiniowania, co jednak nie świadczy o nieistnieniu tego zjawiska. Jest coś uderzająco "imperialnego" w uporze, z jakim Rosjanie określają siebie jako "Wielkiego Brata" innych zdominowanych narodów. Innym tego przejawem jest spontaniczna determinacja, z jaką stawiali ogromne ortodoksyjne budowle kościelne w centrum każdej z opanowanych ziemi, m.in. w Helsinkach, czy w Warszawie, gdzie na miejscu warszawskiego Soboru, zburzonego przez Polaków krótko po odzyskaniu niepodległości w 1919 r., wybudowali trzydzieści lat później monumentalno-stalinowski "Pałac Kultury". Głęboko zakorzenione jest u Rosjan przeświadczenie, że narody nierosyjskie Związku Sowieckiego i Europy Wschodniej muszą być utrzymane przy Matce Rosji jako część jej specjalnego dominium, ktoś, kto widział, lub też czytał, w jaki sposób sowieccy ambasadorzy akredytowani za granicą przeprowadzają swoje okresowe sesje z ambasadorami państw Układu Warszawskiego, uzyskuje bezpośredni wgląd w imperialne i hierarchiczne zależności.

Rosyjska świadomość imperialna jest zbitką religijnego mesjanizmu, który w przeszłości określał Rosję mianem "Trzeciego Rzymu", nacjonalafistycznego instynktu samozachowawczego i poczucia siły oraz ostatnio zapału ideologicznego o zasięgu uniwersalistycznym. W dodatku możliwość pojawienia się agresywnej postawy jest wzmagana przez komunistyczną obsesję strachu przed wewnętrznymi i zewnętrznymi wrogami, która potęguje już istniejącą paranoiczną postawę wobec świata zewnętrznego. Ta złożona motywacja pomogła wytworzyć i utrzymać taki pogląd na świat, w którym dążenie do globalnego przewodzenia, sprawowane przez dziesiątki lat we współzawodnictwie z USA, stało się głównym impulsem napędowym. Impuls ten jest potwierdzeniem łupieżczego charakteru rosyjskiego imperializmu.

Tę pod ką światowemu przewodzeniu, a także inwestowanie w system imperialny, powstrzymuje perspektywy jakościowo znaczących ewolucyjnych zmian w charakterze sowieckiego systemu. Bez sowieckiej interwencji Czechosłowacja pod rządami Dubczeka, czy Polska pod rządami Wałęsy stałyby się prawdopodobnie republikami socjaldemokratycznymi, w których wyeliminowanoby skutecznie komunistyczny totalitaryzm.

Interwencja sowiecka nastąpiła dokładnie z tych samych przyczyn, z których wewnętrzna ewolucja w kierunku większego pluralizmu politycznego w ramach państwa radzieckiego będzie usilnie /i prawdopodobnie/ powstrzymana przez bardzo długi czas. Reakcja na pokojowe zmiany w Europie Wschodniej na swoje podłoże w strachu Rosjan przed znaczniejszym wyzwoleniem się spod centralnej kontroli Moskwy. Faktyczna decentralizacja systemu sowieckiego, nawet jeśli miałyby miejsce jedynie w ekonomii, mogłaby stanowić śmiertelne zagrożenie dla imperialnej kontroli Rosjan, dla rosyjskiej świadomości, a nawet bezpieczeństwa samych Rosjan. Wypada zapytać, co oznacza w nomenklaturze politycznej "jedynie ekonomiczna" decentralizacja w odniesieniu do Związku Sowieckiego? Niewątpliwie mogłoby to oznaczać większy stopień autonomii dla nie-Rosjan, którzy w następstwie samodzielności ekonomicznej mogliby uzyskać perspektywę wzrostu samodzielności politycznej.

Dla większości Rosjan jest to wielce zatrważająca perspektywa. Jakkolwiek poważniejszy przejaw narodowej podmiotowości u nie-Rosjan stanowi nie tylko wyzwanie wobec terytorialnego zdominowania, lecz może nawet przedstawiać biologiczne zagrożenie dla narodowej egzystencji Rosjan. Gdzie w ZSRR może ewentualnie nastąpić rzeczywista decentralizacja, akceptacja bardziej demokratycznych norm, instytucjonalizacja pluralizmu?

Gdzie można wykreślić granicę między narodowością rosyjską a pozostałymi, przedstawiającą demograficzne przemieszanie, które miało miejsce w ostatnich dziesięcioleciach? Takie rejony to bałtyckie republiki silnie zasiedlone przez nieproszonych Rosjan, kulturalnie asymilowane tereny Białorusi i Ukrainy, to oczywiście także pogranicza republik kaukaskich i środkowozjaskich. Widoczne tam są wzrastające napięcia i w tych rejonach może dojść do poważnych konfliktów.

Rozpad zamorskiego Imperium Brytyjskiego i Francuskiego nie oznaczał jednak końca Anglii ani Francji. Rozpad przyłegłego terytorialnie do Rosji imperium może stanowić zagrożenie dla niej samej, z powodu braku naturalnych granic.

Takie trudności, z jakimi Francja zetknęła się w Algierii, mogłyby być pomniejszone. ewentualnie wtedy, gdyby wystąpiły na peryferiach właściwych obszarów ZSRR. Każde działania zmierzające do umniejszenia narodowych aspiracji może stać się kłopotliwą i krwawą rozprawą. Świadomość tego każe prawie wszystkim Rosjanom wystrzegać się tępierowania jakiegokolwiek odeszcia od centralnej kontroli Moskwy. To instynkt przeżycia sprawka, że autokratyczny, silnie centralizowany i imperialny system sowiecki jest niezwykły

wytrzymały. W wypadku Anglii i Francji występował rodzaj wewnętrznej pewności siebie i imperialnego wyczerpania. Skłoniło to oba mocarstwa do przystania na rozpad ich imperiów.

2. JEDNOWYMIAROWE MOCARSTWO NOWEGO TYPU

Zachodni obserwatorzy systemu sowieckiego niechętnie przyznają, że jego centralizm polityczny jest wytrzymały oraz że rosyjski impuls imperialny jest z nim organicznie związany. Istotnie uspokajająco działa wiara w to, że obie te cechy zanikają, a system "złagodnieje" z powodu zastoju bądź rozwoju ekonomicznego /czy też kombinacji obu tych procesów/. Kurs imperialny osłabnie wraz z rzekomo nieuniknionym osłabnięciem marksistowskiego zapatu. To przekształcenie systemu oraz osłabienie jego imperialnych ambicji zwolni w ten sposób Zachód od obowiązku stawiania czoła wielu trudnym problemom wpływającym na współistnienie w erze atomowej z silnym i zamkniętym politycznie systemem, kierującym się w swej polityce globalnej bardzo niejasnymi i niestabilnymi celami.

Co jednak się stanie, gdy system sowiecki nie rozpadnie się, a jego siła militarna będzie dalej rosła? Zachodni obserwatorzy nader rzadko /jeśli w ogóle/ zwracają uwagę na międzynarodowe uwarunkowania tej ewentualności. Czynią to jedynie okazjonalnie z pozycji skrajnej prawicy, posługując się kategoriami manidrejskimi i moralizatorskimi. Jest to jednak kwestia godna najwyższej uwagi. Nade wszystko należy sobie w sposób trzeźwy uświadomić fakt, że przez najbliższe dziesiątki lat niełatwa i niekoniernie całkowicie pokojowa koegzystencja z militarną potęgą Związku Sowieckiego może nadal balansować na krawędzi nuklearnej przepaści.

Punktem wyjścia dla realistycznej oceny stanu współistnienia musi być rozpoznanie specyficznego charakteru tego systemu jako światowego mocarstwa. Jest to mocarstwo nowego typu, albowiem jego potęga jest jednowymiarowa. W rezultacie ZSRR jest ze swej istoty niezgodny do utrzymania światowej dominacji. Rzecz w tym, że jest mocarstwem tylko i wyłącznie w wymiarze militarnym. Nie jest bowiem dla Stanów Zjednoczonych rywalem na płaszczyźnie ekonomicznej, ani nawet nie jest - jak to było kiedyś - przykładem interesującego w sferze światowej eksperymentu ideologicznego. Ten stan efektywnie ogranicza radzieckie możliwości działania w sposób tradycyjny dla mocarstw, lub pretendentów do tego statusu.

Tradycyjnie zarówno dominujące militarne mocarstwo, jak i jego główny rywal posiadają względnie zbliżone systemy polityczne i społeczno-ekonomiczne, potencjalnie umożliwiające osiągnięcie ciągłej i zdecydowanej przewagi. Głównym instrumentem uzyskiwania przewagi militarnej o zasięgu globalnym była, od późnego średniowiecza poczynając, potęga morska. Takimi potęgami /o ile można mówić o globalnym zasięgu w epoce powolnej komunikacji i ograniczonych zbrojeń/ były przez prawie cały XVI wiek wielcy rywale - Portugalia i Hiszpania.

W XVII wieku ich miejsce zajęły Niderlandy i Francja, następnie Wielka Brytania i najpierw Francja a później Niemcy /w XVIII, XIX i częściowo XX/, aż wreszcie Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki /druga połowa XX w./. We wszystkich tych przypadkach, aż do najbliższych współczesności, współzawodnictwo przebiegało między potęgami znajdującymi się na porównywalnym poziomie rozwoju. Rywale byli w pełni zdolni do prowadzenia ożywionego handlu oraz przewodzenia politycznego jako dopełnienia ich militarnej potęgi. W rezultacie państwo zastępujące uprzednio dominujące mocarstwo, było w stanie zapewnić i utrzymać równie zdecydowane przywództwo.

Uczestnictwo Związku Sowieckiego w globalnej rywalizacji to fakt niezwykle. Jest oczywiste, że nie stać go na zaferowanie światu twórczego i możliwego do zaakceptowania przywództwa w przypadku wyeliminowania dominującego mocarstwa - Stanów Zjednoczonych. Nie jest w stanie zapewnić sobie finansowego przewodzenia w świecie. Jego ekonomia nie może stanowić siły napędowej globalnego rozwoju i technologicznych innowacji. Jego kultura masowa nie posiada dostatecznej atrakcyjności, a czołowi intelektualiści i artyści ciągle uciekają za granicę. Krótko mówiąc - Stany Zjednoczone nie mogą być zastąpione przez ZSRR.

Główna przyczyna tego stanu rzeczy tkwi w samej strukturze rosyjskiego komunizmu. Biurokratyzowanie, zcentralizowanie i dogmatyzm w podejmowaniu decyzji w stopniu bezprzykładowym stłumiły inicjatywę w życiu społeczno-ekonomicznym. W rezultacie sowieckie

uczestnictwo we wszystkich nie militarnych dziedzinach systematycznych i konstruktywnych działań waha się od mierności do przeciętności. Wciąż jeszcze wyprodukowanie czegośkolwiek, co mogłoby być towarem konkurencyjnym na rynkach światowych wymaga w tym systemie ekonomicznym decyzji politycznych na najwyższym szczeblu. Przez wiele lat gospodarka sowiecka bazowała na poświęceniu społecznym, jednak wyniki jakie osiągnęła są mierne.

Zapewne nigdy przedtem w historii tak utalentowani ludzie, dysponujący tak obfitymi zasobami, nie pracowali tak ciężko i tak długo, by osiągnąć tak mało.

Badania porównawcze rozwoju społeczno-ekonomicznego, prowadzone m.in. przez prof. Cyryla Blacke z Princeton, wykazują, że dzisiaj ZSRR zajmuje w światowych statystykach miejsce mniej więcej takie, jakie posiadała na początku wieku. Black konkludował:

"W perspektywie pięćdziesięciu lat, miejsce ZSRR w złożonych, porównawczych spisach ekonomiczno-społecznych najprawdopodobniej nie zmieniło się znacząco. Można wnioskować, tak dalece, jak na to pozwalają raczej ograniczone dstępne dowody, że Związek Radziecki nie dogonił i nie prześcignął żadnego kraju w dochodzie per capita od 1917 roku, zwyjątkiem może Włoch; dwiętnasto- i dwudziestowieczne państwa, które są zaszerogowane dzisiaj wyżej niż Rosja, stały wyżej od niej w tym ujęciu także w 1900 i 1917 roku. Dochód narodowy brutto per capita we Włoszech, niższy od aktualnego dochodu narodowego brutto per capita w ZSRR, był prawdopodobnie nieco wyższy od rosyjskiego pięćdziesiąt lat temu!"

Innymi słowy - niezwykle poświęcenia, bezprzykładne szafowanie życiem ludzkim, ciągłe pozbawianie praw obywatelskich mieszkańców imperium - wszystko to dało rezultaty porównywalne z tymi, jakie osiągnęły inne społeczeństwa ponoszące o wiele mniejsze koszty społeczne. Co więcej, tempo rozwoju ekonomicznego Związku Sowieckiego po II wojnie światowej było zaledwie przeciętne. Początkowo ZSRR wykazywał statystyczną przewagę w procentowym wzroście, lecz wynikała ona z podnoszenia się gospodarki ze sztucznie niskiego poziomu, powstałego w efekcie zniszczeń wojennych. Narodowy spis powszechny z 1950 roku ocenił wzrost produkcji ogólnej na około 11%. Trzydzieści lat później pozostawał na tym samym poziomie. Nic dziwnego, że propagandiści sowieccy wołali nie przywoływać wezwania Chrzczonego z 1960 roku "aby prześcignąć Stany Zjednoczone" w produkcji globalnej do 1970 roku i w produkcji na głowę mieszkańca do 1980 r.

Równie ponuro wygląda sowieckie życie społeczno-kulturalne. Ostatnie badania wykazują obniżenie przeciętnej długości życia mężczyzn, niski poziom opieki zdrowotnej, wzrost śmiertelności niemowląt, rozpowszechnianie się alkoholizmu. Życie intelektualne i artystyczne zostało stłumione. Wszelkie innowacje skutecznie likwidowała biurokratyczna inercja. Wniosek stąd, że w zakresie życia społecznego Związek Sowiecki nie jest w stanie zaofiarować światu przekonującej wizji, a jest to podstawowy warunek uzyskania globalnego przywództwa.

Główną konsekwencją tego żałosnego stanu rzeczy ma dwa aspekty. Po pierwsze, wyolbrzymia w Rosjan podejrzliwość wobec świata zewnętrznego /ma ona swoje źródło zarówno w tradycji rosyjskiej, jak i w komunistycznej doktrynie/. Świat jest postrzegany jako wróg nastawiony na zmontowanie antykomunistycznej kontrrewolucji i rozbiór imperium Moskiewskiego. W ten sposób świat zewnętrzny nadal przeraża Moskwę, mimo że osiągnęła ona status globalnego militarnego supermocarstwa. Związek Sowiecki bardzo szczyści się swoją militarną bojowością i zwykł uważać swój status za równorzędny Stanom Zjednoczonym. Pomimo tego USA są dla Rosjan gigantem, który im zagraża poprzez swoje kapitały, możliwości komunikacyjne, mass media ogarniające świat mnóstwem macek. Amerykańska technologia /np. mikroelektronika/ stale dostarcza amerykańskiemu przemysłowi zbrojeniowemu nowych możliwości, traktowanych przez Sowietów bardziej niż poważnie. Na horyzoncie Dalekiego Wschodu groźnie majaczy potencjał chińsko-japońskiej konstelacji. Na Zachodzie zaś Europa Wschodnia jest nieprzerwanie magnetycznie wręcz przyciągana przez Europę Zachodnią, nie do końca pogodzoną z niesprecyzowanym pojańskim podziałem.

Wszystko to potęguje sowiecką paranoję i prowadzi wprost do drugiego aspektu konsekwencji jednowymiarowości tego nocarstwa. Jest nim tworzenie takiego modelu stosunków, w którym jest miejsce na przystosowanie i współzawodnicstwo z USA. Rosjanie z jednej strony starają się osiągnąć stan współzawodniczenia z Waszyngtonem, z drugiej zaś obawiają się zepchnięcia do roli młodszego partnera i w efekcie narażenia na konieczność zachowania

obecnego "status quo". Moskwa odrzuca je nie tylko dlatego, że utwierdza one amerykańską przewagę, ale także z tego powodu, że w jej mniemaniu może także służyć jako punkt wyjścia dla praktyki zmierzającej do wspomagania "pokojowej ewolucji" podzielonego Związku Sowieckiego, czyli do jego politycznego obalenia.

Stąd bierze się popieranie regionalnych konfliktów, powstrzymywanie szerszej i dalej niż dotychczas idącej /mającej charakter ponadnarodowej/ międzynarodowej współpracy, opozycja wobec tego, co nazywane jest "światowym porządkiem". Są to dla Kremla odpowiednie strategie do realizowania swojej militarnej mocarstwowości. Potęga militarna pozwala Moskwie, zgodnie z sowiecką świadomością imperialną, odgrywać w świecie większą rolę. Zmniejsza też obawę Rosjan, że lokalne konflikty mogłyby wywołać poważną frontalną kolizję ze Stanami Zjednoczonymi. Umożliwia użycie przez ZSRR militarnych wpływów do podkopywania amerykańskiego przywództwa na obszarach uważanych dotychczas za tak pewne i bezpieczne jak amerykańskie niebo. Szczególnie ważna i efektywna w tym zakresie jest kluczowa zdolność /przewyższająca amerykańską/ dostarczania wprost ze swoich wielkich magazynów ogromnych ilości sprzętu wojskowego swoim klientom lub tym, których określają mianem przyjaciół. Zatem polityka stopniowego podkopywania amerykańskiej dominacji jest kluczowym przejawem historycznego samookreślenia się Związku Sowieckiego jako mocarstwa.

Wynika z tego wniosek ogólniejszy: prawdziwe niebezpieczeństwo dla Zachodu nie polega na tym, że ZSRR pewnego dnia zdąży zaprowadzić na świecie "pax sovietica". Większym zagrożeniem jest to, że jako jednowymiarowe mocarstwo - doprowadzisz do rozewartania istniejących układów, co jest konieczne do wyeliminowania Ameryki - w sposób decydujący przyczynia się nie do rewolucyjnych przemian w międzynarodowych układach, lecz do zwiększenia szkodzącej wszystkim globalnej anarchii.

3. CZĘŚCIOWO SKORYGOWANA PERSPEKTYWA SOWIECKIEGO WYZWANIA

W powyższej konkluzji zawarty jest kilka rewizji panujących na Zachodzie poglądów na temat natury sowieckiego zagrożenia. Tuż po zakończeniu II wojny światowej Zachód zagrożony był w strachu, że ogromne armie sowieckie zaleją i pochłoną Europę Zachodnią. Amerykańskie poważne dyskusje polityczne - jak wykazują ostatnie badania profesora Davida Alana Rosenberga - koncentrowały się zazwyczaj wokół kwestii, jak USA, posiadając ograniczony ale monopolistyczny arsenał nuklearny, powinno zareagować. Powojenny Berlin stał się znaczącym sprawdzianem postawy Zachodu. Sowiecka blokada Berlina Zachodniego w latach 1948-49 była głównym testem intencji Ameryki i ZSRR.

Niekopój Zachodu, a szczególnie USA, znacznie wzrósł po komunistycznej inwazji na Kubę, zmuszając Stany Zjednoczone po raz pierwszy do wszechstronnego planowania wojny jądrowej i do utworzenia SAC /Strategic Air Command - Dowództwo Strategicznych Sił Powietrznych/ jako głównego ośrodka "Massive Retaliation" /potężnego odwetu/. Pod koniec lat pięćdziesiątych pierwszy sekretarz Chruszczow przechwalał się pociskami nuklearnymi. W celu dorównania rzekomo rosnącej przewadze sowieckiej Ameryka zintensyfikowała swe wysiłki zbrojenowe, co doprowadziło na początku lat sześćdziesiątych do osiągnięcia przez USA znacznej przewagi strategicznej. Jednakże pod koniec lat 70-tych i na początku 80-tych uważano, że Związek Sowiecki ponownie wzniesł się na wyższym smych możliwości /nawet prezydent Reagan wyraźnie stwierdził, że ZSRR przewyższa Stany Zjednoczone pod względem strategicznym/.

W istocie zaś przez długi okres czasu po II wojnie światowej, sowieckie wyzwanie rzucane Zachodowi - w przeciwieństwie do panującego powszechnie mniemania - nie było wyzaniem jedynie militarnym. Nawet teraz, gdy wymiar militarny sowieckiego zagrożenia jest dużo ważniejszy, musi on być rozpatrywany w szerszym kontekście politycznym. Tuż po wojnie Stalin skupił się na sondowaniu kilku mniej istotnych zagadnień, aby dzięki temu uzyskać elastyczność nowej sytuacji geopolitycznej. Zachód ze swej strony w tym okresie odnosił się z wielką estymą do aktualnych sowieckich możliwości militarnych, w sposób widoczny ignorując przeprowadzoną na wielką skalę demobilizację Armii Czerwonej. Oczywiście Zachód, a głównie Ameryka, rozbroił się szybciej. Wynikało to z dwóch powodów: po pierwsze Wschód w porównaniu z Zachodem był o wiele bardziej społecznie wyniszczonej i wyczerpany, po drugie przedstawiano się ze stanu wojny w stan pokojowy.

Główną kwestią w tym czasie faktycznie był spór ideologiczno-polityczny. Związek Sowiecki wyszedł z II wojny światowej z bezprecedensowym prestiżem. Był to fakt obawiany

i idealizowany na Zachodzie nie tylko przez niedzielną dyskusyjną grupę. Wielu ludzi na Zachodzie chciało za wszelką cenę wierzyć, że ZSRR pozostanie sojusznikiem także po wojnie.. Wielu chciało także zrozumieć sowiecki punkt widzenia na sporne zagadnienia międzynarodowe. Co więcej, społeczeństwom krajów zrujnowanych przez wojnę Związek Sowiecki jawił się nie tylko jako zwycięzca, lecz także jako rzeczywistość udany system społeczno-ekonomiczny. Był to taki obraz, który dawał ideologiczną podstawę i zachętę do politycznego naśladowstwa. Potrzebny był wielki wysiłek Amerykanów, a nade wszystko Plan Marshalla; by neutralizować to wrażenie. Pierwsza historyczna konfrontacja odbywała się właśnie na tej płaszczyźnie, a nie tylko i wyłącznie militarnej. To podkreślenie nie jest bynajmniej zaprzeczeniem wartości NATO i wojny koreańskiej. Ma ono na celu wykazanie, że sfera polityczno-ideologiczna jest w tym współzawodnictwie bardzo istotna.

Następną przełomową fazą dla systemu sowieckiego był przełom lat pięćdziesiątych. Polityka niedojrzałego globalizmu Chruszczowa, oparta na rozmyślnie fałszowanych oświadczeniach o osiągnięciu przewagi w ilości posiadanych pocisków nuklearnych, upadła w czasie kryzysu kubańskiego w 1962 r. Wyzwanie Chruszczowa opierało się również na bardzo ogólnikowej historycznej wizji, w której decydującym elementem był optymizm ekonomiczny. Wulgarny slogan sowieckiego przywódcy "My was zniszczymy" nie był - jak to powszechnie odbierano wówczas - pogroźką użycia siły fizycznej, lecz rzuceniem historycznego wyzwania. Wywodziło się ono z nieuzasadnionego przeświadczenia, że stagnacja gospodarki amerykańskiej i dynamizm rozwoju gospodarki sowieckiej spowoduje wysunięcie się ZSRR w latach 70-tych na pozycję pierwszego pod względem ekonomicznym mocarstwa na świecie.

Tak się jednak nie stało. W roku 1980 Związek Sowiecki pozostawał tak samo w tyle za Stanami Zjednoczonymi, jak ćwierć wieku przedtem. Lecz teraz pozostaje w tyle także za Japonią. Przechwałki o technicznych osiągnięciach w przeszerzonym kosmicznej skończyły się wraz z zatknięciem amerykańskiej flagi na Księżycu. Dzisiaj ocenia się powszechnie, że gospodarka sowiecka, o ile nie znajduje się już w fazie kryzysu, to jest na najlepszej drodze ku niemu, z dwóch powodów. Pierwszy to fakt, że jest technologicznie przestarzała, drugi to rosnące wciąż jej trudności w wymianie handlowej. Rolnictwo tamtejsze jest ewidentnie zaniedbane. System sowiecki stracił dla większości swój powab i moc - z mniejszą się globalny wpływ ZSRR.

Mimo to w latach 80-tych sowiecka potęga militarna uzyskała po raz pierwszy prawdziwie światowy zasięg, kompensując sobie brak wszechstronnego wpływu. Ta nowa sytuacja, j jest w sposób widoczny zadowalająca dla przywódców sowieckich. Krokowiak styka się z nimi, może potwierdzić, że są dumni z faktu uzyskania przez ZSRR statusu światowego supermocarstwa.

Globalny zasięg nie jest jednak tym samym, co globalne sprawowanie władzy. Sowieckie wezwanie posiada obecnie, jak już wspominałem, jeden wymiar i dlatego nie może być punktem wyjścia ani do wszechstronnego światowego przewodzenia, ani nawet do wytrwałego współzawodnictwa ze Stanami Zjednoczonymi. Ambiwalentna sytuacja mocarstwa jednowymiarowego zmusza do zajęcia takiej postawy wobec świata, która jest kombinacją chęci posiadania zarówno zdolności i gotowości obronnej, jak i niszczącej siły ofensywnej.

Oczywiście bardzo wątpliwe jest, aby przywódcy sowieccy działali w oparciu o rozbudowany plan mający zrewolucjonizować stosunki międzynarodowe, czy też nawet, że posiadają systematyczną długofalową strategię. W rzeczywistości większość ludzi podejmujących decyzje zmuszona jest szybko reagować na aktualną skomplikowaną sytuację i uwzględnić przy tym niezliczoną ilość specyficznych czynników. Tym ludziom po prostu brak czasu oraz intelektualnej skłonności do angażowania się w definiowanie i określenie perspektywicznych celów politycznych. Niewątpliwie przywódcy sowieccy nie są tu wyjątkiem. Jednakże działania ich zorientowane są na utrzymanie tego, co Moskwa kontroluje i rozbićcie tego, co Waszyngton star się zorganizować. Te dwa cele są drogowskazami wytyczającymi bieżącą taktykę i strategię.

W tym miejscu należy przypomnieć, że między prawdziwie rewolucyjnymi mocarstwami, a mocarstwem o charakterze destrukcyjnym istnieje zasadnicza różnica. Francja napoleońska nie tylko stanowiła zagrożenie "status quo". Jej stopień rozwoju społeczno-ekonomicz-

nego był taki, że mogła ona funkcjonować jako centrum nowego porządku międzynarodowego, który mógłby powstać, gdyby Napoleon pokonał Anglię i Rosję. W tym sensie Francja była rzeczywistie mocarstwem rewolucyjnym. Złowieszczą wymowę posiada fakt, że zarówno hitlerowskie Niemcy, jak i Japonia generała Tojō także posiadały siłę o znamionach rewolucyjnych, zdolną - w wypadku zwycięstwa - stworzyć nowy system międzynarodowy.

W przeciwieństwie do tych państw Związek Sowiecki może odegrać jedynie rolę destrukcyjną, nie zaś prawdziwie rewolucyjną. Powodem tego jest jednorodniarowa natura jego potęgi, a także nuklearny charakter zbrojeń. Te ostatnie wykluczają możliwość wywołania wojny światowej, gdyż spowodowałyby to ciąg narastających konfliktów. Do czasu nastąpienia ery atomowej mocarstwo mogło być wyeliminowane przez rywalia we frontальной konfrontacji militarnej. Zwycięstwo militarne mogło być następnie zamienione przez rywala przy użyciu innych atrybutów jego narodowej potęgi, jak ekonomia, kapitał, nauka i kultura, w osiągnięciu pozycji dominującej w świecie. Era atomowa przyniosła inne sposoby uzyskiwania przywództwa światowego, zaś środki jego osiągnięcia stały się poważniejsze.

I jeszcze jedno. Związek Sowiecki posiada wielkie braki w innych dziedzinach potęgi. Co więcej, nie ma powodu przypuszczać, biorąc pod uwagę właściwe temu systemowi ograniczenia, że ta sytuacja może się w bliskim czasie zmienić na jego korzyść. Tak więc ZSRR nie osiągnie statusu państwa władającego światem, ani poprzez frontalny konflikt nuklearny, ani też przez współzawodnictwo na płaszczyźnie społeczno-ekonomicznej. Jedyną drogą do osiągnięcia tego celu jest uporczywe i stopniowe niszczenie ustabilizowanych układów międzynarodowych, w sposób bezpośredni i pośredni osłabiłoby Stany Zjednoczone.

Najskuteczniejszym sposobem stosowania tej strategii zniszczenia jest osiągnięcie i utrzymanie takiej potęgi militarnej, która wystarczyłaby do powstrzymania reakcji USA i zastraszenia jego sojuszników, przy jednoczesnym wspieraniu wrogiego nastawienia wobec Stanów Zjednoczonych, szczególnie na tych strategicznie ważnych obszarach, gdzie tkwi potencjał decydujący o dynamicznych zmianach w globalnej równowadze polityczno-ekonomicznej. Dzisiaj są nimi przede wszystkim Bliski Wschód i Ameryka Środkowa.

To, co zdarzy się w tych dwóch niewralgicznych strategicznie i geopolitycznie strefach; zdecyduje o przyszłym kształcie modelu stosunków amerykańsko-sowieckich i określi globalną rolę ZSRR. Postępujący rozkład równowagi politycznej na Bliskim Wschodzie, wraz ze stopniowym wzrostem obecności politycznej Związku Sowieckiego w tym rejonie /do którego nie miał on dostępu od 1973 roku/, może mieć daleko sięgający wpływ na stosunki Ameryki z Europą i Dalekim Wschodem. Istotne znaczenie strategiczne tego obszaru polega na tym, że jakikolwiek spadek wpływów amerykańskich w tym miejscu, szczególnie jeśli występuje równocześnie z odpowiednim wzrostem politycznej obecności ZSRR, powoduje poważne konsekwencje w globalnym bilansie wpływów obu mocarstw.

Podobnie, to, jak Stany Zjednoczone rozwiązują swoje problemy w Ameryce Środkowej, a w szerszym wymiarze to, jak układają swoje stosunki z Meksykiem, ma wpływ na globalną równowagę i w ten sposób także na rolę w świecie Związku Sowieckiego. Sytuacja na Wschodzie zależy nie tyle od tego, co mają uczynić Rosjanie; co od zachowania się samych Stanów Zjednoczonych - aktywności bądź bierności w konkretnych sytuacjach. Jeśli polityka amerykańska w rezultacie "amerykanizacji" konfliktów społeczno-politycznych doprowadzi do sytuacji, w której świat zachodni będzie coraz bardziej antyamerykański, i jeśli jednocześnie stosunki z Meksykiem skomplikują się do tego stopnia, że USA straci możliwość udzielenia temu państwu konstruktywnej pomocy w rozwiązywaniu wewnętrznych problemów, to wynik tych procesów będzie na długo określał rolę i miejsce Stanów Zjednoczonych w świecie.

Ten fakt, z kolei, mógłby wzmocnić sowiecką świadomość imperialną oraz dążność ekspansjonistyczną, jednocześnie wzmacniając obecną strukturę potęgi Związku Sowieckiego, jej zasadniczy charakter. Stosowne jest w tym miejscu stwierdzić, w oparciu o historię Rosji, że istotne wewnętrzne zmiany polityczne zdają się następować w wyniku porażek zewnętrznych, podczas gdy sukcesy osiągnięte na zewnątrz wywołują wzmocnienie centralizmu i kontroli ideologicznej. Ponadto, jak to przedstawił Arnold Horelick w ostatnich studiach Randa, sukcesy w polityce wewnętrznej również wywołują tendencję do bardziej stanowczego kursu i zwiększenia ambicji w polityce zagranicznej.

Z drugiej strony, niepowodzenia zewnętrzne doprowadziły w przeszłości do głębokich przewartościowań w polityce wewnętrznej, powodując niekiedy istotne innowacje systemu. Dzięki temu, mimo wewnętrznej słabości reżimu carskiego, korupcji przenikającej wszyst-

kie dziedziny życia, bezmyślnej biurokracji, podstawowa struktura jego potęgi trwała przez tak długi czas. Reżim upadł ostatecznie jedynie z powodu wielkiej militarnej klęski, której doznał w czasie trzech wyniszczających lat II wojny światowej, Rządkie okresy przeprowadzania reform wewnętrznych, które miały miejsce w pierwszej dekadzie XX wieku oraz w latach sześćdziesiątych wieku XIX, nastąpiły wkrótce po porażkach odpowiednio w wojnie rosyjsko-japońskiej i w wojnie krymskiej. Wielki historyk rosyjski W.O. Kluczewski zauważył, że "wojna doprowadzona przez Rosjan do szczęśliwego końca, przyczyniła się do utwierdzenia poprzednio ustanowionego porządku", zaś "postęp w życiu politycznym wewnątrz Rosji zawsze był osiąganym jako rezultat niepowodzenia politycznego Rosji za granicą".

Poprzez stworzenie potęgi militarnej o skalo globalnej Związek Sowiecki de facto wyłamał się z oddziaływania amerykańskiej polityki powstrzymywania terytorialnej ekspansji rywali. Jednocześnie poprzez rozszerzenie zakresu oddziaływania w okresie, gdy jego własne możliwości są wciąż ograniczone do jednej dziedziny, ZSRR naraża się na ewentualność nadmiernego rozrostu, a nawet na poważne zewnętrzne niepowodzenia z powodu przefundujących się militarno-politycznych niepomyślnych wydarzeń. Tak więc moskiewska strategia wyrachowanego wykorzystywania niepokoju w świecie może doprowadzić, w wymiarze historycznym, do wypadku przy zabawie z ogniem.

Polityczne wnioski, jakie wynikają z powyższej analizy, można sformułować następująco.

- Militarny wymiar współzawodnictwa Wschód-Zachód, w którym głównymi rywalami są Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki posiada, w sensie negatywnym, doniosłe znaczenie. Jakkolwiek nie jest prawdopodobne, że rywalizacja ta zakończy się konfliktem zbrojnym, Zachód musi podjąć każdy wysiłek, aby mieć pewność że ZSRR nie osiągnął militarnego potępu, który umożliwiłby mu próby politycznego zastraszenia.

- Rozmowy o kontroli zbrojeń muszą być oceniane w pierwszym rzędzie w kategoriach ich wkładu w utrzymanie stałej równowagi militarnej Wschód-Zachód. Jest to ich główna rola. Co więcej, powinna być kontynuowana bez uprzednich złudzeń, co do wpływu jakiegokolwiek układu na system sowiecki i jego stosunek do Zachodu. Długotrwała rywalizacja polityczna nie zakończy się za sprawą nawet najbardziej wszechstronnego układu o kontroli zbrojeń.

- Każde większe niepowodzenie sowieckie na zewnątrz może wywołać natychmiastowe konsekwencje w Europie Wschodniej. Jest to region bardzo niespokojny i wrogo nastawiony wobec sowieckiego zwierzchnictwa. Każda oznaka słabości, przeciagający się i osłabiający Rosjan konflikt zagraniczny będzie wykorzystany do przerwania tego najmniej trwałego ogniska w sowieckim łańcuchu imperialnym. Ponadto jest to rejon najbardziej podatny na idee zachodnie, Europa zachodnia jest dla niego kulturalnie atrakcyjna. Stanowi on zatem główny obiekt polityki zachodniej, mającej na celu osłabienie sowieckiej dążności imperialistycznej.

- Zachodnia Europa a szczególnie Ameryka podejmuje wysiłki skupiające się na tym, by utrzymać i umocnić stabilizację w takich szczególnie ważnych rejonach, jak Ameryka Środkowa i Bliski Wschód. Będą one decydowały o tym, czy globalne wpływy sowieckie rozszerzą się i zagrożą międzynarodowej stabilizacji, czy też nie. Amerykańska bierność na Bliskim Wschodzie i zbytne zaangażowanie się USA w Ameryce Środkowej stanowią najbardziej bezpośrednie geopolityczne zagrożenie.

- Pozytywne zadanie ukształtowania szerszego międzynarodowego systemu, rzeczywistość obejmującego niedawno wyemancypowany Trzeci Świat, który zastąpiłby węższy europejski model uporządkowania świata, rozbity na skutek II wojny światowej, jeszcze długo będzie musiało być realizowane bez konstruktywnego udziału ZSRR. Związek Sowiecki - zbyt silny by nie być rywalem a czujący się zbyt słabym, by być partnerem - nie może być brany pod uwagę jako prawdziwy uczestnik w tym twórczym procesie. Jego postawa wobec "status quo" jest diametralnie różna od amerykańskiej - Moskwa chce je zmienić, gdyż nie ma w nim pozycji dominującej.

- Historyczna koegzystencja ze Związkiem Sowieckim zostanie pod wpływem zadania, w swej istocie negatywnego, jakim jest uniknięcie nuklearnej katastrofy. To Zachód zdecydował, w drodze działania lub zaniechania, czy to współistnienie - w najlepszym wypadku przez długi czas niepewnie pokojowe - wykształci bardziej niż dotychczas harmonijny układ, czy też doprowadzi do globalnej anarchii.

RAYMOND ARON

NIE POZWAŁAJCIE SOBIE NA ŚMIECH

Po śmierci Stalina Zachód dał się na ogół przekonać, że Związek Sowiecki jest krajem jak inne, że jego ustroj można porównać z innymi ustrojami znanymi w ciągu wieków, ustroj wprawdzie despotyczny, ale mieszczący się w szeregu starych despotyzmów azjatyckich, jeśli nie europejskich. Najwięksi optymiści przewidywali nawet taką zbieżność: kapitalizm ulegający socjalizacji i socjalizm w drodze do liberalizacji mogą się w przyszłości zbliżyć tak, by stać się prawie wariantami takich samych układów społecznych. Przecież siły i środki produkcji poddane są po obu stronach takim samym racjonalnym prawom. Nie trzeba być marksistą; by uznać, że maszyny oddziałują na tych, którzy się nimi posługują, a instytucje na tych, którym służą.

Jedna z wersji potocznego marksizmu skłaniają do jeszcze bardziej optymistycznej wizji: skoro Sowieci opuścili żelazną kurtynę, aby zasłonić okrucieństwa akumulacji pierwotnej, czemu nie mogliby jej podnieść, gdy dogonią albo nawet prześcigną kapitalizm? Przywrócą wówczas wolność, lub przynajmniej pewne swobody obywatelskie, gdy już - według sformułowania Chruszczowa - każdy dostanie trochę masła do chleba i trochę mięsa. Ta pozorna mądrość właściwa tym, co się mają za przezornych, ponieważ są jakoby wolni od niskich namietności, wywołuje gwałtowny sprzeciw dysydentów rodyjskich, Andrieja Sacharowa i Aleksandra Sołżenicyna.

Oto Supermocarstwo, które ma podobno półtora raza więcej rakiet międzykontynentalnych niż USA: najniższe pobory miesięczne wynoszą tu 60 rubli,

pięta średnia 110 /oficjalnie 130/. Według Sacharowa te najniższe pobory mają siłę nabywczą 30 dolarów. Jeśli nawet podwoimy tę sumę i weźmiemy pod uwagę świadczenia socjalne za darmo lub bardzo tanie, okaże się i tak, że poziom życia jest tu nieprawdopodobnie niski w porównaniu z życiem w Europie Zachodniej /z Hiszpanią włącznie/. Rodzina czteroosobowa dysponująca mieszkaniem trzypokojowym to zwykle rodzina uprzywilejowana, faworyzowana przez władzę.

Oto ustroj, który uważa się za wzorowy, który twierdzi, że wskazuje drogę do zbawienia ludzkości: w pół wieku po Rewolucji kupuje za granicą dziesiątki milionów ton zboża i własnym obywatelom zakazuje opuszczać ojczyznę socjalizmu. Między obu światami, na granicy NRD i RFN psy patrolowe stale tropią zdradców, którzy chcą wybrać wolność. Mur berliński jest symbolem znaczenia, jakie władcy z Krenla i Pankow nadają pokojowemu współistnieniu: zagradzają drogę prawdzie, odmawiają dialogu.

Czym różni się Związek Sowiecki od despotyzmów czy tyranii klasycznych? Jaką przyczyną wyjaśnić wierność prawdziwie wierzących i ten lęk przed niewierzącymi, a także niezmywalny na ogół ślad, jaki pozostawia marksizm-leninizm na tych, którzy mu przysięgli, a potem się go wyrzekli? Jedno słowo wskazuje nie tyle odpowiedź, ile raczej kierunek poszukiwań: i d e o l o g i a . Ludzie Zachodu pragnęliby zapomnieć o ideologii; lecz najpierw Sołżenicyn, potem Alain Besançon w "Krótkim traktacie", każdy na swój sposób, przypominają, że niepodobna zrozumieć Lenina, Stalina, ani nawet Breżniewa, jeśli pominiemy się doktrynę /czy dogmat, czy wiarę - słowo jest tu nieważne, w której imieniu sekta marksistowska dorwała się do władzy i zaczęła zmieniać świat, budować socjalizm.

Z prorocztwa Marksa bolszewicy przejęli tylko wersję prostacką: radykalny przedział między kapitalizmem i socjalizmem, bez możliwości jakiegokolwiek kompromisu, niemożność zrealizowania socjalizmu na drodze reform, a więc oczekiwanie na rewolucję i pragnienie rewolucji przekształcającej w rodzaj pochodu prawdy; wreszcie bezapelacyjne skazanie własności prywatnej / w jak najszerszym sensie / i wolnego rynku, czyli dwu instytucji wyklętych na zawsze, jako naznaczonych piętnem kapitalizmu. Będąc nieustraszoną i skłóconą ze wszystkimi sektami rosyjskiej socjaldemokracji, słabym ogniwem w łańcuchu II Międzynarodówki, bolszewicy przyzwycażeni i zmuszeni do działania w podziemiu, bardziej nawet niż sam Lenin sądzili, że mają do spełnienia historyczną misję, którą Marks powierzył proletariatu, a II Międzynarodówka socjaldemokracji. Mając się za jedynych prawdziwych przedstawicieli demokracji, która z kolei prezentować miała proletariatu - uutożsamili oni własną władzę z władzą klasy robotniczej /czy koalicji robotniczo-chłopskiej/. W 58 lat od dni, które wstrząsnęły światem, myślą nadal w ten sam sposób, jak myśleli na wygnaniu czy emigracji. Fanatyzm Lenina przekształcił się w ortodoksyjne Imperium.

Mimo różnic, bardziej zresztą pozornych niż prawdziwych, w każdym razie mało istotnych, fizyki i literat zsa żelaznej kurtyny zgodzają się między sobą, a także z sowietologiem francuskim, co do podstaw rozumienia p r z e d m i o t u s o w i e c k i e g o : reżim zbudowali fanatycy, którzy natrafili i nadal natrafiają na opór nie do pokonania, jaki stawiają im natura ludzka i społeczna. Socjalizm, o jakim marzyli, nie istnieje i nie istnieje w możliwej do wyobrażenia przyszłości. Ale bolszewicy nie odstąpią - przynajmniej na razie - od ideologii. Mimo nalegań Sołżenicyna nie mogą przyznać się do złudzeń i błędów /nawet jeśli Sołżenicyn mówi prawdę: "Od dawna już wszystko w naszym kraju polega nie na zrywie ideologicznym, lecz na czystym wyrachowaniu i podporządkowaniu jednostek" /.

W każdej epoce ustrój czy - jak kto woli - władcy, panujący i uprzywilejowani pragną udowodnić swe racje, powołując się na zasadę prawowitości. Oczywiście marksizm-leninizm stanowi zasadę prawowitości reżimu sowieckiego. Przeobraża on panowanie Partii, oligarchii partyjnej czy jednostki z niej się wywodzącej w etap drogi do zbawienia ludzkości. Gdyby Partia przestała się uważać za awangardę proletariatu byłaby zbiorowym tyranem, Księciem, który rządzi w zależności od humoru i we własnym interesie. Ale Partia nie chce być tyranem; jeśli zachowuje wyłączną władzę, to tylko po to, by włączyć i odcierać się od proletariatu i socjalizmu. Członkowie Partii, którzy w myślach traktują ją /lub jej oligarchię/ jako tyrana, popełniają odchylenie, zwane przez Besançon'a cynicznym. Jest to odchylenie prawicowe, które nie odróżnia metody machiawelicznej, koniecznej w każdej wojnie, i filozofii machiawelicznej.

Aby uniknąć odchylenia prawicowego nie wystarczy, by Partia przejęła rewolucję, trzeba też, by Partia będąc przy władzy budowała socjalizm. Na czym polega socjalizm? Lenin dałby odpowiedź zapewne inną niż Breżniew, ten drugi być może nie odpowiedziałby wcale. Ale obaj byłiby zgodni wobec tych samych zakazów: prywatnej własności środków produkcji i "formy wymiany towarowej", czyli handlu, oraz w ostatecznym rozrachunku pieniądza. Bolszewicy nie znali się na nowoczesnej ekonomii, ale chcieli zlikwidować niektóre for-

my organizacji, dotknięte przez marksizm całkowitą ekskomuniką. Stąd zderzenie między Partią i ludnością cywilną, stąd także opisywane przez Besançon przemienne występowanie okresów napięcia i okresów rozluźnienia. Albo Partia czy Państwo wyczerpują aż do końca środki przymusu, by poddać ludność cywilną prawu ideologii, albo przeciwnie - pozwalają chłopom w końchozach uprawiać skrawki ziemi czy sołżenicynowi wydać "Jeden dzień Iwana Danisowicza".

Przywódcy i narody w krajach Europy Wschodniej zdają się obawiać u progu roku 1976 nowej fazy napięcia, wznowienia walki z "przeżytkami kapitalizmu" i wzrastaniem w siły "klas skazanych przez historię". Faza taka różniłaby się głęboko od komunizmu wojennego, który próbował realizować Lenin i jego towarzysze. Nikt na Kremlu nie zamierza chyba wysłać żołnierzy, by odbierali chłopom ziarno, ani też nie myśli o zlikwidowaniu pieniądza. Rządzący akceptują "formę wymienną" nawet w postaci czarnego rynku. Innymi słowy, cykle napięć i odprężień wyrażają pewną orientację: bolszewicy nadal są ideologami, godzą się jednak na kompromisy z oporną rzeczywistością. Socjolog, tytułujący w latach trzydziestych książkę o Związku Sowieckim "The Great Retreat", cieszył się przedwcześnie i nie dostrzegał ofensywy, która poprzedzała każdy odwrót. Lecz niepowodzenie ofensywy za każdym razem pozostawia wspomnienie w umysłach rządzących. Żaden z nich nie napisałby dzisiaj "Państwa i rewolucji".

Oczywiście lekcje wyciągnięte z komunizmu wojennego nie ustrzegły przed ekscesami cywilizacyjnymi. Nazajutrz po przejęciu władzy, w klimacie wojny domowej, bolszewicy próbowali podzielić dobra siłą, redukując wymianę do minimum. W osiem lat po pierwszym odrocie Stalin wyobraził sobie zapewne, że ograniczy spożycie kukafok i zwiększy globalny dochód z rolnictwa na korzyść miast, a równocześnie zlikwiduje różnice na wsi między biednymi a bogatymi, między tymi, którzy nie posiadają nic i tymi, którzy mają jeszcze cokolwiek. W ten sposób wywołał wojnę między Państwem i chłopami: chłopci zostali pokonani, lecz zwycięzca nie osiągnął ani swych celów ekonomicznych, ani politycznych.

Każda faza zwana k o m u n i z m e m w o j e n n y m albo Н Е Р Е м posiada własne cechy charakterystyczne. W porządku ekonomicznym - od pierwszej fazy, której symbolem jest zastąpienie pieniądza przez bagnet, aż do trzeciej, po zwycięstwie w 1945 r., którą symbolizuje odbudowa końchozów i podporządkowanie konsumpcji inwestycjom - daje się zauważyć zbliżenie między ideologią a rzeczywistością oraz powolne uczenie się procesów ekonomicznych, ciągłe zresztą paraliżowane przez niepokonane do dziś zahamowania psychiczne. Ludzie z Kremla wiedzą już, jak można poprawić wydajność w rolnictwie, przedkładają jednak wciąż logikę własnej ideologii nad logikę produkcji - co Zachód nazywa /niesłusznie/ postępowaniem irracjonalnym, jak gdyby działanie podlegało jednej tylko logice.

Związek Sowiecki nie powtórzy nigdy w tej samej formie komunizmu wojennego, podobnie jak nie powtórzy w przyszłości czystek czy procesów pokazowych. Terror, obozy koncentracyjne pojawiły się wraz z dojściem leninizmu do władzy. Gwałtowność werbalna, z jaką Lenin jako przywódca odłamu bolszewików oskarżał o zdradę tych spośród swych towarzyszy, którzy inaczej interpretowali jakiś artykuł dogmatu, przemieniła się w gwałtowność efektywną. Wyrzucił zdrajców już nie tylko z Partii, ale i ze społeczeństwa. Odłam bolszewików, który twierdził, iż reprezentuje przymierze robotniczo-chłopskie, stanowiął przeciw tylko sektę, która musiała spotkać się z wrogością mas. Sekta ta nigdy nie przestała wyrzucać zdrajców i tropić wrogów. Jako interpretator prawdy w historii Lenin był w Zurychu postacią śmieszna; dzierżąc miecz i z zarazem szale sprawiedliwości budził strach. Ale nie odbierajmy Stalinowi tego, co stanowi jego własną zasługę: zniszczenia Partii leninowskiej i stworzenia własnej, stalinowskiej.

Czy przeszłość to całkiem miniona? Nie zapominajmy o granicach obecnej liberalizacji. W łagrach żyje podobno milion do półtora miliona więźniów, pięć do dziesięć tysięcy dysydentów zamknięto w szpitalach psychiatrycznych. W porównaniu z poprzednimi fazami, okresem wielkiej czystki i ostatnimi latami stalinizmu, fazę obecną cechuje odprężenie /choć zawiera ono

elementy napięcia w porównaniu z piękną epoką Chruszczowa/. Nie znaczy to, że bolszewicy zawarli pokój ze społeczeństwem i z naturą ludzką. Jutro mogą ruszyć na wymaginowane twierdze, w których chronią się robotnicy i inteligencja, chłopci i rzemieślnicy w czasach, kiedy szaleje burza terrorku i ideologii. Mimo wszystko nie bardzo widzę, jak z tej oligarchii starców mogłaby wyrosnąć nieprzeciętna jednostka, cyniczna lub naiwna, którą nienawiść lub ambicja mogłaby pchnąć do wyczynów w stylu Lenina albo Stalina. Podobnie w polityce - gdyby nawet zaistniała nowa ofensywa, wydawałaby się krokiem wstecz wobec wcześniejszych faz terrorku.

Ideokratyczny czy logokratyczny reżim sowiecki dzielił z despotyzmami przeszłości jedną cechę: pozorną niezmiennosc. Czas nie płynie w nim w tym samym tempie, co w społeczeństwach demokratycznych, w których ciągnął ruch wywołuje wrażenie - nie zawsze prawdziwe - nieustannych przemian. Trwałość sowiectwu, nigdy nie porzucone starania, by podporządkować ludność cywilną Partii, opór przywódców przed obiektywnym spojrzeniem na siebie i własne dzieło - na despotyzm tworzący imperium, nie zaś socjalizm dający jednostce wolność - wszystko to utrudnia Zachodowi rezygnację ze złudzenia, że ma do czynienia z ustrojem "jak inne". A stoi on oko w oko ze Związkiem Socjalistycznych Republik Rad, nie zaś z Rosją, jak udawał generał de Gaulle, z ogromnym aparatem produkcyjnym, pierwszoplanową potęgą militarną, zbudowanymi przez sektę, która twierdzi - i wierzy w to - że buduje socjalizm. I jedynie ideologia pozwala jej zasypać przepaść między prozaiczną rzeczywistością a interpretacją zakrojoną na miarę tysięcy.

W liście do przywódców Związku Sowieckiego Sołżenicyn w wielokrotnie cytowanym fragmencie pisze: "Kłamstwo powszechne, narzucone, obowiązujące jest najtragiczniejszą właściwością bytowania ludzi w naszym kraju. Jest to gorsze niż wszystkie nieszczerstwa materialne, gorsze niż brak wolności obywatelskich". Może ryzykując pedanterię dałoby się za Besançonem zarysować typologię kłamstwa. W sensie dosłownym i ścisłym kłamie ten, kto świadomie mówi coś, co jest przeciwne prawdzie: towarzysze Lenina kłamali więc przynajmniej się do niepopełnionych zbrodni, propaganda sowiecka kłamała, opiewając szczęście narodów w okresie kolektywizacji, Trocki nie był agentem Gestapo, Tuchaczewski także nie. Czy jednak można powiedzieć, że nazywając socjalistycznym ustrój Rosji sowieckiej bolszewicy tam, a komuniści na Zachodzie dopuszczają się kłamstwa? Zależy to od definicji socjalizmu. Jeśli socjalizm implikuje wolność osobistą i równość zarobków, to oczywiście bolszewicy i komuniści kłamią. Jeśli jednak uznają przedział między tym, czym będzie socjalizm zgodny ze swoją istotą i tym, czym jest obecnie, to właściwie nie kłamią, a tylko w miejsce rzeczywistości podstawiają to, co Alain Besançon nazywa "nadrzeczywistością", czyli znaczenie dotyczące przyszłości odpowiadającej w ich wyobraźni ideologii. Sowiectwizm mimo wszystko oznacza etap na drodze, która wiedzie do socjalizmu, czyli do wybawienia całej ludzkości.

Jak odrzucić takie pojmowanie? Może jest ono związane z przekonaniem, że istnieje związek między własnością kolektywną i planowaniem z jednej strony i wartościami, jakie niesie socjalizm, z drugiej? Zachodni krytycy kapitalizmu rozpowszechnili w środowiskach intelektualnych przesad, jakoby własność kolektywna i planowanie były same w sobie wartościami moralnymi, ponieważ własność indywidualna i wolny rynek należą do grzechów kapitalizmu. Doświadczenie historyczne wskazuje jednak na niezgodność między środkami ekonomicznymi socjalizmu a jego ideałami. A sceptyk i racjonalista wolą doświadczenie od wiary.

Przypominam sobie słowa premiera IV Republiki: "Mówią nam, że nasza polityka zawiodła - czyż jest to powód, aby z niej zrezygnować?" Od przeszło pół wieku bolszewicy stosują tę samą zasadę. Guy Mollet był śmieszny, gdy tymczasem Stalin z pewnością nie, także Chruszczow i Breżniew. Wobec celów ideologicznych ich polityka zawiodła. Czy ilość dywizji i rakiet międzykontynentalnych równoważy to niepowodzenie? W każdym razie - nie pozwala się śmiać.

ALAIN BESANÇON

ŚMIERĆ TRUPA

Śmierć sekretarza generalnego wyzwoliła w społeczeństwach zachodnich nieodpartą potrzebę symetrii, potrzebę wiary, że zachodzące w Związku Sowieckim procesy są porównywalne z podobnymi na Zachodzie. Orkiestra zachodnich środków masowego przekazu towarzysząca ceremoniom pogrzebowym nadała im ton porównywalny jedynie z pogrzebem papieża lub prezydenta Stanów Zjednoczonych. Głos presenterów zmatowiał, a twarze ich wyrażały powagę chwili. Zachodni mężowie stanu łączyli się w cierpieniu z narodem sowieckim, jak gdyby właśnie od niego - w najmniejszym choćby stopniu - mogło zależeć wyniesienie Andropowa na szczyt hierarchii partyjnej i jakby ta właśnie partia reprezentowała społeczeństwo w demokratycznym znaczeniu tego słowa.

Właściwie jedyną uczciwą reakcją Zachodu na to wydarzenie było podjęcie próby zrozumienia natury systemu sowieckiego.

W Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego /podobnie jak we wszystkich partiach komunistycznych/ grupa ludzi stanowiących Biuro Polityczne i Sekretariat Komitetu Centralnego określa linię polityczną i wybiera ze swego grona tego, który będzie ją realizował w praktyce. Linią tą określona została w 1964 r. po upadku Chruszczowa. Poza jej ramy nie wyszedł ani Breżniew, ani Andropow. Wyznacza ją bowiem stabilna struktura władzy sowieckiej, która - choć brak jej wewnętrznej siły, aby dokonać jej modyfikacji - jest zdolna do jej kontynuowania. Doświadczenie wskazuje, że jakkolwiek próba przeprowadzenia reform jest daremna, a w momencie podjęcia może być niebezpieczna i ryzykowna. W tej sytuacji cała uwaga sowieckiego kierownictwa kieruje się na zewnątrz i tam poszukuje sukcesów. W imię tej zasady międzynarodowy ruch komunistyczny wykorzystuje każdy kryzys powstający poza blokiem sowieckim. Świat zachodni, w przeciwieństwie do świata sowieckiego, wpisany jest w historię, w jej procesy, załamania i niepewności. Celem ruchu komunistycznego jest natomiast wykazanie, że komunizm uniezależni nas od wahań historii będąc jedynym rozwiązaniem wszelkich kryzysów, obojętnie jakiej byłyby one natury: dekolonizacja jak w Wietnamie czy Angoli, upadek Nikaragui Somozy, rozkład dawnego ustroju jak w Etiopii, kryzys chilijski lub nawet głębokie ruchy typu rewolucji islamskiej. Komunistyczny postęp realizowany jest przez międzynarodową społeczność socjalistyczną, w ostatecznej zaś instancji przez potęgę sowiecką - dzięki umiejętnie sterowanej przemocy. Poza tym rozwinięte kraje Zachodu - mimo perswazji i nacisków - aktywnie współuczestniczą w tworzeniu potęgi.

Związku Sowieckiego czy to przez subwencje ekonomiczne czy pomoc i powiązania technologiczne.

Polityczna linia Sowieckiej Partii Komunistycznej przynosi owoce dzięki swej spójności i konsekwencji. Prowadzona jest w sposób bezosobowy, ale efektywny - nawet wtedy, gdy znaczenie jej sekretarza generalnego zredukowane jest do roli trupa publicznego, jak to miało miejsce podczas ostatnich lat Breżniewa, lub do roli trupa niemobilnego i ukrytego, jak podczas ostatnich miesięcy Andropowa. Czy można określić osobistą rolę tego ostatniego i jego indywidualne miejsce w radzieckim systemie politycznym? Przynajmniej w trzech dziedzinach taka ocena jest możliwa i uzasadniona.

Po pierwsze, Andropow wprowadził do sowieckiej polityki nową i ważną jakość polityczną: bezpośrednie zaangażowanie się Sowietów w międzynarodowy terroryzm. Sowieckie służby specjalne wyposażyły terrorystów w broń, zorganizowały ośrodki szkolenia, dały oparcie logistyczne, wreszcie określiły hierarchię celów i zadań. Zamach na papieża był ich najbardziej spektakularnym efektem.

Po drugie, Andropow podniósł poziom strachu i nienawiści w życiu codziennym obywateli sowieckich. Granice państwa zostały zamknięte jeszcze bardziej szczelnie. Wydano nowe przepisy kodyfikujące bezprawie. Na ich podstawie komendant obozu koncentracyjnego posiada uprawnienia do przedłużenia okresu kary. W celu "przybliżenia KGB do społeczeństwa" Andropow utworzył sieć okręgowych biur KGB, powołał w aparacie policyjnym wewnętrzne sekcje polityczne etc. Pracę propagandy skierował na wzmoczenie nienawiści wobec "amerykańskiego imperializmu" i "żydowskiego syjonizmu". To jego trzecia zasługa.

Krótko mówiąc, Andropow - jeśli można użyć tego potoczego określenia - dokreślił śrubę. Tak przedstawia się bilans krótkiej działalności człowieka, w którym Zachód tak bardzo chciał widzieć wielkiego liberała i reformatora.

Jak przedstawia się jego sukcesja? Dopóki utrzymana zostanie linia Breżniewa-Andropowa, odpowiedź na to pytanie nie ma większego znaczenia. Walki klanów o władzę nie są walkami politycznymi. Można porównać je ze współzawodnictwem eunuchów na dworze cesarza chińskiego. Gwałty i akty okrucieństwa, choć towarzyszą temu współzawodnictwu nie przenikają poza Mur, nie są brzemienne w konsekwencje, nie zagrażają trwaniu cesarstwa.

Kariera Andropowa, Gromyki, Ustinowa, luźni technologii władzy, wskazuje na pierwszoplanowe znaczenie w strukturze partii reprezentowanych przez nich organów. KGB, dyplomacja, armia są kolumnami, na których opiera się reżim. Ożywia to spekulacje na temat przemieszczania się ośrodka władzy z partii w kierunku armii. Iluzje te są konsekwencją złudnej symetrii myślenia - niezrozumienia, czym armia jest w krajach Zachodu, a czym w Związku Sowieckim. W krajach zachodnich armia jest ciałem autonomicznym, które otrzymuje dyrektywy od państwa; nie aspiruje sama do odgrywania roli politycznej. Inaczej w ZSRR: tam armia jest jednym z elementów socjotechniki sprawowania władzy. Wszyscy oficerowie są członkami partii, to znaczy że armia realizuje ten sam ideał, co policja i dyplomacja. Inaczej mówiąc, nie należy wyobrażać sobie reakcji między partią a armią według zależności, jakie istnieją między państwem a armią w krajach zachodnich. Większe podobieństwo istnieje w modelu relacji pomiędzy wojskową służbą wewnętrzną a samą armią. KGB, armia, Komitet Centralny są bowiem tylko innymi elementami tej samej wewnętrznej struktury - Partii.

W ramach istniejącej i obowiązującej linii politycznej margines manewru przywódcy upoważniono do jej realizacji jest w Sowietach nadzwyczaj wąski w praktyce. Andropow nie doszedł wprawdzie do władzy podobnej władzy Gorbaczowa, ale uczynił pierwszy krok w tym kierunku. Każda jakościowa zmiana linii warunkowana jest jej wcześniejszym załamaniem. W okolicznościach dnia dzisiejszego to nie nastąpi. Do jej trwałości przyczyniły się również państwa zachodnie.

PIERRE NORA

TA PODRÓŻ JEST DRAMATEM

"Ta podróż jest dramatem!" Po to, aby dwa miesiące pobytu w Rosji czasów Mikołaja I wyrwały z Custine'a ten okrzyk, trzeba było, by niezmiernie historyczne nieszczęście Rosji obudziło w tym człowieku echa nieprzewidziane, lecz przygotowywane od dawna przez wykładowy los.

Najpierw przez zaszczępienie nieszczęścia niedoznanego, bez śladu w pamięci. Kiedy komus przeznaczono jest nosić imię Astoifa Ludwika Leonora markiza de Custine, wtedy jest rzeczą zaiste fatalną zostać poczętym ledwo na miesiąc przed zdobyciem Bastylii. Nie miał jeszcze czterech lat, gdy jego dziadek, następnie zaś ojciec wstąpili kolejno na szafot. Wychowywał się w samotnym zamku w Calvados, między zbyt kochaną i zbyt kochającą matką, piękną i słodką Delfiną de Sabran a jej sławnym i niewiernym kochankiem - Chateaubriandem, którego Custine pamięta, jak wyciągał przez okno /między jednym a drugim cytatem ze swych "Męczenników"/ karpie z zamkowej fosy. "Mój pierwszy przewodnik - powie o nim - człowiek najajcy na mnie największy wpływ w czasach mej młodości". Czyż zatem mogło nie być trudnym wejście w życie tego pięknego, posepnego i chorowitego młodzieńca, wrażliwego pomiędzy tymi przyniżającymi osobowościami; młodzieńca tęskniącego do siostrzanej duszy i zatrutego introspekcją. "W wieku 18 lat czuję, że wszystko skończyło się dla mnie na tym świecie" - tak rozpoczyna swój autoportret. "W jakichkolwiek warunkach nie narodziłbym się, zawsze spowodowałbym nieszczęście". Cierpi na zawroty i potworne bóle głowy będące wynikiem wypadku. W każdym sensie uderza ciągle głową o ścianę.

Kiedy po niekończącej się udręce w młodości i po europejskiej włóczędze, w trakcie której odwiedza wielkie, wiecznie skłócone z cesarstwem rodziny i po tym wreszcie, jak jego matka na próżno star się wepchnąć go do armii frabiego Artois lub przedpokoju Kongresu Wiedeńskiego, powie o sobie tak: "Oto ja, na krawędzi bogactw i honorów, ale bez wiary, bym przekroczył ich próg". Mimo wielu romansów z bogatymi dziedziczkami o imionach jak z Prousta zawsze w ostatniej chwili zrywa zaręczyny. Mając lat trzydzieści żeni się z pewną ząną pięknością z prowincjonalnej szlachty, która umiera w połogu...

Jednak największa, prawdziwa i nieodwołalna katastrofa, która okryje nańbą jego imię i na zawsze zmieni bieg jego życia, stanie się jego udziałem 28 października 1824 r. Tego dnia cały Paryż dowie się z gazet, że Pan Markiz został znaleziony deszczowego poranka pónagi, w fosie Sain-Denis, pobity przez kolegów pułkowych pewnego żołnierza, z którym miał miłosne rendez-vous.

W samym środku ministerium Villéle'a, w miesiąc po koronacji Karola X podobnej przygody się nie wybacza. Francja "ultra" jest w pełnym rozkwicie i "odzyskana" Izba ma narobnie przegłosować tzw. prawo o świętokradztwie. Komentarze najzyczliwszych przyjaciół: "Oto człowiek idzie na dno, napiętnowany, oznaczony pieczęcią hańby, pozostała mu jedynie pociecha płynąca z religii". Przedmieście Saint-Germain opuszcza żelazną kurtynę i odsyła winnego na ławę dla okrytych hańbą. Na zawsze. W dodatku po to, by do końca wy-

pił swój kielich goryczy: zapalenie opon mózgowych zabiera mu dziecko, a jego matka, piękna Delfina, w krótki czas potem umiera z rozpaczy.

Z tego kryzysu wyrusza się powoli inny człowiek, przyszły autor szeroko czytanych listów. Człowiek, który nie znieśie już moralnej hipokryzji i konformizmu swej kasty, człowiek znikąd - zbojczy i zbuntowany, ale wolny. Niezmiernie bogaty, żyje nicyzm Os-car Wilde w oficjalnym związku z młodym Anglikiem, Edwardem de Saint-Barbe, "niewołnikiem", którego wierność sięgać będzie aż za grób; miążdży luksusem swego życia nie mogące go nigdy przyjąć towarzystwo; obryzguje swobodą swego zachowania, hulankami, konwersacją - jedną z najśwawniejszych w tym czasie - środowisko literackie, przez które rozpaczliwie pragnął być uznanym. Tutaj jednak spotkało go kolejne niepowodzenie. Żadna z jego czterech powieści nie zdobyła uznania. "Alojzy, czyli zakonnik z Góry św. Bernarda" wydany w roku 1827, bez nazwiska autora, jest krótką, źle zamaskowaną autobiografią. Ten sam temat zawiera "Armance", która ukazała się w tym samym roku. "Świat taki, jaki jest" /1835/ został oceniony przez Juliusza Sandeau /opinie ta jest zresztą powszechna/ w "Le Figaro" w następujący sposób: "Pan de Custine jest wielkim panem, człowiekiem subtelny, pełnym wdzięku i dowcipu. Brakuje mu jedynie sekretarza". Wobec "Ethel" /1835/, powieści o obyczajach swiataka Londynu i Paryża krytyka stabilnie. Jednak późniejszy "Romuald albo powołanie" /1848/, powieść w czterech tomach, zyskuje mu tylko przychylności dziennikarzy, zainteresowanych nim wyłącznie jako mecenasem. Sztuka teatralna "Beatrice Cenci", mimo strumieni złota, którymi autor chciał uzyskać jej przyjęcie. przez Komedję Francuską, nie ma więcej szczęścia. A przecież Hugo, George Sand, Teofil Gautier, Balzac, Stendhal, Lamartine i Baudelaire /ten ostatni złoży mu pośmiertny hołd/ chodzą na sławne już przyjęcia na ulicę La Rochefoucauld i ożywiają uroczystości w Saint-Griatien - posiadłości w lesie Montmorency, kupionej przez de Custine'a po likwidacji de Fervaques. Mimo to Custine uzyskuje od nich jedynie prywatne komplementy. "Miałem zawsze tylko jedną ambicję w życiu - zwierzy się dawniej przyjaciółce Zofii Gay w 1843r., kiedy "L sty z Rosji 1839" przyniosła mu wreszcie, mimo ciągłego milczenia prasy, ogromny sukces - zajęć miejsce między dobrymi pisarzami mego czasu i być przez nich uważanym za swego". Na próżno.

Custine to wygnaniec w każdym sensie tego słowa. Historyczny - gdyż jego ród został wyeliminowany przez Rewolucję i nowy porządek świata, tracąc na szafotach głowy. Moralny - gdyż obyczaje praktykowane przez siebie z wyniosłością wielkiego pana uważał sam za zboczone; obyczaje, przeciw którym buntuje się jego dusza, żarliwa wiara, mistyczna i dogmatyczna zarazem, ten katolicyzm nabyty w dzieciństwie, w którym nie przestaje znajdując pociechy i potępienia - coś jak stała pokusa klasztoru. Jest wygnaniem w sensie społecznym - odrzucony przez własną kastę, miążdżony przez nawet pokutniczej religijności i ciasną, rodzącą się dopiero mieszczańską moralność - tamtej Francji. Brak sił twórczych, odsyłający go w szeregi amatorów, skazywał go na wygnanie literackie, na zawołowane uczucie, w którym dostrzegał jedynie lekceważenie.

Pamiętniki z epoki pozwalają zrozumieć rezerwę, by nie rzec wstręt wywołany przezzeń. Krabina Meriin: "Ten biedny markiz jest czarujący, ale nie mogę go dotknąć, jego ręka napawa mnie obrzydzeniem... Lepi się!" Albo pierwsze, przejmująca wrażenie, jakże wywołał w salonie na Filarecie Chasles, profesorze Collège de France, mającym potem Turbię go i rozumieć z "tą jego stodyczną swiatawca, wyglądająca niezbyt po męsku, z dziwaczną nieszmiałością i jakby poczuciem poniżenia i upokorzenia..."

Podróż była prawdziwym powołaniem tej kulturalnej i stałe przed czymś uciekającej istoty. "Miły sposób spędzania życia"; "Historia - jak mówi - badana w swych rezultatach".

inicjacja nastąpiła wcześniej - podczas wielkiego, trzyletniego objazdu Europy w latach 1811-1814. Podążając za matką i jej nowym kochankiem, rzekomo lekarzem psychiatrą, poznaje dolinę Renu, Szwajcarię, Włochy. Była to jedyna jego edukacja, zbliżenie do swiata, życia języków, sztuki, obyczajów i zabytków. W tej epoce znalazł swój styl, któremu będzie wierny aż do podróży rosyjskiej: wyobrażone listy do przyjaciół pisane zazwyczaj. Na gorąco, a w rzeczywistości głęboko przemyślane, oparte na notatkach - styl pozwalający mu na łączenie żywego reportażu z filozoficzną dygresją, aforyzmu z naśladownictwem poprzedników, nie mówiąc już o wykładach z historii, czy wywiadach jak ten, który Custine przeprowadził z Mikołajem I /czy nie jest on w ogóle pierwszym w swoim rodzaju?/. Wspomnijmy jeszcze nieco chaotyczna, zawierająca "potpourri" i gadatliwość bywalca wiel-

kiego świata, wiele brawury, ale także, a nawet przede wszystkim, relacje zupełnie osobiste. Oko i wrażliwość zadziwiająco nowoczesne. Ponawia ten sposób pisania w swej książce "Hiszpania za czasów Ferdynanda VII". W tym przypadku ma jednak pecha. Tak się spóźnia z napisaniem wspomnień z tej odbytej w 1831 roku podróży, że kiedy ukazują się one w roku 1838, w obu krajach zmieniła się już sytuacja polityczna. Co obchodziła Francję Hiszpania, która już nie istniała?

I nagle niezwykły świat. Wystarczył kontakt z rosyjską rzeczywistością, "z tą dyscypliną obozu zastępującą porządek miasta" i "stanem obłędu, który stał się normalnym stanem społeczeństwa", by wszystko to, co rozproszone w jego osobowości znalazło nagłe pozytywny wyraz. "Jechałem do Rosji, aby szukać tam argumentów przeciw rządowi przedstawicieli, wracam stamtąd jako zwolennik konstytucyj".

Autokracja odsłoniła w nim liberalnego arystokratę; w Rosji dostrzegł tylko ją, ale tak jak nikt przed nim. Zaczęło się już od formalności celnych, a nawet wcześniej, kiedy oberżysta w Lubeczce, w punkcie, przez który zawsze jeżdżono do Rosji, oświadczył mu, że "kraj, opuszczany z taką radością i do którego powraca się z taką przykrością, jest złym krajem". Całe śledztwo pozwoliło Custinowi zebrać w czterech tomach cierpliwie przemysłane argumenty potwierdzające jego wrażenie: natychmiastowy niepokój, alergię kogoś nadwrażliwego, co w mgleniu oka chwytą jakimiś wewnętrznym radarem to, co nieuchwytnie. Jakas gwałtowna chemiczna reakcja polityki i moralności. Takie strącanie się osadu odbywa się tu bez długiego pobytu, bez znajomości języka, bez tych długich, niebezpiecznych znajomości, których brak wyrzuca się zawsze podróżnikom publikującym skandalizującą krytykę. Custine jest z gatunku genialnych intuicjonistów potrafiących zrozumieć wszystko między dworcem a hotelem.

Custine dusi się w systemie, który jako pierwszy opisał i ujawnił. Dusi się, a jednocześnie obnaża "jego ucisk przybrany w pozor miłości porządku", "jego pochlebczą szlachę", "tajemnicę rządzącą wszystkim", "fanatyzm postużenstwa" zmuszający Rosjan "do traktowania przerażających cech ich panów jako dobroczynną potęgę, tak, by okrucieństwa historii ukryć pod osłoną wiary". Opisuje społeczeństwo, w którym "żadne szczęście nie jest możliwe, bowiem brakuje w nim wolności", które skazane jest na powszechne kłamstwo "ponieważ powiedzieć prawdę oznaczałoby obalać ustrój", skazane na wczesną manipulację historią przez "potrzebę będącą sprawą przeinaczania faktów". Stałe szpiegowanie i misyfikacja, nienawiść do spojżenia cudzoziemca, bo "reżim nie oparłby się dwudziestu latom swobodnej komunikacji z Zachodem" - doświadczył tego nieraz. Rosję widział jednoznacznie. Dostrzegął fałsz "tak zwanych osiągnięć, będących jedynie niewolniczą imitacją Europy". "Kraj nieokreślonych albo słabych charakterów, buntowników albo automatów bez stopni pośrednich między tyranem i niewolnikiem" - to wszystko połączone z niezbadaną mieszaniną dumy i pokory. I nade wszystko ambicja "nieuporządkowana i ogromna", "prawo rządzące tym narodem z zasady zdobywczym", "imperializm nie mogący rozwijać się inaczej jak tylko w duszy przesładowanych i karmić się nieszczęściem całego narodu cichłego z biedy, który zawczasu odpokutowuje upodlającą podległością nadzieje sprawowania tyranii u innych". Imperator jedynie unika potępienia, nie dzięki własnej osobowości, ale poprzez ohydny autorytet, który uosabia i który nieuchronnie czyni jego osobę interesującą: o czym mówić, jeśli nie o nim? I to jest jeszcze jeden z zarzutów, a zarazem odkryć tego moralisty, że jedna z prawdziwości dyktanda, nawet gdy nie jest ono ohydne, jak na przykład we Francji Ludwika XIV czy Francji de Gaulle'a, polega na degradującej zamiast analizy politycznej na wieczną psychologię.

"Co człowiek zrobił Bogu, że skazał on sześćdziesiąt milionów jemu podobnych na życie w Rosji?", ".../ imperium głębokiej czysty, wielkich pustych przestrzeni, nagich pól, samotnych miast, ostrożnych twarzy, których mało szczerzy wyraz objawia pustkę samego społeczeństwa". Custine ze współczuciem, które czyni go wielkim, wypowiada to znaczące zdanie: "Jest to zjawisko moralne, którego nie można obserwować bez przelewania krwi węż". Rosja dokonała w nim nawrócenia: "czy to moja wina, że przybywając z intencją uzyskania od rządu absolutnego nowych argumentów przeciw despotyzmowi u nas, przeciw nieładowi ochrzczoneму mianem wolności, zostałem uderzony nadużyciami autokratyzmu?".

Nasuwają się paralela z Tocquevillem, tą drugą legitymistyczną inteligencją w stanie gotowości. Jego pierwszy tom "Demokracji w Ameryce" ukazał się właśnie w 1835 roku. Porównanie może się wydać naciągane, bo trzydziestoletni Tocqueville odnawiający Monteskiusza i kładący podwaliny pod nowoczesną naukę o polityce jest w stosunku do naszego pięćdziesięcioletniego estety wyższym umyślnym. Custine uległ jego wpływom i uścisnąć cytata z "Demokracji" w egzerdze swej "Hiszpanii za panowania Ferdynanda VII". Są nawet por-

dstawy by sądzić, choć nie na żadnego dowodu, że narodziłastowy sukces "Demokracji" był zasadniczym powodem popychającym Custine'a, zachęcane przez Balzaca, do odwiedzenia przeciwnego biegną, inną forpocztą cywilizacji europejskiej. Czyż trzeba przypominać ostatnią stronę Tocqueville'a o "środk wielkich ludach, które wychodzą z różnymi punktami, zdają się zbliżać do tego samego celu.../Każdy wymywny przez własny zamiar Opatrzności do tego, by klesły w rękach każdego z nich zawiązy się losy połowy świata". /Polskiemu czytelnikowi przyda się szersze przypomnienie Tocqueville'a z jednego względu. Otóż w polskim wydaniu "Demokracji" właśnie w tym miejscu cenzura usunęła akapit brzmiący: "Amerykanin walczy z przeciwnościami natury. Rosjanin inaczej - z człowiekiem. Pierwszy zwalcza pustkowie i barbarzyństwo, drugiego obwinia się o zwalczanie cywilizacji. Amerykanin dokonuje podboju głównie leśnieszem, Rosjanin natomiast mieczem swych żołnierzy poza swymi aktualnymi granicami. Amerykanin, zorientując do celu, odwołuje się do interesu osobistego jednostek i bacz, by siły ich i rozum przejawiać się mogły w działaniu nieskrępowanym. Rosjanin przeciwnie, wielbiąc w swym wnętrzu autokratę jak gdyby jednoczy w sobie całą potęgę państwa. Amerykanin w działaniu daje pierwszeństwo W O L I N O S C I, Rosjanin N I E W O L I. - przyp. tłum.J.

Te dwie książki stanowią epokę: o Rosji i o Ameryce nie mówi się już tak, jak przedtem. Ich autorzy wyszli z tego samego środowiska społecznego, politycznego i religijnego. Terror dotkliwie doświadczył ich rodziny. Obaj są szczególnie przywiązani do arystokratycznych wartości ancien regime'u, a na nowopowstałą monarchię burżuazyjną patrzą z pesymizmem i pogardą. Obaj wreszcie jedynie w religii widzą rację istnienia wszelkiego społecznego porządku. Rewolucja, wzrastająca równość społeczna, są dla nich problemem egzystencjalnym. Jeden z nich wyrusza, by ze sceptycznym obserwować i analizować laboratorium nowoczesnego egalitaryzmu, drugi chce obserwować zachowane od wieków nierówności, które uważa za słuszne. . . . Jeden wierzy, że zwiędza piekło, drugi - raj. Tocqueville przekonany, że siła amerykańskiej demokracji leży w jej instytucjach lokalnych przebywa prawie wyłącznie na prowincji, Waszyngton odwiedza pod koniec pobytu jedynie dla spokoju sumienia. Custine, jadąc do najbardziej scentralizowanego kraju chrześcijaństwa, koncentruje swą uwagę na jego stolicy, dworze carskim i aparacie państwowym.

Zmiana poglądów zajmowanych przy wyjeździe, która nastąpiła w chwili powrotu, doprowadziła ich jednak do identycznych konkluzji wyrażonych racjonalnie w prawie symetrycznych terminach. Tocqueville: "Zasady, na których opierają się amerykańskie konstytucje - zasada porządku, zrównoważenia władz, prawdziwej wolności; szczerego i głębokiego szacunku dla prawa, są niezbędne dla wszystkich republik /.../ W zależności od tego, czy będziemy mieli demokratyczną wolność, czy demokratyczną tyranję, przeznaczenie świata będzie różne; można rzec, że od nas dzisiaj zależy, czy Republika zostanie w końcu wszędzie ustanowiona czy też zostanie odrzucona". Custine: "Opuszczywszy Francję przerażony nadużyciami kłamliwej wolności wracam do mego kraju przekonany, że jeżeli rząd przedstawicielski nie jest najbardziej moralny z punktu widzenia/ogółki, jest mądry i smarkowany w praktyce; kiedy widzi się, że z jednej strony powstrzyma lud od demokratycznej swawoli, z drugiej zapobiega najbardziej krzywdzącym nadużyciom despotyzmu, można zapytać, czy nie należałoby wyciszyć swe antypatie i pogodzić się bez narzekań z polityczną koniecznością, która w końcu przynosi narodom przygotowanym do niej więcej dobra niż zła".

Custine nie mylił się, idąc w ślady Tocqueville'a. W skali historycznej, jak Tocqueville na przykładzie Ameryki, uchwycił zasadniczy kierunek rozwoju wszystkich współczesnych społeczeństw; poprzez carską autokrację scharakteryzował wszystkie formy bolszewickiej dyktatury. Sukces bezpośredni tego arcydzieła czujności krytycznej i nściwej drażliwości był u liberałnych, burżuazyjnych czytelników ogromny: cztery wydania w ciągu pięcioletnich trzech lat, nie licząc nielegalnych 200 tysięcy egzemplarzy sprzedanych zagranicą w ciągu lat dziesięciu. W sumie jeden z bestsellerów XIX wieku. Skąd ten triumf?

Czas podróży ma znaczenie zasadnicze. Obraz Rosji, mocarstwa, które spośród międzywojennych potęg od 1815 r. najbardziej ciążyło nad Francją, zmienił się bowiem po roku 1815 w sposób nagły i zaskakujący.

Nigdy stosunki między tymi dwoma państwami nie były bliższe niż w ostatnich latach resaracji; od prawie jednoczesnego wstąpienia na tron Karola X i Mikołaja I, co miało miejsce w 1825 r. Ograniczyły się one jednak we Francji do warstwy rządzącej, złożonej z rzymskiej Kościołowi katolickiemu szlachty. Lud żył jeszcze wspomnieniami kampanii ro-

syjskiej Napoleona i rosyjskiej okupacji Paryża, liberalne zaś mieszczaństwo było zbyt zajęte polityką wewnętrzną, Rosję innymi uczuciami niż wrogość dla samej zasady. Jedynie kilku dawnych urzędników Cesarstwa lub liberalnych podróżników jak Ancelot w swych "Sześciu miesiącach w Rosji" /1827/ czy J. B. May w pracy "Petersburg i Rosja w roku 1829", widzieli w Rosji symbol despotyzmu, który "pod jakąkolwiek postacią by się nie przejawiał, jest nieznośnym przez to tylko, że istnieje! Również Héreau, jeden z nielicznych specjalistów znających język rosyjski, ironizował na podstawie "Pustelnika w Rosji" Dupre de Saint-Maura z "papiania tych światowców, którzy przyzwyczaili nas wierzyć, że Rosja ogranicza się do Petersburga i Moskwy, co oddaje sekret Rosji prawie tak, jak podróż z Honfleur do Hawru zapoznaje z morzem.

Francja czasów Restauracji przeżywa jednak swój miodowy miesiąc z obrońcą świętego przymierza; z tym wcieleniem samej zasady legitymizmu, z tym niedawno zeuropeizowanym imperium, które solidnie usadowione na swych ogromnych terytoriach i na swym - opartym na niewolnictwie i osiemnastowiecznej szlachcie - systemie społecznym, wydawało się prawdziwym strażnikiem porządku, ostatnią ochroną przed wszelką liberalną ewolucją czy wszelkimi rewolucyjnymi wystąpieniami. Czyż bowiem znaczna część rządzących i członków różnych kongregacji, a przede wszystkim wszechmocnych za Karola X jezuitów nie miała od czasu emigracji przeszłości rosyjskiej? Baron de Damas, minister spraw zagranicznych w roku 1825, uważa się za "najstarszego towarzysza" Pozzo di Borgo, rosyjskiego ambasadora w Paryżu - obaj byli uczniami jezuitskiego kolegium w Petersburgu. Poignac był właścicielem posiadłości darowanych jego rodzinie przez Katarzynę II. To są tylko przykłady. W Rosji istniała francuska kolonia złożona z ludzi mieszkających tam stale albo przybyłych w charakterze inżynierów, kupców, nauczycieli i modystek, w Paryżu natomiast żyło wielu Rosjan, którzy znaleźli we Francji przybraną ojczyznę - wszystko to podtrzymywało między "naturalnymi przyjaciółmi i sojusznikami" zażyłość zupełnie wyjątkową. Nikt nie zauważał wtedy zasadniczej odmienności Rosji, jej historycznego przeznaczenia. Wszyscy znaczniejsi ludzie we Francji bez przerwy opiewali w prasie i przeglądach europejskiej wyższych sfer rosyjskich, udział obokrajowców w jej rozwoju gospodarczym i przemysłowym; wszystko to zaś tonem, w którym pobrzmiwia uwielbienie, kiedy chodzi o politykę, a ojcowską pobłażliwość, gdy sprawa dotyczy kultury. Hrabia de Montalivet nie cofa się przed apologią "katechizmu Soworowa". Co do niewolnictwa, mamy pogląd de Maitre'a: "Niewolnictwo istnieje w Rosji, bo jest tam dzisiaj niezbędne - dlatego, że cesarz nie może rządzić bez niewolnictwa". Kropka. Bez przerwy powtarza się też magiczne słowo usprawiedliwiające zaoferowanie gospodarcze, analfabetyzm, korupcję administracji, surowość cenzury i brutalność wojska, słowo p o s t ę p . Ten olbrzym, który gnębi lud, jest państwem postępowym. De Sismondi pisał: "W Rosji rośnie zadziwiająco nie tylko liczba mieszkańców, ale również ich bogactwo, ich wiedza, ich poczucie moralności i nawet ich prawa..." /1825/. Alians z Rosją, na rzecz którego od "swego" kongresu w Weronie tak żarliwie pracował Chateaubriand, pozostał wielkim zamysłem epoki Burbonów. Był on - nazajutrz po wyprawie na Algier, do której car zachęcał - niewątpliwie bliski realizacji. Dwa ważne wydarzenia - Rewolucja Lipcowa w Paryżu i Powstanie Listopadowe w Warszawie - gwałtownie zniszczyły tę idyllę; sprawiły, że obraz imperium carów w najprzychylniejszych nawet oczachabrał w miejsce różowych barw - czarne.

Napięcie wzrasta od czasu Trzech Dni Chwały /27-29 lipca 1830 - dni poprzedzające abdykację Karola X - przyp. tłum./, Mikołaj i udaje, że nie zna Ludwika Filipa i kiedy ten, pchnany wzburzeniem swego narodu, wydaje się popierać belgijską rewolucję, obrońca legalnych tronów rzuca nawet gróźbę nowej antyrewolucyjnej koalicji. Rozmyśla się dopiero w wyniku wymówek ambasadora Bourgoing: "Nie miejcie wątpliwości, Sire, przed trybunałem czujnej Europy obrońcy dogmatu zostaliby zmażdżeni; zdolności bowiem naszych pisarzy czynią nas panami europejskiej opinii" oraz wobec sceptycyzmu Wielkiego Księcia Konstantego: "opinia publiczna, ten wielki i piekielny motor wszelkich spraw, oskarży Rosję o agresywne usposobienie".

O ile nowej dynastii udaje się uspokoić Rosjan, minimalizując wagę zmiany panującego; o tyle lud francuski chce czego innego. Liberalna burżuazja, liczna i płomienna, uzyskała właśnie dostęp do polityki. Obce jej były dotąd problemy tego monarchstwa, którego hierarchia społeczna nie zawierała analogicznej klasy społecznej. Obecnie jej rewolucyjny i trójkolorowy odruch został sprowokowany przez polską insurekcję i jej bezlitosne stłumienie.

Nic nie może oddać ogromu zapału, z jakim powitano to powstanie. Był to szalony

niczej solidarności: Francuzi poczuli się związani z "Francją Północy" odwiecznymi więzami. Picurujące artykuły, parlamentarne burze, deszcz broszur, lawiny wygłoszonych mów. "Wojna przeciw Rosjanom!", "Śmierć Rosjanom!". Tego wieczora, gdy minister wojny ogłasza, że "porządek panuje w Warszawie" w Paryżu wybuchają rozruchy przeciw kunktatorskiemu rządowi. Rewolucja, zbyt szybko zatrzymana w Paryżu, wybucha gdzie indziej; burząc nowe nadzieje, a liberałowie francuscy przynosząc na nią swe namętności, uznają za własną sprawę Polaków. W pierwszych szeregach tych, którzy czują się zaangażowani, są katolicy: dla nich powstanie w Warszawie to sprawa sumienia. Polska jest katolicka, księża uczęszczali w Powstaniu. Papież mógł ich formalnie potępić, jak jednak katolicy mogliby bez przetażenia znieść myśli o okrucieństwach rusyfikacji i wobec zdobywczy katolicyzmu? Katolicy liberałowie nie wahają się nie uznać załeczeń stolicy apostołskiej. Stronę zmiążdżonej Polski wzięli m.in. Lamennais: "Spój, moja Polsko, spój w pokoju; ja wiem, że to, co zwą lwym grobem, jest twoją kołyską".

Na całe lata sprawa Rosji została przesądzona. Cała liberalna Francja, znając już historyczne, kulturalne i polityczne tradycje Rosji, kieruje wszystkie argumenty - wzoraj przywoływane przez arystokrację na korzyść Imperium - przeciwko niej. One uzasadniają jej przyjaźń z Polską. Polski kryzys 1831 roku zmusił francuską opinię do wybrania między Rosją a Polską jako dwoma nie do pogodzenia systemami wartości. Zręczność samych Polaków sprawiła, że ich walka nabrała charakteru symbolicznego i sakralnego. Już wkrótce licznie napływający wygnancy potrafili umocnić wybór dokonany pod wpływem spontanicznego porwy. Ich propaganda wykorzystywała oburzenie Francuzów, nadając polskim żądaniom walor nie podlegających przedawnieniu praw, polskiej odysei - aureole męczeństwa, a postawie rzędu francuskiego cechy kompromitującej zdrady. Polska kałwaria stała się sprawą opinii zobowiązanej własnej sprawie, epopeją mieszczaństwa pozbawionego epopei. Aż do 1835 roku liczyć się będą tylko relacje uciekinierów z Syberii, barbarzyństwo Kozaków, akty odwagi skierowane przeciw polityce knuta. Odkryje się wszelkie historyczne wymiary niedawnego powstania dekabrystów z 1825 r., powstania, którego znaczenie - mniej lub bardziej celowo - zminimalizowała prasa Restauracji. Na bulwarach i w kawiarniach słyszy się jedynie "warszawiankę" Casimira Delavigne. Cała sala z entuzjazmem oklaskuje u Piętych'a pierwszy koncert Chopina i łąka w rytm poloneza. "Armady ukryte w kwiatkach" - wykrzykuje Schumann. George Sand porównuje Mickiewicza do Goethego i Byrona, wołając: "Wszystko, co czuje, we wszystko, co myśli, wszystko, co zastępuje jeszcze w Rosji na miano człowieka, opłakuje krwawymi łzami Polskę!". Victor Hugo spotyka się z licznymi wyrzutami za swe milczenie i w końcu zmuszony wyraża swe uczucia do Polaków w marnej piosence:

"Smutna Polsko! Niestety! Więc Cię skępowano,
Zwycięzono i już do grobu złożono!...
Baszkirzy zdeptali Twą królewską suknię
i odgnietli na niej ślady gwoździ smych buciurów!...
A Twoje oczy, które śmierć zdaje się już pozbawiać blasku
Mówią: Francjo, moja siostrzo! Nie widzisz, co nadchodzi?"

Przez długi czas Francja słabo poinformowana o problemach nerców stowiańskich ogładała Rosję jedynie oczami emigrantów. Z Londynu Talleyrand, gdzie kończy swą długą karierę jako ambasador, ostrzega Casimira Perier: "Trzeba będzie wielu lat, by Rosja zapomniała o poparciu moralnym, jakiego Francja udzieliła wypadkom w Polsce".

Sam Custine ładnie miał całkiem własną polską motywację dla podjętej przez siebie w 1839 r. podróży w osobie pięknego i czarującego Ignacego Gurowskiego, młodego uchodźcy, którego zainstalował cztery lata wcześniej u siebie i dla którego chce wyjednać łaskę u cara. Podróż ta ma jednak miejsce w trzecim już wymiarze czasowym, gdy opinia publiczna nasycona tworem wszechobecnej i czynnej polskiej emigracji, czyli diabolicznym obrazem Rosji, zmęczona świętowaniem - zaczyna wycofywać swe bezwzględne potępienie. Żąda czegoś innego. Minęło już dziesięć lat. Dziesięć lat chłodnego milczenia i konwencjonalnych stosunków, dziesięć lat rzadkich podróży i trudno dostępnych paszportów. Custine potrzebował aż dwóch zgłotynowanych w czasie Rewolucji krewnych, by go uzyskać. Rosjanie wierzą, że będzie skutecznym narzędziem kontrpropagandy, zachęcają go do przybycia. Publiczność chce rzeczy nowych i zawierających informacje, jest gotowa przyjąć subtelności. Nieobce są jej przypuszczenia, że prawda o Rosji może wyglądać mniej ponuro. Kiedy w 1843 r. pojawia się listy markiza, potencjalni czytelnicy zostali jednak utwierdzeni w swych dawnych opiniach. Przygotowania do odwrotu przeciąg Custine za jednym zamachem; dostarczył bowiem liberalnej opinii nieoczekiwanego argumentu w postaci aktu oskarżenia o niepodważalnym auryteccie; będzie on rzucił nieropodzielnie i nadawał ton tej opinii aż do zniesienia poddaństwa; do podróży Anatola Leroy-Beaulien i odkrycia przez Vo-

que'a rosyjskiej powieści - by zostać potem kompletnie zapomnianym.

Tak było na Zachodzie. W Rosji przyjęto jego książkę od razu z wściekłością. Jest zakazana po dziś dzień, wyłączwszy krótki okres na początku rewolucji 1917 r. Nie przestała jednak nigdy krążyć w ukryciu; wznawiano ją również w podziemiu. Jeden z jej przekładów, z 1930 r., został za Hercenem określony przez wydawcę, "Towarzystwo Uwiedzionych i Wygnańców Politycznych", jako "najinteligentniejsza książka napisana o Rosji przez cudzoziemca".

Niezwykłe to losy książki nie pozbawionej w końcu poważnych słabości. Niezależnie od moralnych frywolności, błędów i niedokładności historycznych czy wad formalnych /np. niekończące się salonowe dygresje/ nie sposób uniknąć wrażenia, że jest ona stronicza i niepełna. Custine pozostał do końca więźniem poglądów swojej sfery, a przede wszystkim swoich informatorów. Sam Żarliwy katolik, wszystkie swe sztychy rezerwuje dla onodoksyjnego kościoła, który wyszedł z pałacu - jak pisze - aby utrzymać porządek w obozie i stworzony jest, by "pomagać policji oszukiwać naród - to wszystko". Custine na próżno zapewnia, że spośród informacji, które przywiózł, a nie pochodzących z jego własnej obserwacji, zachował tylko te, "których charakter i pozycja ludzi od jakich pochodzą, nadały niekwestionowaną pieczęć autentyczności". Ta wierność prawdzie nie przeszkadza mu umieszczać plotek i zasłyszanych wieści na tym samym planie, co autoryzowane informacje. Te ostatnie zbierał zaś w bardzo wąskim środowisku: przede wszystkim wśród niedobitków dekabrystów, podziemnego Koła Szesnastu itp. Z tego powodu najostrożniejsza nawet krytyka mogła dostrzegać w Custinie narzędzie grupy liberałów zadowolonych z możliwości przekazania za granicę swych idei. Choć dzięki niej właśnie jakość wiadomości często zdziwiała samych Rosjan. Efekt ten francuski markiz zawdzięczał nie swej skrupulatności, a raczej swoistemu lenistwu właściwemu światowemu turyście. Swoją obraz Rosji zawdzięczał Custine, jeszcze przed przekroczeniem granicy, Aleksandrowi Turgieniewowi; książkę Kozłowski sportretował mu Mikołaj I, Wiaziemskiemu zawdzięczał wiadomości o carskim dworze w Petersburgu. Zaledwie czwarta część relacji dotyczy niewielkiej wycieczki autora do Jarostawia i Niżnego Nowogrodu, poświęconej przede wszystkim przyjęciu u Golicyńców i namiestnika Buturlina. Krótko mówiąc, Custine nie widział ani przyciemni, ani ludu. W dodatku spośród tego, z czym się zetknął, usknęły jego uwadze rzeczy niezwykle ważne: nic, lub praktycznie nic o Puszkinie, Lermontowie i ogólnie literaturze, nic o słowianofilstwie, którego kilka idei zamieszcza nie rozumiejąc jednak siły tego prądu ani ogromu jego celów, nic o głębi uczuć religijnych, mistycyzmie i wierze.

Mimo tego wszystkiego jest faktem, że "Rosja w 1839" nie jest dziś tylko dokumentem dla historyków. Pozostaje ona niezmiennie nadzwyczajną i aktualną w swej treści. Rzecz w tym, że - jak słusznie powiedział George Kennan - jeżeli to nie jest bardzo dobra książka o Rosji w 1839, to na pewno jest książką doskonałą, bez wątpienia najlepszą ze wszystkich na temat Rosji Stalina i jeszcze całkiem niezłą o Rosji Breżniewa i Kosygińa. Można ją czytać tylko oczyma dzisiejszego człowieka. Wtedy zaś na wszystkich stronach roi się od sformułowań, które - dyskusyjne w swoim czasie - wydają się krzycząco prawdziwe, gdy czyta się je z naszą wiedzą o stalinowskim reżimie. Zjawisko to o tyle zastanawiające, że nie ma żadnej wspólnej miary między tymi dwoma systemami i że budowa Petersburga czy Twierdzy Pietropawłowskiej wygładają na dziedciną zabawę wobec "socjalistycznego budownictwa" i archipelagu Gułag, nawet jeżeli wydaje się istnieć równowaga między rusyfikacją Polski i normalizowaniem Czechosłowacji. Mieważe. Jest tu opis, podano przyczyny i to z dodatkami odpowiednio wzniosłych tonów i głębokiego, pełnego oburzenia westchnienia. Przecieramy ze zdumienia oczy: markiz, który właśnie oderwał się od spódnicy Delfiny, wyprzedził zda się o wiek krytykę bolszewizmu i mówi to, lub prawie to, co należało powiedzieć przed Sworynem i Trockim, przed "Zero i Nieskończonością", przed dzisiejszymi kontestatorami samizdatu. Znajduję je się w jego listach liczne fragmenty przywodzące na myśl Andrieja Amalrika i Marcentkę, Eugenję Ginsburg i Nadieżdę Mandelsztam. Tu kryje się tajemnica: jak koszmarny z roku 1839 stał się rzeczywistością w 1939 r. i prawie rzeczywistością dzisiaj? Oto pytanie, które obsesyjnie zadaje nam ta książka. Prawdziwe podobieństwo między dwoma epokami? Zniekształcające lustro retrospekcji?

Z trzech sił mających aż do 1917 roku dzielić się wpływem na rosyjską historię, to jest: reakcji, liberalizmu i rewolucji, Custine zaatakował frontalnie tylko jedną - tę pierwszą. Moment podróży sprzyjał wyraźnemu widzeniu reakcji. Był to jeden z najciemniejszych okresów panowania Mikołaja I: cztery spiski w ciągu zimy, szeroki zasięg kon-

spiracji w armii oraz wielki i straszny bunt chłopski w Symbirsku. Dostrzegł w oddali ewentualność pojawienia się trzeciej siły - rewolucji - nie w postaci wystąpienia mas, ale jako logiczny punkt eksplozji niemożliwego systemu i alternatywy imperializmu: "Albo świat cywilizowany znajdzie się znowu w ciągu 50 lat pod jarzmem barbarzyństwa, albo Rosja przejdzie przez rewolucję straszniejszą niż ta, której skutki zachód Jeszcze odczuwa". Nie podejrzewał jednak nawet rozwoju liberalizmu w styku zachodnim mającym się objawić w aggiornamento władzy za Aleksandra II, po-tem zaś w opozycji kadeckiej, by zająć scenę w latach 1905-1914. Gdyby nie zatriumfowała Rewolucja, świadectwo Custine'a byłoby tylko ostatnim wykazem nieco smutnych i nostalgicznych archaizmów o Rosji, która właśnie znikła.

Revolucja jednak miała miejsce i to tłumaczy powrót do życia wszystkich tych archaizmów. Nie dlatego, by ukazać niemożliwą do wykorzenienia się specyficzną rosyjską tradycję, jak chcieli to widzieć zawnadrawszy Custine krytycy czasów zimnej wojny. Proces jest inny. Widoczne podobieństwo caryzmu w opisie Custine'a i stalinizmu wyraża w istocie dwójaki ruch wewnętrzny tego społeczeństwa. Sfera państwa i władzy tak cudownie się w Rosji rewolucyjnej rozrosła, że zagarnęła i zaczęła kontrolować wszystko, wysuszając wszelkie żywotne źródła narodowej kultury i rosyjskiego życia. Religia, chłopskie, twórczość artystyczna i wszystkie spontaniczne formy socjalnej ekspresji przeżyły jako skarlałe, gnijące odpadki wienców ofiar składanych na ołtarzu władzy. Państwo stalinowskie wygląda jak do-konane na oibryzmią skałę wywołanie przeszłości: od bizantyjskiego rytualizmu po petersburski imperializm, po drodze przechodząc przez mongolskie okrucieństwo, Wielkie Księstwo Moskiewskie, krwiożerzce szaleństwo Iwana Groźnego i modernizacyjną woluntaryzm Piotra Wielkiego. Hipertrofia tendencji do powtórzeń z jednej i hamująca rozwój anemii z drugiej strony. Tak więc, ponieważ Custine nie znał rosyjskiego życia - jego słowianofilscy krytycy dość mu to wypominali, szczególnie Koniakow i Dostojewski - a za to wyobryzmił w swej wizji aparat państwowy, dokonał tym samym podwójnej deformacji. "Pełen blasku powrót wszelkich postaci władzy i kruche trwanie w zmumifikowanej formie całej reszty - jakś świetnie wyraził się Alain Besançon - sprzyja złudzeniu współczesnej optyki nakazującej stawiać "Rosję roku 1839" w jednym szeregu z tą obecną. To właśnie przez przesadność swej szarzy i przez "martwe kąty" swego ostrzału Custine okazał się prawdziwym w stułeciu później. Nie historyczna trwałość czy wieczna Rosja, ale pośmiertny triumf karykatury".

Triumf ten nie jest przypadkowy. Przecież to właśnie Rosja, a nie żaden inny kraj, który odwiedził, kryła rzeczywistość wulkaniczne potęgi, które historia przemieniła potem w tragiczną rzeczywistość. Wyczuł to latem 1839 r. "w zapachu kwaszonej kapusty i starych, natłuszczonych skór". Trzeba było do tego geniuszu Goyi, mobilizacji całego ducha i wszystkich zmysłów. Żeby dzieło to ujrzało światło dzienne, trzeba było - prócz tego wszystkiego - odwagi, by powiedzieć prawdę, by stawić na nowo czoła wrogości i potępieniu. Wiedział o tym wszystkim: "Wahałem się trzy lata nad opublikowaniem mego opisu podróży... Gdybym nie pogodził się z ich niesprawiedliwością /wrogość mu części opinii publicznej - przyp. tłum./, nie wydałbym tych listów. Straciłem na ich wydaniu, ale wzięto to od wyrzutów sumienia..." Tu właśnie Custine jest wielki. Zna wartość wzniesionych zdrad. Jest pierwszym, który powiedział nam, że dobry dziennikarz to taki, co zdradza tajemnice, nawet jeżeli sam za to zapłaci. Do ilu z dzisiejszych reporterów i korespondentów zagranicznych odnosi się ta lekcja? Uczciwy reporter to taki, który nie pozwala nam powrócić na miejsce zbrodni. Na całym świecie bowiem są kłamstwa do ujawnienia, historyczna prawda wymagająca obnażenia. "Rosją roku 1839" Custine napisał na własny sposób swą "Podróż do kresu nocy". Jemu również tego nie wybaczone. Baron de Charlus skończył jako Sołżenicyn. Prawda - co dobrze wiadomo - może wyjść tylko z ust pariasa.

PIERRE NORA

/tłumaczenie - PP/

/redakcja zrezygnowała w tłumaczeniu z przytaczania przypisów bibliograficznych/

ASTOLF DE CUSTINE

WNIOSKI Z OPISU PODRÓŻY

"Wnioski z opisu podróży" są końcowym fragmentem głośnej książki markiza de Custine "Listy z Rosji 1839".

W Rosji, wszystko co uderza wasz wzrok, wszystko co dzieje się wokół was, jest przerażająco konformistyczne, toteż pierwszą myślą podróżnika rozmyślającego nad ową regularnością jest, że ta zupełna jednorodność, ta jakby poprawność, tak sprzeczna ze skłonnościami naturalnymi człowieka, nie mogła powstać i nie może istnieć bez przemocy. Wyobraźnia jak ptak rozpościerający skrzydła w klatce, błaga o trochę odmiany... na próżno. W takim reżymie człowiek może wiedzieć i wie, co będzie oglądać i czynić od pierwszego dnia swego życia aż po dzień ostatni. Ta tak groźna tyrania w języku oficjalnym nazywa siebie szacunkiem dla jednolitości, umiłowaniem porządku. Lecz ten cierpki owoc despotyzmu wydaje się umyślnie metodycznym na tyle wspaniały, iż powiadają, że nie ma dnia zbyt wysokiej ceny.

We Francji zdawało mi się, że zgadzam się z tymi okrutnymi poglądami. Od kiedym jednak pobyt w okropnej dyscyplinie poddającej ludność całego imperium regułom wojskowym - wyznają - jeszcze więcej polubił tę trochę nieład, zawsze zwiastuna siły, miast doskonałego porządku osiągniętego za cenę życia.

W Rosji rząd panuje nad wszystkim, a niczego nie ożywia. W tym olbrzymim imperium naród, jeśli nie jest niemy, jest jednak cichy. Śmierć unosi się tam nad wszystkimi głowami, a jej ciosy są kapryśne. Każę to wątpić w najwyższą sprawiedliwość. Tam człowiek ma dwie trumny: kołyskę i grób. Tam matki powinny opłakiwać bardziej narodziny jak śmierć swych dzieci. Nie przypuszczam, aby samobójstwo było w tym kraju czymś pospolitym. Cierpi się tam zbyt wiele, aby zadawać sobie śmierć. Niezwykła to skłonność człowieka! Gdy terror kieruje jego życiem, nie szuka on śmierci - wie już czym ona jest.

Zresztą liczba ludzi kończących samobójstwem w Rosji, obojętnie jak bytaby wielka, nie będzie znana nikomu. Znajomość liczb jest przywilejem rosyjskiej policji. Nie wiem, czy docierają one nawet do samego cesarza. Wiem natomiast, że pod jego panowaniem żadne nieszczęście nie jest publikowane bez jego zgody, tego poniżającego świadectwa wyższości Opatrzności. Pycha despotyzmu jest tak wielka, że rywalizuje z potęgą Boga.

/.../ Kochajcie więc prawdę, broncie jej w kraju gdzie bałwochwalstwo jest zasadą konstytucyjną! Człowiek, który wszystko może, to kłamstwo w koronie.

Pojmujecie chyba, że nie interesuje mnie w tym momencie cesarz Mikołaj, lecz cesarz - Rosji. Mówi się dużo o zwyczajach, które ograniczają jego władzę. Mnie uderzało jej nadużywanie...

W oczach prawdziwego męża stanu i wszystkich umyśłów doświadczonych same prawa - przyznają - mają mniejsze znaczenie, niż sądzą nasi zajadli rezerzy, nasi filozofowie zajmujący się polityką, ponieważ koniec końców to sposób ich stosowania decyduje o życiu ludów. Tak, ale życie Rosjan jest smutniejsze od życia wszystkich innych ludów Europy. A gdy mówię lud, to mam na myśli nie tylko chłopów przywiązanych na stałe do ziemi,

lecz wszystkich ludzi wchodzących w skład cesarstwa.

Rząd, zwany silnym, wymuszający posłuch przy każdej okazji musi nieuchronnie czynić ludzi nieszczęśliwymi. W społeczeństwach wszystko może służyć despotyzmowi, niezależnie od tego jakiej się pozwoli zapanować fikcji - monarchicznej czy demokratycznej.
 /.../ W tym kraju, odmiennym od wszystkich innych, sama przyroda stała się jakby współwinną losu człowieka, który zabił wolność, aby ubóstwić jednolitość. Jest ona wszędzie jednakowa: dwa gatunki rachitycznych drzew, brzoza i sosna, rozrzucone w bezmiarze równin błotnistych lub piaszczystych - oto cała roślinność Rosji północnej, tzn. okolic Petersburga i prowincji sąsiednich, obejmujących ogromny obszar tego kraju.

Gdzie w tym klimacie znaleźć schronienie przed trudnościami jakie napotyka społeczeństwo, skoro wsią można się cieszyć tylko przez trzy miesiące w roku? I to jaką wsią! Dodajmy, że podczas sześciu najbardziej srogich miesięcy zimowych, nikt się nie waży korzystać z wolnego powietrza, najwyżej dwie godziny dziennie, chyba że jest się rosyjskim chłopem. Oto co Bóg dał człowiekowi w tych okolicach.

Zobaczmy, co człowiek zdziałał dla siebie samego. Jednym z cudów świata jest niezależnie Sankt Petersburg, Moskwa jest także bardzo malowniczym miastem, ale co można rzec o wyglądzie prowincji?

/.../ Brak duszy przejawia się we wszystkich rzeczach. Na każdym kroku czujecie, że jesteście wśród ludu pozbawionego niezależności. W odstepie dwudziestu do trzydziestu mil na wszystkich drogach oczekuje was miasto, zawsze takie samo. Tyrania jest wynalazczą, ale tylko w środkach ją umacniających.

/.../ Drobniagowy reżym pułkowy - oto forma kształtująca to społeczeństwo.

/.../ Wahał się od czterech wieków między Europą i Azją, Rosja nie potrafiła jeszcze, poprzez swe formy przestrzenne, wyrycić piętna w historii ducha ludzkiego; jej narodowy charakter - zaćmiły naśladownictwa. Oddzielona od Zachodu przez swój akces do schizmy greckiej Rosja, po wielu wiekach, z niekonsekwencją zawiedzionej miłości własnej, zwraca się do narodów uformowanych przez katolicyzm z żądaniem cywilizacji, której pozbawiła ją religia katolickie upoliityczniona. Ta wywodząca się z bizantyjskiego pafuca religia nie odpowiada bowiem najniższemu potrzebom duszy ludzkiej: utrzymuje porządek obozowy, wspomaga policję w oszukiwaniu narodu - to wszystko. Ona zawczasu uczyniła ten lud niegodnym tego stopnia kultury, którego pragnie: pasterze-niewolnicy mogą przewodzić tylko umysłem bezpłodnym. Pop potrafi wyuczyć narody jedynie korzenia się przed siłą.

Niezależność kościoła jest niezbędna w momencie, gdy soki religijnego życia zaczynają pulsować, bowiem rozwój najszlachetniejszej zdolności ludów - zdolności wierzenia zależy od godności kapłana.

Tłum posłucha zawsze, da się zawsze prowadzić przez ludzi: niech to będą duchowni, doktrynerzy, uczeni, poeci, tyrani - nieważne kto. Umysł ludu jest w rękach jego przywódców, obojętnie kim by oni nie byli. Wolność religijna dla mas jest więc mrzonką. Ale to co decyduje o losie dusz, to wolność człowieka pełniącego wobec nich obowiązki kapłańskie. Otóż nie ma na świecie wolnego duchownego poza duchownym katolickim. Każdy duchowny zbuntowany przeciw swemu duchowemu przywódcy traci swoją siłę. Toteż pierwszą karą za herezję jest upokorzenie przewodnika kultu. Oto dlaczego we wszystkich krajach schizmatycznych widzi się, mimo protekcji królów, a raczej z powodu tej protekcji, pogardę ludu dla duchownych. Protekcja ta bowiem czyni ich zależnymi od Księcia, nawet w tym co się tyczy działalności duchowej.

Ludy znające wartość wolności, nigdy nie będą służyć słuchać z głębi serca kapłana zależnego od władzy świeckiej. Czegoż innego można oczekiwać od służącego duchowego jeśli nie przyuczania swych owieczek do gzinania karku pod jarzmem.

Nie pytajcie więc mnie skąd się to bierze, że Rosjanie niczego nowego nie znajdują, i dlaczego Rosjanie umieją tylko kopiować bez ulepszeń...

Na Zachodzie, gdy potomkowie barbarzyńców studiowali starożytnych z uwielbieniem graniczącym z bałwochwalstwem, dokonywali zmian, by ich sobie przyswoić. Któż rozpozna w Dantem - Vergilia? W Tassie - Homera? W kodeksie feudalnym - Justyniana i prawo rzymskie? Wzorowanie się na mistrzach całkiem nowocześnie obyczajom potrafiło kształtować umysły rozwijające język, nie potrafiło ich ograniczyć do jałowego naśladow-

nictwa. Namiętny podziw, który głosili dla przeszłości, nie tłumił ich ducha, przeciwnie, pobudzał go. Ale Rosjanie nie w ten sposób posłużyli się nami.

/.../ Rosja, ona to, spóźniona cywilizacyjnie, jest z powodu niecierpliwości swych przywódców pozbawiona głębokiej fermentacji i błogostawieństwa powolnego i naturalnego rozwoju. Zabrakło w Rosji pracy wewnętrznej, która kształtuje wielkie ludy i przygotowuje na naród do przewodzenia, tzn. przyświecania innym.

/.../ Naród rosyjski nie przestanie nigdy odczuwać braku własnego życia, tego braku, który naznaczył go już cierpieniem w epoce jego przebudzenia politycznego.

Młodość, ten wiek mozolny, gdy umysł ludzki podejmuje całkowitą odpowiedzialność w za mian za zdobytą niezależność, był mu nie znany. Jego książęta - a zwłaszcza Piotr Wielki - lekceważąc potrzebę czasu, przeprowadzili go gwałtem z dzieciństwa w wiek męski. Rosjanom, gdy tylko wyrwali się spod jarzma cudzoziemskiego, wszystko, co nie było dominacją Mongołów, wydawało się woinością. Tak to w swym radosnym braku doświadczenia przyjęli jako wyzwolenie niewolę własną, bo narzuconą mu przez swych prawowitych władców. Ten lud upodiony przez podbój poczuł się już dostatecznie szczęśliwy, już dostatecznie niezależny, gdy tylko jego tyran zaczął nosić miast imienia tatarskiego imię rosyjskie.

Skutki tego złudzenia trwają niezmiennie. Autentyczność opuściła tę ziemię, której dzieci zżamane niewolą poważają po dziś dzień tylko terror i pochyłość.

/.../ Niegdyś cechowało Rosjan z południa pewne wyrafinowanie smaku. W tej części cesarstwa słowiańskiego, nawet w ciągu najbardziej barbarzyńskich wieków, panowało umiowanie sztuk dzięki kontaktom utrzymywanym ze światem starożytnym oraz, poprzez władców Kijowa, z Konstantynopolem. Przechowano świadomość wielkości, trwała też pewna zręczność wśród artystów i robotników. Ale te zalety, owoc odległych związków z ludami zaawansowanymi w cywilizacji odziedziczonej po starożytnych, zostały utracone w chwili najazdu Mongołów.

Katakлизм ten, rzec można, spowodował, że pierwotna Rosja zapomniała swojej historii. Zniewolenie upadła, wyklucza prawdziwą ogładę. Ta ostatnia nie ma w sobie nic szłałczego wyraża bowiem uczucia najbardziej wzniosłe i najbardziej subtelne. Dopiero wtedy, gdy ogłada staje się swego rodzaju obiegową monetą wśród całego społeczeństwa, można twierdzić, że jest to społeczeństwo cywilizowane. Wtedy, dzięki rodzinnej edukacji, pierwotna gburwołność, brutalny egoizm natury ludzkiej ulega stopniowemu zacierananiu. Gdzie się ona nie pojawia, gdzie od zarania życia nie skłania się jej do poniechania swych okrutnych skłonności, istota ludzka nie zna litości i nigdy nie nabierze cech prawdziwej ogłady. Ogłada jest tylko kodeksem litości stosowanym przez społeczeństwo w jego stonkach na codzień. Ten kodeks wykształca się zwłaszcza w współczuciu dla cierpienia urażonej ambicji. Jest to lekarstwo przeciw egoizmowi najpowszechniejsze, najskuteczniejsze, najpraktyczniejsze jakie znaleziono dotychczas.

Cokolwiek by się rzekło, wszystkie te subtelności, wynik naturalnego działania czasu, są nieziane współczesnym Rosjanom; dużo lepiej pamiętają oni Seraj niż Bizancjum.

/.../ To Piotr Wielki, z całą lekkomyślnością nieokrzesanego talentu, z całą zachwytowścią człowieka przeświadczonego o swej wszechmocy, z żelaznym uporem zaczął pośpiesznie, bez ładu i składu, podkradać Europie owoce cywilizacji, miast godzić się na powolne rzucanie jej ziaren we własną głęb. Tylko sztucznego dzieła dokonał ten wychwiałany przez wszystkich człowiek. Zdziwiające! Dobro, które ten dziki talent wprowadził, okazało się przemijające, zło - nie do naprawienia.

/.../ Należałoby się zatrzymać i zacząć od nowa. Czy taki wysiłek jest możliwy? Czy można rozpocząć ponownie, od fundamentów, tak wielką budowę? Zbyt świeża cywilizacja imperium rosyjskiego, z całą swoją sztucznością, wytorzysta już konkretne rezultaty, których żadna potęga ludzka nie potrafi unicestwić. Chcieć kierować przyszłością ludu, mając za nic teraźniejszość, jest przedsięwzięciem chimerycznym. Zaś teraźniejszość oderwana gwałtem od przeszłości, rokuje jedynie nieszczęścia. Uchronić Rosję przed nimi to zmusić ją do tego, aby zdała sobie sprawę ze swej nacechowanej prymitywizmem historii - oto niewdzięczne lecz bezwzględnie konieczne zadanie, które obecnie stoi przed ludźmi powołanymi do rządzenia tym krajem.

Utalentowany cesarz Mikołaj, w najwyższym stopniu praktyczny i całkowicie narodowy, zrozumiał ten problem. Czy potrafi go rozwiązać? Wątpię. Pozostawia on za mało swobody,

zbyt bardzo ufa sobie, a zbyt mało innym, by mu się powiodło. Zresztą w Rosji najbardziej absolutna wola nie wystarczy, by czynić dobro.

Tutaj przyjaciele człowieka winni walczyć przeciw tyranii a nie przeciw tyranowi. Byłoby niesprawiedliwe winić cesarza za nieszczęścia cesarstwa i podłości rządu. Połoga człowieka nie sprostą zadaniu ciężącym na władcy, któryby raptem zechciał panować w sposób ludzki nad niehumanym ludem.

Trzeba pójść do Rosji, trzeba zobaczyć z bliska, co się tam dzieje, aby pojąć, jak wiele jest tego, czego nawet dokonać nie może człowiek wszechmocny, zwłaszcza gdyby pragnął czynić dobro.

Smutne efekty dzieła Piotra Wielkiego I jeszcze się wzmożyły pod wielkimi a raczej dużymi rządami kobiety, która tak rządziła tym narodem, aby ku swej uciechu zadziwiać Europę. Europę, zawsze Europę..., nigdy Rosję.

Piotr I i Katarzyna II dali światu wielką i użyteczną lekcję, za którą zapłaciła Rosja. Pokazali nam, że najgroźniejszy jest despotyzm pragnący czynić dobro, ponieważ mniema on wtedy, że słuszność jego intencji usprawiedliwia najbardziej oburzające czyny. Ale zło podawane w postaci lekarstwa nie zna granic.

Otwarta zbrodnia triumfuje tylko jeden dzień, fałszywe cnoty mącą na zawsze ducha narodów. Narody ośnżone błyskotliwością zbrodni, wielkością niektórych występków usprawiedliwianych sytuacją, wierzą w końcu, że są dwa rodzaje łotrówstwa, dwie moralności i że konieczność, racja stanu - jak mówiono niegdyś - usprawiedliwia przestępców wysokiego rodu, byleby tylko ich występki były zgodne z namyślnościami kraju.

Tyrania wyznana przeraża mnie mniej niż ucisk przebrany w miłość porządku. Siła despotyzmu tkwi tylko w masce despoty. Z chwilą, gdy władcę zmusi się, by przestał kłamać, naród stanie się wolny. Nie znam innego zła na tym świecie jak kłamstwo. Jeżeli boicie się tylko gwałtownego i otwartego despotyzmu, jedźcie do Rosji, tam nauczycie się bać nade wszystko obłudnej tyranii.

Nie mogę zaprzeczyć, że przywiózłem z mej podróży idee, obce mi w momencie wyjazdu. Za nic na świecie nie życzyłbym sobie trudu, który mnie ta podróż kosztowała. Jeżeli drukuję sprawozdanie z niej, to jedynie dlatego, ponieważ zmieniła ona moje poglądy pod kilku względami. Dawne poglądy były znane wszystkim, którzy mnie czytają. Rozczarowanie jest czymś nowym. Obowiązkiem moim jest je opublikować.

.../ Podtrzymałoby mnie w tym nowym postanowieniu wzrastające stale rozczarowanie. Oczyniście, przyczyna zawodu musi być głęboka i żywa, żeby podczas najbardziej nawet wspaniałych uroczystości i mimo ośniewającej gościnności Rosjan, zaczynało mnie ogarniać rosnące obrzydzenie. Od pierwszego spojrzenia spostrzegłem, że w okazywanym zainteresowaniu, którego wam nie szczędzą, jest więcej chęci, aby uchodzić za uprzejmych, niż prawdziwej serdeczności... Zagarniają wam wszystkie chwile, zabawiają, zajmują, tyrannizują swą gorliwością, dowiadują się jak zamierzacie spędzić swój czas, wypytyują was z naleganiem im tylko właściwym i poprzez nieustanne uroczystości przeszkadzają zwiedzać ich kraj. Wymyśliłi oni francuskie słowo na wyrażenie tej zniewalającej taktyki: nazywają ją uwodzeniem cudzoziemców /enguirlander/. Na nieszczęście dla nich, te nad skakujące zabiegi natrafiły na człowieka, którego uroczystości zawsze więcej męczyły, niż bawiły. Ale gdy się spostrzegą, że ich bezpośrednie działanie na umysł cudzoziemca zawiodło, uciekają się do określonych sposobów, aby zdyskredytować wobec świadomych odbiorców to co opowiadali poprzednio - zwodzą ich z cudowną zręcznością. W ten sposób, celem pokazania rzeczy w fałszywym świetle, kłamią w ztem jak uprzednio w dobrym, póki wierzą, że mogą liczyć na pocztową łagodność. Częstookroć, podczas tej samej rozmowy, przytąpywałem jedną i tę samą osobę na dwu lub trzykrotnym zmienianiu taktyki wobec mnie. Nie udało się, abym zawsze potrafił dostrzec prawdę wbrew wysiłkom czynionym z taką zręcznością przez ludzi ukrywających ją zawodowo. Jednak to już wiele, gdy się wie, że je t się oszukiwamy. Nie widząc prawdy, widzę jednak, że ją skrywają przede mną, więc cłoc nadał nieświadomy, jestem już uzbrojony.

.../ Gdy się przygotowywałem do opuszczenia Petersburga, zapytał mnie pewien Rosjanin, odobnie zresztą jak inni, on sądzę o jego kraju. "Zbyt dobrze byłem przyjmowany, by o tym mówić" - odparłem.

Ukuto broń przeciwko mnie z tego wyznania, w którym - zdawało mi się - ukryłem na polu grzeczny epigram. "Postępując tak, jak postępowano z panem - odpisał - jest oczy-

wistym, że nie będzie mógł pan powiedzieć prawdy. Otóż skoro potrafi pan pisać tylko prawdę, "zrobi pan lepiej milcząc". Taką jest opinia tych ludzi, których zwykłem wysłuchiwać. W każdym bądź razie nie jest ona pochlebna dla Rosjan.

/.../ Być może, właśnie prawda obraża tych, co tak ją odbierają. Ale tu przynajmniej, we Francji, nikt nie ma prawa ani siły, by zamknąć usta temu, kto ją głosi. Mój krzyk oburzenia nie może uchodzić za zamalowany wyraz zranionej dumy. Gdybym kierował się tylko ambicją, musiałbym twierdzić, że jestem wszystkim zachwycony. A jednak mego serca nic nie radowało.

Tym gorzej dla Rosjan, skoro wszystko, co się opowiada o ich kraju, przybiera postać osobistego przytyku. Jest to nieszczęściem nie do uniknięcia, bo - prawdę mówiąc - w Rosji fakty nie istnieją. Tworzy je i unicestwia samowola człowieka. To nie jest wina podróźnych.

Cesarz wydaje mi się mało skłonny, aby zrzec się częściowo swej władzy. Niech więc doświadcza ciężaru odpowiedzialności za swą wszechpotęgę. To pierwszy rodzaj pokuty za kłamstwo polityczne, uznając jednego człowieka absolutnym panem kraju, wszechpotężnym władcą myśli narodu.

/.../ Powiedzmy lepiej: "Nie ma narodu rosyjskiego..." Są cesarze, którzy mają niewolników i dworacy mający także niewolników. To wszystko nie jest narodem.

Klasa średnia, po dziś dzień nieliczna w stosunku do innych, składa się prawie wyłącznie z cudzoziemców. Zaczynają ją po trosze zasilać wzbogaceni i wyzwoleni chłopcy oraz niżsi urzędnicy, awansowani o kilka stopni. Przyszłość Rosji zależy od tych nowych, o tak różnym pochodzeniu mieszczan. Dziś nie stać ich zupełnie na zgodność poglądów. Tajne stowarzyszenia starają się ich jednoczyć.

/.../ W Rosji, jakkolwiek by rzeczy wyglądały, na dnie wszystkiego czai się gnąść i samowola. Tyrania zapewnia tam sobie spokój za pomocą terroru. Oto jedyny do dzisiaj rodzaj szczęścia, jaki rząd potrafił dostarczyć swym ludom.

A skoro przypadek uczynił mnie świadkiem niesłychanych krzywd doznawanych w systemie z gruntu zakłamanym, czyż obawa urażenia lub delikatność, mogą mi przeszkodzić w wypowiedzeniu tego co zobaczyłem? Cóż to! Pozwolono mi przeniknąć do więzienia, zrozumieć milczeniem przerażonych ofiar, i ja nie odważę się opowiadać o ich męce tylko z obawy, że będę oskarżony o niewdzięczność wobec dozorców, którzy pełniłi honory lochu? Daleko takiej roztropności do cnoty. Oświadczam więc wam, że po dokładnym rozejrzeniu się wokół siebie, by zobaczyć to, co przede mną ukrywano, by usłyszeć to, czego nie chciano mi powiedzieć, uważam, że nie przesadzam zapewniając was, że cesarstwo Rosji jest krajem, gdzie ludzie są najbardziej nieszczęśliwi na świecie; cierpią bowiem zarówno przez zło tkwiące w barbarzyńskim dziedzictwie jak i przez zło wpisane w pośpieszną cywilizację.

/.../ W kraju, w którym od kotylski zaprawia się umysły do obtudy i przebiegłości właściwej polityce wschodu, prostota charakteru musi być rzadsza niż gdziekolwiek indziej. Gdy się ją jednak tam napotka, ma wtedy niezwykły urok. Widziałem w Rosji kilku ludzi, którzy czerwienili się odczuwając ucisk srogięgo reżymu, pod którym są zmuszeni żyć, nie odważając się uskarżać. Ci ludzie są wolni tylko w obliczu nieprzyjaciela. Idą oni walczyć w głąbi Kaukazu, by odpcząć od jarzma, które im się narzuca w ich kraju. Smutek takiego życia piętnuje przedwcześnie ich czoła melancholią kontrastującą z ich naturą wojaków i z beztróską ich wieku. Pofatdowane mimo młodości czoła wyrażają głęboki smutek budzący litość. Ci młodzi ludzie zapożyczyli od Wschodu swoją powagę, a od Północy nieokreśloną i marzycielstwo. Są oni bardzo nieszczęśliwi i bardzo mili. Żaden mieszkaniec innych krajów nie jest im podobny.

Ponieważ Rosjan cechuje wdzięk, muszą więc mieć w sobie pewien rodzaj prostoty, której nie mogłem dostrzec. Prostota tego ludu jest nieuchwytna dla cudzoziemca, który przejeżdża przez kraj tak szybko, jak ja to robiłem w Rosji. Żaden charakter nie daje się tak trudno określić jak charakter tego ludu.

Bez średniowiecza, bez pamiętek antycznych, bez katolicyzmu, bez rycerstwa w przeszłości, bez szacunku dla danego słowa ²⁾, zawsze jak Grecy z epoki późnego cesarstwa rzym

x/ Wbrew temu, co powiedziałem, warto nadmienić, że to odnosi się tylko do mas kierowanych w Rosji jedynie strachem i siłą.

skiego, wzorcowo gładcy jak Chińczycy, ordynarni lub conajmniej niedelikatni jak Kałmacy, brudni jak Lapończycy, piękni jak anioły, niewykształceni jak dzikusy *lur* - łączam kobiety i niektórych dyplomatów/, przebiegli jak Żydzi, intrygancy jak wyznosięcy, stódcy i poważni w swym zachowaniu jak ludzie Wschodu. Okrutni w swych uszuciach jak barbarzyńcy, z rozpaczy sarkastyczni i bogardliwi, podwójni szydercy - z natury i z poczucia swej niższości, lekkomyślni, ale tylko z pozoru - Rosjanie w istocie nadają się do spraw poważnych. Wszyscy mają umysł zdalny do nabycia taktu niezmiernie ostrzoznego, ale żaden z nich nie jest dość wielkoduszny, by się wnieść ponad przebiegłość. Obrzydli mi oni z racji tej właściwości niezbędnej, by u nich żyć. Z ich ustawiczną czujnością wobec siebie samych wydają mi się ludźmi najbardziej godnymi współczucia na ziemi.

/.../ Ale mój Boże! Do czegoż może doprowadzić cały ten kierat? Jaki wystarczający motyw przypiszemy tak wielkiej mistyfikacji? Jakie zadanie, jaką rekompensata pozwala znosić tak długo na twarzach ludzkich brzemie maski?

Czy zmasowanie ognia tyłu baterii ma służyć li tylko ku obronie władzy rzeczywistej i prawowitej?... Taka władza nie potrzebuje tego. Prawda sama się obroni. Czy celem jest ochrona nędznych interesów dyktowanych pychą? Może. A jednak, podejmowanie takich starań dla osiągnięcia rezultatu tak nędznego, byłoby pracą niegodną ludzi poważnych, którzy ją sobie narzucili. Ja im przypisuję myśl bardziej głęboką. Jawi mi się cel większy, tłumaczący ich cudowne udawanie i cierpliwość w znoszeniu obelg i własnych nie-szczęść.

Nieokiełznana ambicja, ogromna, jedna z tych ambicji, które mogą zakiełkować tylko w duszach uciśnionych, żerująca na nieszczęściu całego narodu, fermentuje w sercu ludu rosyjskiego. W tym narodzie, w istocie zdobywczym i chciwym na skutek niedostatków, pokutuje zawczasu, z upadającą uległością, nadzieja sprawowania tyranii u innych. Stawa, bogactwo którego oczekuje, pozwala mu zapomnieć o hańbie, którą cierpi, i, by zmyć z siebie bezbożne wyrzeczenie się całej własności publicznej i osobistej, ten niewolnik na kłęczkach, marzy o panowaniu nad światem.

To nie człowieka wielbi się w cesarzu Nikołaju, lecz ambitnego władcę; władcę narodu ambitniejszego niż on. Namiętności Rosjan są skrojone na wzór ludów antycznych. W nich wszystko przypomina Stary Testament. Ich nadzieje, ich katusze są wielkie jak ich imperium.

To wszystko jest bezgraniczne: i boleść, i odpłata, i wyrzeczenie, i nadzieja. Ich pożoga może się stać ogromną, ale oni zapłacą za nią cenę, którą narody Azji płacą za trwałość swych rządów: za cenę szczęścia.

Rosja widzi w Europie swój łup, który będzie jej wydany wcześniej czy później z powodu naszej waśni. Podżega nas do anarchii w nadziei skorzystania z naszego zepsucia. Popiera je, ponieważ jest ono korzystne dla jej zamiarów. To historia Polski powtarzana na wielką skalę. Od wiełu lat Paryż czyta dzienniki wyrotowe, wszelkich orientacji, opłacane przez Rosję. "Europa, mówi Petersburg, wchodzi na drogę, którą poszła Polska. Stabnie ona przez próżny liberalizm, podczas gdy my pozostajemy potężni właśnie dlatego, że nie jesteśmy wolni. Czekajmy cierpliwie w jarzmie, inni zapłacą nam za naszą hańbę".

Plan, który wam wyjawiam tutaj, może wydać się urojony, dla oczu nieuważnych. Uzna go za prawdziwy każdy kto jest w tajemniczony w bieg spraw i w sekrety gabinetów Europy w ciągu ostatnich dwudziestu lat.

/.../ Pójmujecie teraz znaczenie opinii, sarkastycznego słowa, listu, drwiny, uśmiechu, a zwłaszcza książki dla tego rządu, który korzysta z łatwości swego ludu i z chęci przypodobania mu się wszystkich cudzoziemców?... Jedno słowo prawdy rzucone w Rosji to iskra padająca na beczkę prochu.

Cóż szkodzi ludziom kierującym Rosją ubóstwo, błądność żołnierzy cesarza? Te żywe wódki mają najpiękniejsze mundury w Europie. Cóż szkodzi, że te pożądane zjawy wewnątrz ich kwatery okrywa nędzna burka. Niech będą biedni i brudni, byle w ukryciu, byleby błyszczyli na zewnątrz: Niczego im się nie daje i niczego nie żąda. Udrapowana nędza: takim jest bogactwo Rosjan. Dla nich pozór jest wszystkim, a pozór u nich kłamie więcej niż w innych. Przeto ktokolwiek śmie unieść rąbek zastony, traci na zawsze dobre imię w Peters-

burgu.

Życie społeczne w tym kraju jest nieustanną konspiracją przeciw prawdzie.

Tu każdy, kto nie jest durniem, uchodzi za zdrajcę. Tu śmiech z samochodu, odpiernie kłamstwa, sprzeciw wobec chętności politycznej, niezgoda na postuszeństwo to zamach na bezpieczeństwo państwa i księcia, to narażanie się na los rewolucjonisty, konspiratora, wroga porządku, zbrodniarza stanu... Polska, a wiecie, jak ten los jest okrutny! Trzeba uznać, że drażliwość, która się ujawnia w ten sposób, jest bardziej groźna jak zabawna. Drobiazgowy nadzór takiego rządu w zgodzie z pionącą pychą takiego narodu stają się przerażające. To nie jest już śmieszne.

Należy i trzeba zmuszać się do zachowywania wszelkiej ostrożności, mając za pana kogoś, kto nie ufaskawi żadnego wroga, kto nie zlekceważy żadnego oporu, kto traktuje zemstę jako powinność. Dla niego przebaczenie - to apostazja, łagodność - to zaparcie się siebie, być ludzkim - to obrażać jego majestat - a co mówię? - jego boskość!... On nie jest władny zrezygnować z adoracji i okrucieństwie.

Cywilizacja rosyjska jest jeszcze tak bliska swego początku, że przypomina barbarzyństwo. Rosja jest tylko społeczeństwem zdobywców, jej siła nie w myśli, lecz w wojnie, to znaczy w chytrości i okrucieństwie.

./../ Weźcie to pod rozwagę, proszę was: jeżeli Rosjanie kiedykolwiek zapanują nad Zachodem, to nie będą nim rządzić ze swego terytorium, na wzór dawnych Mongołów. Wprost przeciwnie, nie będzie dla nich nic bardziej pilnego jak wyjść ze swych lodowatych równin. /Klimat państwa rosyjskiego przerażał nawet Mongołów/, Moskale ruszą masą ze swego kraju, gdy tylko drogi do innych krajów staną przed nimi otworem.

Dzisiaj mówią oni o umiarkowaniu, protestują przeciw podbojowi Konstantynopola, twierdzą, że boją się wszystkiego, co może powiększyć ich imperium, gdyż istniejące już odległości są kłeską. Obawiają się nawet - osądźcie dokąd sięga ich roztrpność - ciepłego klimatu!... Poczekaście nieco - zobaczycie, czym się skończą te wszystkie strachy.

I ja mam nie sygnalizować tylu kłamstw, tylu niebezpieczeństw, tylu kłesek? Nie! Nie! Wólc się mylić i mówić, niż mieć rację i milczeć. Jeżeli zułwałością jest mówić to, co zaobserwowałem, zbrodnią byłoby to ukrywać.

Na to wszystko Rosjanie nic mi nie odpowiedzą. Będą mówić: "Trzy miesiące podróżywna, on źle to widział".

To prawda, źle to widziałem, ale dobrze odgadłem.

Jeżeli jednak uczynią mi zaszczyt odpiierając zarzuty, będą zaprzeczać faktom. W Petersburgu jest w zwyczaju mieć je za nic. Tam przeszłość i przyszłość jak i terazniejszość wreszcie są w dyspozycji władcy, bo, powtarzam raz jeszcze, do Rosjan nic innego nie należy jak tylko postuszeństwo i naśladownictwo. Kierunek ich myśli, ich osąd, ich wolna wola należą do władcy. W Rosji historia jest domeną korony - to własność duchowa księcia, podobnie jak ludzie i ziemia są tam jego własnością materialną. Przechowuje się ją wśród innych ruchomości wraz ze skarbami cesarskimi i pokazuje z niej to tylko, co się chce. Pamięć tego, co się działo wczoraj, jest własnością cesarza. On samowolnie przeinacza annały i wypuszcza na użytek swego ludu każdego dnia te tylko prawdy historyczne, które pasują do aktualnej fikcji. Oto dłażcego Minin i Pożarski, bo haterowie zapomniani od dwóch wieków, zostali nagle ekshumowani i stali się modni w momencie inwazji Napoleona - w tym momencie bowiem rząd pozwolił na entuzjazm patriotyczny.

Jednakże ta nadzwyczajna władza szkodzi sobie samej. Rosja nie będzie się jej wiecznie poddawać - duch buntu tli się w armii. Powiadam tak jak ich cesarz: Rosjanie zbyt wiele podróżują. Urząd celny nie ma wpływu na umysły, armie nie wytepią myśli, szańce jej nie zatrzymują, ona przechodzi pod ziemią. Idee są w powietrzu, one są wszędzie. A idee zmieniają świat.

Z wszystkiego co się rzekło wynika, że przyszłość, ta przyszłość wymarzona przez Rosjan i tak błyskotliwa, nie należy do nich. Los tego nie mającego własnych poglądów ludu naśladowców wyznaczmy my. Jeżeli Zachód uspokoi swoje namiętności, jeżeli nastanie zgoda między rządzącymi i poddanymi, pożądliwe nadzieje zaborczych Słowian pozostaną urojeniem. To wszystko decyduje o niebezpieczeństwie mieszanania się ich do naszej polityki i do decyzji naszych sąsiadów.

Czyż nie teraz akurat trzeba wam powtorzyć, że mówię bez niechęci i zawziętości, że opisuję sprawę nie oskarżając nikogo i że usiłuję poinformować o nieuczynnościach wypływających z pewnych przerażających mnie faktów? Nie tyle oskarżam, co opowiadam.

/.../ Jako cudzoziemca, zwłaszcza cudzoziemca pisarza, gniebity mnie ocwody uprzejmości świadczane mi przez Rosjan. Jednakże ich grzeszność ograniczała się do obietnic, nikt nie ułatwiał mi zgłębienia prawdy. Umysł mój nadal otaczały nieprzeznaczone tajemnice.

Spędzić rok w tym kraju nie na wiecie by się zdało. Musiałem łąkać się niewygodnym spowodowanym zimą, tym bardziej, że mieszkańcy zapewniali, iż nie daje się ona zbytnio we znaki... Skądinąd ogarniał mnie coraz bardziej smutek w tym cesarstwie przenikliwej ciszy, wielkich pustych przestrzeni, nagich równin, samotnych miast, czujnych, a niezbyt szczerym wyrazie twarzy powodujących, że odczuwa się pustkę nawet w otoczeniu ludzi. Unikać zarówno spłinu jak i zima. Nie na próżno mówi się, że ktokolwiek chce spędzić zimę w Petersburgu, powinien przez sześć miesięcy zapomnieć o naturze, a żyć więziony między ludźmi, którym brak naturalności.

Wyznaję szczerze, spędziłem okropne lato między Petersburgiem i Moskwą, bo mogłem zrozumieć należycie tylko bardzo małą część z tego, co zobaczyłem. Miałem nadzieję docierać do sedna spraw, a tymczasem przedkładałem wam problemy.

Tajemnica, której broku rozwiązania najbardziej żałuję, to tajemnica niewielkiego wpływu religii na życie w Rosji. Dłaczę, mimo politycznego ujarzemia, kościół grecki nie potrafi zachować nad ludem choć trochę autorytetu moralnego? Nie ma żadnego. Co decyduje o nicości kościoła, którego wszystko wydaje się wspierać w jego dziele? Oto zagadka. Czy właściwością religii greckiej jest jej stacjonarność i zadawanie się zewnętrznymi oznakami szacunku? Czy jest to nieuknione tam, gdzie władza duchowna popada w absolutną zależność od doczesnej? Tak właśnie sędzę, ale cnciałbym moc tego dowiedzieć na podstawie dokumentów i faktów. Streszczę jednak w paru słowach ostatni wynik obserwacji, których dokonałem na temat stosunków rosyjskiego kleru z wiernymi.

Widziałem w Rosji kościół chrześcijański nie atakowany przez nikogo, szanowany przez wszystkich, przynajmniej z pozorów. Kościół wspierany w wykonywaniu swej moralnej misji, a jednak nie posiadający żadnego autorytetu, żadnej władzy nad umysłami. Kościół umiejający tylko szerzyć hipokryzję i zabobony.

W krajach, gdzie nie szanuje się religii - nie przypisuje się jej żadnej odpowiedzialności.

Ale tu, gdzie cały prestiż absolutnej władzy wspiera księdza w pełnieniu jego dzieła, gdzie doktryny nie atakuje się ani w pismach, ani w przemówieniach, gdzie praktyki religijne uchodzą, rzec można, za prawo państwowe, gdzie zwyczajnie wspierają wiarę - tak jak u nas przeciwstawiają się jej - jest się w prawie wyrzucać kościołowi jego bezpłodność. Kościół ten jest martwy, a jednak, sądząc po tym, co się dzieje w Polsce, potrafi stać się prześladowcą, mimo że nie posiada ni wielkich cnót, ni dość wielkich talentów, by podbijać myślą. Jednym słowem brak rosyjskiemu kościołowi tego, czego brak w zystkim w tym kraju: wolności, bez której żywotność zanika, a światło gaśnie.

Zachodnia Europa nie wie, jak nietolerancja religijna przenika do polityki rosyjskiej Obrządek grecko-katolicki został niedawno skasowany w następstwie długich i bezdusznych prześladowań. Czy katolicka Europa wie, że nie ma już unitów wśród Rosjan? Czy zaślepiona blaskiem swej filozofii wie chociażby, co to takiego unity?

Oto fakt, który wam dowiedzie, na jakie niebezpieczeństwo naraża się w Rosji ktoś, kto mówi, co myśli o religii greckiej, o jej znikomym wpływie moralnym.

Kilka lat temu pewien człowiek szerokiego umysłu, dobrze widziany w środowisku moskiewskim, szlachetny z urodzenia i charakteru, ale na nieszczęście dla siebie ogarnięty miłością prawdy, co jest niebezpieczną namiętnością wszędzie, a śmiertelną w tym kraju, osmieleł się wydrukować słowa mówiące, że religia katolicka bardziej sprzyja rozwojowi umysłów i sztuk pięknych niż religia bizantyjsko-rosyjska. Myślał o powyższym to samo, co ja i osmieleł się to powiedzieć - niewybaczalna zbrodnia dla Rosjanina. Życie księdza katolickiego, powiedział w swej książce, całe życie nadprzyrodzone lub które przynajmniej powinno być takim, jest dobrowolnym i codziennym wyrzeczeniem się pospolitych skłonności natury. To aktywny i stale ponawiany wobec niewierzącego świata dowód wyższości

ducha nad materią. Jest to wyrzeczenie ponawiane każdego dnia na ołtarzu wiary, aby dowieść najbardziej niegodnym, że człowiek nie jest całkowicie w mocy siły fizycznej i że może otrzymywać od siły wyższej sposób na ucieczkę od praw świata materialnego. Potem dodał: "Dzięki reformom dokonywanym przez wieki religia katolicka nie może już wykorzystywać swych sił potencjalnych jak tylko czyniąc dobrze". Jednym słowem twierdził że w spełnieniu wielkich przeznaczeń rasy słowiańskiej brakuje jej katolicyzmu, ponieważ tylko w nim znaleźć można jednocześnie wzniosły entuzjazm, stale odradzającą się ofiarność, doskonałe miłosierdzie i bezbłędne rozeznanie rzeczy. Swoją opinię uzasadniał wielką liczbą dowodów i starał się wykazać przewagę religii niezależnej, to jest uniwersalnej, nad religiami lokalnymi, to jest ograniczonymi przez politykę. Jednym słowem głosił pogląd, którego stale bronię ze wszystkich sił.

Posunął się on aż do wtykania w charakterze kobiet rosyjskich wad, o które wini religię prawosławną. Utrzymuje, że jeżeli kobiety są lekkomyślne, jeżeli nie potrafią zachować w rodzinie autorytetu, który im się należy jako małżonkom i matkom, wynika to zaś z tego, że nigdy nie otrzymały wychowania prawdziwie religijnego. Książka jego, która, nie wiem jakim cudem i przez jaki wybieg, uniknęła cenzury, rozpałała całą Rosję. Petersburg i święta Moskwa podniosły krzyk wściekłości i alamu. Wreszcie sumienie wiernych wzburzyło się do tego stopnia, że od końca do końca imperium zaczęto żądać kary na nieroztropnego obrońcę matki kościołów chrześcijańskich. W końcu nie starczyłoby knutów, Syberii, gater, kopalń, twierdz, samotni we wszystkich Rosjach, aby umocnić Moskwę i jej bizantyjską ortodoksję przeciw pysze Rzymu, serwowanej w bezbożnej doktrynie człowieka - zdrajcy Boga i swego kraju.

Z niepokojem oczekuje się na wyrok, który ma zdecydować o losie tak wielkiego zbrodniarza. Ogłoszenie decyzji opóźnia się. Już zaczyna się wątpić w najwyższą sprawiedliwość, gdy wreszcie cesarz, w swym niewzruszonym miłosierdziu, oświadcza, że nie ma wcale podstaw do ukarania, ponieważ nie istnieje zbrodniarz godzien kary. Jest tylko wariat, którego trzeba zamknąć. Dodaje on, że chory zostanie poddany pieczy lekarskiej.

Tę nowego rodzaju torturę zastosowano bezzwłocznie, ale w sposób tak okrutny, że fałszywy wariat osądził słusznym śmieszny wyrok absolutnego władcy kościoła i państwa. Męczennik prawdy stracił prawie rozum, którego mu odmawiano decyzją odgórną. Dzisiaj, po trzech latach leczenia ściśle przestrzeganego, leczenia tyle upadającego co okrutnego, nieszczęsny teolog-arystokrata, zaczyna dopiero korzystać z odrobiny wolności. Aie - i to może wydać się cudem - teraz zaczyna on wątpić w swój własny rozum i, wierząc słowu cesarskiemu, sam się uważa za głupca!...

.../ Jest to całkiem świeży przykład sposobu, w jaki traktuje się dzisiaj sprawy sumienia w Rosji. Pytam was po raz ostatni: czy podróżnik dostatecznie nieszczęśliwy lub dostatecznie szczęśliwy, by móc zebrać tego rodzaju fakty, ma prawo je zignorować? W tego rodzaju sprawach to, co wie się na pewno, objaśnia to, co jest tylko przypuszczeniem, a w konsekwencji powstaje przeświadczenie, że jest waszym obowiązkiem podzielić się tym ze światem, jeżeli tylko zdołacie.

Mówiłem o tym bez osobistej nienawiści, ale i bez obawy i zastrzeżeń, bo lekceważyłem nawet niebezpieczeństwo znudzenia was.

.../ Trzeba było żyć w tej bezustannej samotności, w tym więzieniu bez chwili wytchnienia, które zwie się Rosją, żeby odczuć całą wolność, którą się cieszą ludzie w innych krajach Europy, niezależnie od formy przyjętych przez nie rządów.

.../ Gdy wasz syn będzie niezadowolony we Francji, postużcie się moją receptą. Powiedźcie mu: "Jedź do Rosji". Będzie to podróż pożyteczna dla każdego cudzoziemca. Ktokolwiek przyjrzy się dobrze temu krajowi, będzie mieć powód do zadowolenia, że żyje gdziekolwiek indziej. Dobrze jest zawsze wiedzieć, że istnieje społeczeństwo, gdzie żadne szczęście nie jest możliwe, jako że z natury rzeczy człowiek nie może być szczęśliwy bez wolności.

Astolf de Custine

TRZY WYSTĄPIENIA

GRUPY PUBLICYSTÓW POLITYCZNYCH

W drugim numerze "PP" opublikowaliśmy artykuł Jana Wolnego, uczestnika ruchu "Wolność - Sprawiedliwość - Niepodległość", zatytułowany "Krajobraz niewyraźny", będący pierwszym z cyklu prezentacji programów i ocen aktualnej sytuacji politycznej w naszym kraju. Wystąpienia Grupy Publicystów Politycznych są kontynuacją tego cyklu. Autorzy przekazywali swe teksty do wiadomości redakcji "Tygodnika Powszechnego". Teksty zamieszczane w tej serii wyrażają poglądy swych autorów.

Wiązane

Redakcja "PP"

WYSTĄPIENIE PIERWSZE

Polska znalazła się w sytuacji tragicznej.

Gospodarka nasza wypadła z nurtu rozwoju technologicznego. W wielu dziedzinach, zasadniczych dla normalnego funkcjonowania społeczeństwa, cofnęliśmy się do ery przedindustrialnej. Wskutek rozpadu infrastruktury gospodarczej, komunalnej, medycznej, oświatowej, grozi nam zapaść cywilizacyjna. W porównaniu z narodami rozwijającymi się w normalnym rytmie Polacy żyją już nie tylko gdzie indziej, ale kiedyś i gdzie.

Na arenie międzynarodowej staliśmy się przedpołem wielkiego imperium. Coraz głębiej zapadamy w peryferyjność. Wskutek wojny propagandowej, wydanej mocarstwom przodującym gospodarczo i technologicznie, oraz sankcji ekonomicznych zostaliśmy odcięci od możliwości, jakie daje pełnoprawny udział w międzynarodowym podziale gospodarczym. Utraciliśmy jedyny atut, jakim mogliśmy dysponować w epoce "koegzystencji": Polska nie jest już ogniwem łączącym Wschód z Zachodem.

Życie wewnątrz kraju zostało sparaliżowane. Zamiłkła legalna, autentyczna aktywność społeczeństwa. Czynniki rządzący koncentruje się na obronie swej funkcji rządzenia. Wielu spośród podstawowych funkcji państwa - jak troska o bezpieczeństwo obywateli, tworzenie ram dla działalności gospodarczej, regulowanie obiegu pieniądza, zabezpieczenie i rozbudowa infrastruktury - po prostu nie jest w stanie realizować. Polska przestała być państwem w nowoczesnym rozumieniu tego słowa.

Sytuacja taka zmusza do refleksji w kategoriach interesu narodowego. Trzeba, abstrahując od wszelkich podziałów i antagonizmów, rozważyć na chłodno, ale ze świadomością dramatycznego stanu kraju, możliwości i warunki zmiany.

Nasza tragiczna sytuacja stanowi kulminację narastającego od lat kryzysu państwa. Jest ona także wynikiem rozwiązania siłowego z grudnia 1981 roku, oraz następstwem działania mechanizmów przez to rozwiązania uruchomionych, niekiedy nawet wbrew woli sprawców. Rozpocznijmy więc od krótkiego bilansu.

Rozwiązanie to zapewniło poczucie bezpieczeństwa politycznego i społecznego /bo fizyczne nigdy nie było zagrożone/ warstwie rządzącej - z szczególności - z oficjalnego życia politycznego wyeliminowało ruch "Solidarności", uznawany przez nią za konkurencyjny. Przywróciło klasyczny model państwa "realnego socjalizmu", w którym czuje się ona pewnie. Tyle doraźnych korzyści warstwy rządzącej.

Nieproporcjonalna w stosunku do pokojowego charakteru ruchu obywatelskiego z lat 1980-81 brutalność rozwiązania siłowego wzmogła natomiast antagonizmy wewnętrzne. Grożą one sparaliżowaniem możliwości wszelkiej, pokojowej ewolucji. Rozwiązanie to spowodowało wielorakie konsekwencje społeczne. Do najważniejszych z nich - z ogólnonarodowego punktu widzenia - należy utrata poczucia sensu uczestniczenia w życiu publicznym. Odbija się to także na poziomie osobistych losów jednostki, w powszechnej i głębokiej frustracji, powszechnym poczuciu beznadziejności.

Osiągnięty przy pomocy siły stan stagnacji politycznej wyczerpał już wszelką dynamikę. A jednak rządzący odrzucają, jak na razie, jakkolwiek próbę kompromisu, który by przekraczał granice zwyczajnego posłuszeństwa. W tej sytuacji trzeba nastawić się na poszukiwanie rozwiązań politycznych w dłuższym odcinku czasu. Aby jednak można było zastanowić się nad takim rozwiązaniem, trzeba się wyrzec fikcji i polityczno-ścisłości i zacząć w sposób otwarty formułować postulaty i zagadnienia polityczne posługując się językiem politycznym.

Warstwa rządząca jest silną siłą rozmaitych form przemocy. Jest ona słaba brakiem poparcia społecznego, którego nie można uzyskać przy pomocy anachronicznych metod rządzenia. Istnienie niezależnych od władzy ośrodków politycznych lub społecznych jest obiektywnym faktem. Działalność podziemna może jednak spełnić tylko pewne zadania, głównie moralne i edukacyjne. Jej pokojowy charakter sprzyjał miękkiemu przyjęciu ciosu, jakim było wprowadzenie stanu wojennego. Dzięki temu nie została przekreślona nadzieja na osiągnięcie w Polsce choćby zadowalającego stanu współistnienia wśród sprzeczności. Podziemie nie może jednak - siłą rzeczy - znaleźć skutecznych narzędzi pozytywnej, bieżącej działalności politycznej.

O tym, że Kościół nie będzie motorem działalności politycznej, przekonują się powoli ci, którzy mieli do niedawna takie złudzenia. Kościół nie tylko nie może być motorem takiej zmiany, ale byłoby nieszczęściem, gdyby wdał się w te obce mu z natury sprawy. Od Kościoła można oczekiwać pełnienia funkcji mediatora, moderatora, lecz nie siły politycznej. Należy natomiast mieć pewność, że Kościół będzie stałym wsparciem dla postaw nonkonformistycznych, dla rozmaitych form moralnego oporu.

Wobec takiej sytuacji niezbędne jest co najmniej sprecyzowanie warunków politycznego porozumienia, które byłoby do przyjęcia dla wszystkich czynników, decydujących o sytuacji w Polsce. W systemie, którego istnienie należy uznać za trwały element polskiej sytuacji, a którego jest zasadą uwzględnianie we wszystkich problemach przede wszystkim - względów politycznych, każda zmiana musi mieć charakter polityczny. Doceniając znaczenie i pośrednio polityczny charakter takich działań, jak postulaty rewindykacyjne, domaganie się od czynników rządzących, aby wywiązywały się ze swoich obowiązków, działalność edukacyjną, oświatową i kulturalną w tzw. drugim obiegu i wszystkich form samoorganizowania się społeczeństwa, należy z całą stanowczością powiedzieć, że wszelkie przyszłe, rzeczywiste porozumienie w Polsce - ratujące nas od groźby cywilizacyjnego upadku i wyrzucające nas z przestarzałych struktur rządzenia - musi być porozumieniem politycznym.

Takie porozumienie wymaga nowego samookreślenia partnerów postulowanej umowy społecznej. Przede wszystkim odejścia od stereotypu, który wyobcowaną władzę przedstawia zjednoczonemu na zasadzie negacji społeczeństwu. Rzeczywista geografia polityczna współczesnej Polski jest o wiele bardziej złożona.

Istnieje warstwa rządząca, realizująca interesy swoje i związanych z nią grup społecz-

cznych. Należy więc uwzględnić te potrzeby; a także reprezentowane przez nią szersze interesy narodowe, wynikające przede wszystkim z położenia geopolitycznego Polski. Warstwa ta jest częścią pluralistycznego, zróżnicowanego pod wieloma względami społeczeństwa. Inne grupy i warstwy także mają swoje interesy i aspiracje, które muszą być realizowane. Dotyczą one nie tylko sfery ekonomicznej. Chodzi o faktyczny pluralizm potrzeb różnej natury. Nie jest bowiem tak, aby interesy, o których mowa, łącznie z interesami warstwy rządzącej, wykluczały istnienie wspólnego interesu narodowego i państwowego. Trzeba znaleźć taką ptaszczynne minimum, która - nie likwidując wszystkich sprzeczności - umożliwi uzgadnianie interesów różnicowanego społeczeństwa dla osiągnięcia niezbędnego współdziałania.

Istnieje bowiem możliwość pokoju gospodarczego opartego na trójsektorowej gospodarce w równoprawnych sferach: państwowej, spółdzielczej i prywatnej. Nie jest wykluczona szansa zakończenia sporu z przodującymi gospodarczo i technicznie mocarstwami oraz doprowadzenia do uaktywnienia Polski na arenie międzynarodowej. Jest też możliwość autentycznego zrozumienia przez ogół Polaków sensowności naszego sojuszu ze Związkiem Radzieckim. Muszą być jednak spełnione dwa warunki: warstwa rządząca powinna wykazać, że jest w znacznym stopniu autonomiczna w swych decyzjach, inne zaś warstwy muszą mieć możliwość politycznej artykulacji swoich wewnętrznych interesów. Ewentualność taka nie jest w żadnym sensie sprzeczna z interesem Związku Radzieckiego.

Konieczna jest długofalowa strategia, dzięki której warstwa rządząca uzna nieskuteczność modelu sprawowania władzy opartego wyłącznie na sile. Na nowo określi swoje własne interesy i te szersze potrzeby, które chce realizować. Strategia sprzyjająca podjęciu odpowiedzialności za los państwa także przez inne sfery społeczeństwa.

Stan obecny taką odpowiedzialność wyklucza. Po 1944 roku człowiek, który chciał uczestniczyć w życiu publicznym, miał - oprócz postawy czysto serwilistycznej - kilka racjonalnych dróg do wyboru. Często były one trudne, ryzykowne, a szanse powodzenia nikłe, lecz były to wyjścia racjonalne. Motywacje, środki i cele były odniesione do określonego celu strategicznego i określonej wizji przyszłości. Obecnie czegoś takiego nie ma. Potrzebna jest więc nowa racjonalność, nowe uzasadnienie udziału w życiu publicznym na wszystkich jego poziomach. Jest potrzebna tym bardziej, że pokładanie nadziei w kolejnym, wielkim wybuchu niezadowolenia społecznego wydaje się mało sensowne. Można zresztą sądzić, że owo mało dziś prawdopodobne, choć teoretycznie możliwe, przesilenie rewolucyjne nie dałoby - samo z siebie - odpowiedzi na pytanie: w jaki sposób możliwa jest zmiana w ramach określonych przez zewnętrzne warunki sytuacji ustrojowej i geopolitycznej?

Potrzeba nowej racjonalności politycznej wiąże się przede wszystkim z faktem życia w świecie anachronicznym.

Rodem z innej epoki i z innej rzeczywistości jest obecny sposób sprawowania władzy. Związany z nim system gospodarczy nie może rozwiązać podstawowych problemów, z którymi nowoczesne państwa uporały się już dawno. Pozbawione podmiotowości politycznej społeczeństwo jeża anachroniczne w swoich odruchach, w sposobie traktowania spraw publicznych. Brak jest realistycznej perspektywy, brak długofalowej koncepcji rozwoju Polski, odbudowy siły państwa i jego pozycji międzynarodowej. Potrzebna jest odpowiedź na pytanie: czego w istocie chcemy?; jakiego pragniemy państwa i naszego w nim miejsca?; w jakim, możliwym w naszych warunkach świecie można by było żyć?

Dla uzyskania odpowiedzi na tak postawione pytania potrzebne jest porozumienie ludzi myślących o przyszłości. Tych, którym nie wystarczy udział w anachronicznym systemie politycznym, a jako alternatywa - ucieczka w odmowę i wyizolowane sfery życia prywatnego. Ludzi, którym nie wystarczy anachroniczny system gospodarczy i społeczny, którzy w tragicznym dla kraju okresie gotowi są porzucić stereotypowe formuły i stereotypowe metody rozwiązywania problemów. Porozumienie w sensie dosłownym, poprzedzające przyszłą nową społeczność - polegające na wymianie poglądów i uzgadnianiu racji, nie wykluczające jednak sporów.

Niezbędne jest miejsce, gdzie krystalizują się nowe idee, miejsce dyskusji o sprawach Polski i świata. Ptaszczynna udziału w życiu państwa

wa i odpowiedzialności za bieg spraw publicznych. Swoisty "parlament nowoczesności".

marzec 1984

G P P

WYSTĄPIENIE DRUGIE

Tragiczna sytuacja Polski zmusza do szukania rozwiązań politycznych. Powinny one uwzględniać wspólne interesy różnych odłamów społeczeństwa polskiego, w całej jego różnorodności /patrz "Wystąpienie pierwsze"/. Nie doprowadzi się do takich rozwiązań na drodze intelektualnej perswazji. Mogą się one zrodzić tylko w wyniku długotrwałego procesu politycznego, gry realnych sił społecznych, zorganizowanego nacisku. Już teraz jednak konieczna jest praca intelektualna nad poszukiwaniem realnych i praktycznych możliwości przezwyciężenia kryzysu, w jakim znalazła się Polska.

W naszym przeświadczeniu istnieje "płaszczyzna minimum", na której - bez zacierania sprzeczności - możliwe jest konstrukttywne działanie niezależnych środowisk opiniotwórczych, zbieżne z interesem państwa. Mówiąc o działaniu konstruktywnym nie mamy na myśli ani starań o udział w władzy, ani też walki o nią. Niestosowne jest doktrynalne przekonanie, które każe traktować wszelkie przejawy niezależnego życia publicznego jako fakty polityczne, jako zamiar przejęcia władzy w państwie.

Potencjalna płaszczyzna minimum stanowi teren pokrywania się interesu warstwy rządzącej i interesów wszystkich innych warstw z interesem państwowym. Tu powinny spotykać się indywidualne i grupowe dążenia wszystkich Polaków. Bez względu bowiem na obecny układ sił politycznych państwo jest nasze. Jest nasze ponad sporami ideologicznymi, społecznymi i politycznymi. Jest nasze ponad sztucznie czasem tworzonymi, ale i rzeczywiście istniejącymi podziałami na wrogie obozy, ugrupowania, stronnictwa, klasy.

Celem każdej świadomej działalności demokratycznej w Polsce powinno być maksymalne poszerzenie zakresu suwerenności państwa i podmiotowości społeczeństwa. Niezbędne jest jednak wyznaczenie sobie realnego horyzontu, do którego dążymy.

Aby można było powiedzieć, że państwo "jest nasze" i przyjąć płaszczyznę minimum wspólnego interesu państwowego, winny być spełnione dwa warunki. Jedną stroną musi porzucić przeświadczenie, że wszelka praca dla jego realizacji jest formą moralnego odstępstwa. Druga zaś - uświadomić sobie, że rozwiązania siłowe niczego nie rozwiązują. Wymowa faktów, cała ewolucja polityczna od grudnia 1981 roku już narzuca i będzie narzucała tę prawdę coraz dobitniej wszystkim siłom społecznym istniejącym w Polsce.

Realne myślenie o możliwościach wyjścia z obecnej sytuacji wymaga uwzględnienia dwóch zasadniczych faktów naszej rzeczywistości politycznej:

- nie jesteśmy państwem suwerennym
- nie jesteśmy /i być nie możemy w realnej perspektywie/ państwem demokratycznym.

Dgraniczona suwerenność pozostawia jednak pewne możliwości suwerennego działania, a brak demokracji politycznej nie wyklucza, jak tego wielokrotnie dowiodła praktyka, możliwości uzyskiwania różnymi środkami społecznie korzystnych zmian. Uznaniu ograniczeń powinna więc towarzyszyć świadomość niespełnionych szans.

Akceptacja sfery zgody - co do kilku podstawowych dla interesu państwa spraw - zakłada istnienie sfery sporu, sfery faktycznej wolności w zakresie

realizacji pluralizmu postaw i poglądów. Niezależnie od władzy środowiska polityczne i społeczne są faktem. Przedmiotem sprzeciwu z ich strony jest przede wszystkim model sprawowania władzy i ograniczenia swobód obywatelskich. Środowiska traktujące sytuację w sposób polityczny muszą jednak posiadać - obok opozycyjnej - także strategię pozytywną.

Widzimy po temu kilka ważnych powodów. W obecnych warunkach niewielkie są szanse na to, aby korzystne zmiany polityczne w Polsce były wynikiem kolejnego wewnętrznego wybuchu lub też radykalnych zmian układu międzynarodowego. W tej sytuacji postawa "im gorzej, tym lepiej" jest nie tylko naganna z moralnego punktu widzenia, ale także nieskuteczna politycznie. Społeczeństwo, nie rezygnując z dążenia do realizacji swych ideałów, pragnie stabilizacji i poprawy warunków materialnych. Chce żyć we własnym państwie, choćby posiadającym ograniczoną suwerenność - na tyle jednak sprawny i silny, aby można w nim realizować podstawowe, indywidualne i społeczne cele. Należy więc zdobyć się na odwagę rzeczowego potraktowania poczyniły czynnika rządzącego, oddzielenia pożądanego od niepożądanego. Czynnikiowi rządzącemu trzeba ponadto narzucić ścisły ład i porządek, jakie kierunki działania mają szansę społecznej akceptacji.

Strategia pozytywna kształtuje odpowiedzialność za los Polski, a bez tej odpowiedzialności nie może być poważnej działalności publicznej.

Powstaje jednak pytanie: czy możliwe jest współdziałanie na rzecz budowy silnej Polski bez wyraźnej perspektywy uzyskania pełnej suwerenności i szans na tworzenie demokracji politycznej? Powiemy jasno: szanse poprawy stanu państwa istnieją zawsze. Ograniczenia suwerenności wynikają, między innymi, z realiów geopolitycznych. W tej kwestii nie ma wątpliwości. Pluralizm sił, postaw, stanowisk i interesów w Polsce jest jednak oczywisty. Wiadomo o tym zróżnicowaniu nawet bez tworzenia form reprezentacji na wzór demokracji liberalnej. Geografię polityczną społeczeństwa polskiego nietrudno rozszyfrować.

Tylko uznanie wymowy faktów może doprowadzić do rzeczywistej zgody wokół idei Polski jako państwa obywatelskiego i akceptacji przez większość "płaszczyzny minimum", płaszczyzny interesu państwowego.

Określenie tej płaszczyzny minimum wymaga przyjęcia do wiadomości istniejących ograniczeń przez wszystkie strony. Wymaga uznania, że w zakresie spraw objętych interesem państwowym warstwa rządząca będzie nadal siłą organizującą. Innymi słowy w perspektywie realnego horyzontu czasowego trzeba myśleć nie o władzy innej, lecz o władzy inaczej sprawowanej.

Wymaga to porzucenia przez czynnik rządzący paraliżujących obaw przed wszelką manifestacją postaw obywatelskich. Porzucenia także obaw innego rodzaju: przed utratą władzy lub twarzy, obaw ideologicznych lub moralnych, które sprawiają, że sytuacja w Polsce ma charakter społeczno-politycznego patu. Musimy także porzucić złudzenie wspólnego stołu. Niezbędne jest więc rozpoczęcie jednostronnej presji w celu wymalowania "płaszczyzny minimum". Przekonani jesteśmy, że wymowa faktów skłoni choćby niektóre spośród sił uczestniczących w życiu publicznym do działania w podobnym kierunku.

Sfera zgody powinna obejmować przede wszystkim prawo, administrację i gospodarkę. Dopóki jednak będą funkcjonowały one dla zabezpieczenia władzy warstwy rządzącej, dopóty będą uważane za problemy państwa nie swojego.

Walka o prawo jest w tej chwili jednym z priorytetów narodowych, ponieważ samowola prawa czynnika rządzącego grozi zniszczeniem wszelkich reguł współżycia międzyludzkiego. Prawo nie może być środkiem narzucania arbitralnych decyzji władz, lecz - istniejąc ponad nimi - musi pełnić funkcję regulacyjną wobec konfliktowych potrzeb i dążeń wszystkich uczestników życia społecznego. Dlatego musi być zgodne z poczuciem prawnym społeczeństwa, z obowiązującym w naszym kręgu kulturowym systemem wartości. Tak właśnie pojmowane prawo zaliczamy do sfery zgody. Sprzeczne z nią regulacje, choćby najuroczyściej uchwalane, niszczą szansę na pokojową ewolucję polityczną.

Potrzebna jest administracja nie będąca transmisją interesów grupowych, ale czynnikiem organizującym państwo. Mechanizmy gospodarcze natomiast muszą być nastawione na pomnażanie bogactwa narodowego, a nie na realizację doktrynalnych wizji.

Czynnik rządzący musi zdać sobie w pełni sprawę, że interes władzy nie jest tożsamy z interesem państwa. Tylko pod tym warunkiem pozostałe warstwy i grupy społeczne będą traktować prawo, administrację i gospodarkę jako zjawiska trwalsze od interesów warstwy rządzącej.

W zakresie gospodarki sfera zgody powinna objąć przede wszystkim możliwie szerokie zastosowanie mechanizmów rynkowych i wynikające z tego konsekwencje, także społeczne i polityczne. Obecnie wszelkie radykalne zmiany są zablokowane z dwóch stron. Warstwa rządząca boi się utraty politycznej kontroli nad gospodarką. Boi się także reakcji społeczeństwa na nieuchronne we wstępnej fazie naprawy gospodarki zabrania w sferze cen i płac oraz na rynku pracy, na ujawnienie rzeczywistego zróżnicowania poziomu dochodów, obecnie maskowanego przez mechanizm dystrybucji. Inne grupy i warstwy obawiają się, że wprowadzenie zasady konkurencyjności sprzecznej z dość powszechnymi skłonnościami egalitarystycznymi, zniweczy i tak zawodne zabezpieczenia społeczne. Lękają się, że wielkie wyrzeczenia i wysiłek okresu przejściowego raz jeszcze zostaną zmarnowane.

Innej drogi jednak nie ma. W sytuacji, w jakiej się znajdujemy, niezbędna jest zgoda na obciążenia wynikające z wprowadzenia mechanizmu rynkowego, co stanowi warunek dalszej poprawy. Konieczne są przy tym obustronne gwarancje polityczne. Czynniki organizujący zmiany powinni otrzymać niezbędną swobodę radykalnego działania. Ogół zatrudnionych - instytucjonalne zabezpieczenie w postaci niezależnych związków zawodowych i samorządów, możliwość kontroli skutków przemian gospodarczych poprzez jawność budżetu państwa, przejrzystość systemu podatkowego.

Trzeba odrzucić złudzenia, że czynnik rządzący przetrzyma opór społeczeństwa, lub - przeciwnie - że społeczeństwo przetrwa mimo braku przemian w gospodarce. Złudzeniem jest także, iż naród i państwo przetrzymają kryzys. Półśrodki będą tylko pogłębiać regres. Jeśli to przetrzymamy, to jako naród skarlaty, naród wyrzucony poza nawias Europy, naród w chronicznie chorym państwie.

Polisce potrzebne jest równouprawnienie sektorów: państwowego, spółdzielczego i prywatnego w ramach rynkowego modelu gospodarki. Przyjęcie tej zasady jest najpilniejsze, najłatwiejsze i najszybciej może przynieść efekty w stosunku do rolnictwa. Jedyнным kryterium w odniesieniu do tej sfery gospodarki powinien być stopień zaspokajania społecznych potrzeb. Trzeba się zatem wyrzec zarówno dążeń do przymusowej kolektywizacji, czy też upaństwowienia chłopskiej gospodarki, jak i swoistego agraryzmu, zmierzającego do likwidacji wielkiej własności tylko dlatego, że nie jest ona prywatna.

Sfera zgody to nie domena wartości, lecz społecznych i gospodarczych priorytetów, bez realizacji których życie w Polsce utraci sens. Zakres tej sfery powinien być wyraźnie ograniczony. Przestrzeganie prawa - tak, państwowy charakter administracji - tak, mechanizmy rynkowe w gospodarce - tak.

Istnieją wszelako dziedziny, w których otwarty spór wydaje się nieuchronny i od którego nie można żądać wyrzeczenia się prawa do oporu. Mamy tu na myśli przede wszystkim kwestię ideologizacji państwa. Rządząca w Polsce PZPR jest partią marksistowsko-leninowską. Jest rzeczą naturalną, że propaguje swoją ideologię. W sytuacji jednak, gdy zarówno materialistyczny światopogląd, jak i doktryna walki klas i dyktatury proletariatu oraz wynikająca z tych założeń wizja organizacji społeczeństwa są w oczywisty sposób sprzeczne z wierzeniami religijnymi i społecznymi przelansowanymi większości Polaków, z ich systemem wartości moralnych, słusznym jest postulat, aby instytucje państwa - włącznie z oświatą i szkolnictwem wyższym - nie były używane jako narzędzie przymusowej ideologizacji.

Ze społecznego punktu widzenia na pierwszym miejscu trzeba postawić problem rodziny,

rzeczywistego podmiotu życia w Polsce.

Podobnie nieuniknione są spory w zakresie kultury, dla której swobodne ścieranie się różnych systemów wartości stanowi stan naturalny.

Wszystko zatem, co nie należy do wąsko pojmowanej sfery zgody, co nie mieści się na płaszczyźnie minimum, pozostaje dziedziną artykułowania różnic.

Zgoda na prawo i administrację oraz na strategię trzech R - rodzina, rolnictwo, rynek - nie ma nic wspólnego ani z narodowym pojedaniem, ani z rezygnacją z walki politycznej, ze sporów ideowych i moralnych. Jest to wyłącznie wymuszona warunkami faktyczna ugoda polityczna zawierana na skraju przepaści. Nie zamyka ona drogi do dalszych zmian.

Stwierdzamy raz jeszcze, że przywrócenie siły i sprawności państwa, a także trwałe poszerzenie zakresu wołności może być wyłącznie efektem przekształceń o charakterze politycznym.

kwiecień 1984

G P P

WYSTĄPIENIE TRZECIE

Wybuch II wojny światowej przerwał proces kształtowania się w naszym kraju normalnego społeczeństwa, poszukującego własnej drogi do demokracji wśród poważnych trudności wewnętrznych i nieustannego zagrożenia zewnętrznego. Mimo wszystkie przeszkody, kierunek rozwoju był właściwy. Byliśmy państwem suwerennym i powoli, lecz systematycznie, stawaliśmy się nowoczesnym społeczeństwem europejskim, dojrzewającym do zreformowania całego ustroju państwa w duchu demokratycznym.

Wydarzenia jesieni 1939 roku, a później dramat powstania warszawskiego i wyniki II wojny osłabły i ujawniły, że nie ma powrotu do pozycji międzynarodowej, jaką zajmowała II Rzeczpospolita. Znaleźliśmy się w bezpośredniej strefie wpływów ZSRR. Ujawniły się w tej sytuacji trzy typy postaw wobec wschodniego mocarstwa: 1/ jawnej wrogości połączonej ściśle z brakiem akceptacji zmian mapy Europy; 2/ ostantacyjnej współpracy, motywowanej najczęściej względami ideologicznymi; 3/ realistycznej oceny politycznych wyników ostatniej wojny. Ta ostatnia kategoria obejmowała zdecydowaną większość społeczeństwa, które było żywotnie zainteresowane rozsądnym ułożeniem stosunków Polski z ZSRR, ale nade wszystko chciało zachować swą tożsamość. Spór, jaki powstał wtedy między czynnikami rządzącymi a myślącą realistycznie w kategoriach politycznych częścią społeczeństwa, polegał na różnym rozumieniu słowa **s o j u s z**.

Spór ten nigdy nie wygasł. Przez całe lata toczył się podskórnie, by wybuchnąć w ostrej formie w każdej sytuacji konfliktowej. Zauważmy, iż spór ten przycicha w tych krótkich chwilach, kiedy rządowa wykładnia sojuszu zbliża się do oczekiwań społecznych w tej kwestii.

Istota sporu wiąże się z ideologicznymi uwarunkowaniami sojuszu. Możliwa jest - o czym świadczą fakty - szeroka akceptacja politycznego i militarnego sojuszu polsko-radzieckiego, i to łącznie z niedogodnościami, jakie ma zawsze dla strony słabszej niewspółmierność partnerów. Sprzężenie sojuszu z programami wewnętrznego przekształcania kraju według wzorców doktrynalnych odrzucanych przez większość społeczeństwa podsyca natomiast dawne resentymenty antyrosyjskie i antyradzieckie, rodzi też nowe urazy. Im więcej gorliwości ideologicznej okazuje czynnik rządzący na arenie międzynarodowej i wewnętrznej, im ściślej wiąże ją z serwitutami sojuszniczymi, tym bardziej pomniejsza zasięg społecznej akceptacji sojuszu. Pogarsza w ten sposób położenie Polski w obrębie obozu socjalistycznego i poza nim. Sprawia wreszcie, że w szerokim odczuciu społecznym dążenie do pluralistycznych zmian wewnętrznych w Polsce uznane zostaje za nieuchronnie konfliktowe wobec ZSRR.

Pisaliśmy już, że w obliczu tragicznej sytuacji, w jakiej dziś znalazła się Polska, stoimy wobec konieczności znalezienia "płaszczyzny minimum" zgody politycznej, obszaru pokrywania się interesów różnych grup i warstw naszego społeczeństwa. Pisaliśmy także, że płaszczyzną zgody może być jedynie interes państwa. Pisaliśmy jeszcze o warunkach towarzyszących ustaleniu zakresu tej płaszczyzny, na którą w sferze spraw wewnętrznych składają się: prawo, administracja i gospodarka. Pisaliśmy wreszcie, że chodzi o zgodę

w obliczu niebezpieczeństwa, zgodę zawieraną na skraju przepaści.

Tę samą perspektywę należy przyjąć, gdy rozważamy możliwość uzgodnienia "płasczyny minimum" w zakresie spraw polityki zagranicznej Polski. Podjęcie tego zagadnienia jest nieodwrotne, bowiem nasza sytuacja wewnętrzna jest tak silnie uwikłana w kontekst międzynarodowy, że bez jego uwzględnienia nie można myśleć o rozwiązaniu politycznym w Polsce.

Uważamy, że "płasczyna minimum" w sprawach międzynarodowych opierać się musi na częściowym chociaż uzgodnieniu treści podkładanych pod pojęcie "sojusz" tak przez czynnik rządzący, jak i przez czynniki społeczne. Nasz punkt widzenia w tej materii jest konsekwencją przyjętego wcześniej założenia, że w perspektywie realnego horyzontu politycznego system, w jakim znajduje się Polska, jest trwały. Proces poszukiwania rozwiązań politycznych może odbywać się jedynie w ramach określonych przez sytuację międzynarodową istniejącą od czterdziestu lat i nakładającą się na znacznie stabilniejsze układy geopolityczne. Przyjmując ten punkt widzenia dobitnie jednak podkreślamy, że interes czynników rządzących nie jest tożsamy z interesem państwa.

Dla wypracowania "płasczyny minimum" interesu państwa niezbędne jest określenie i oddzielenie tego, co stałe w naszej polityce zagranicznej od tego, co może i powinno ulec w niej zmiany.

Istnieje ścisłe sprzężenie zwrotne między aktywnością Polski w sojuszu i wobec tego sojuszu, a znaczeniem Polski w obozie radzieckim i jej pozycją w świecie. Korzyści wynikające z sojusznictwa powiązań Polski owocować mogą przede wszystkim w okresach międzynarodowego odprężenia. Trzeba to podkreślić szczególnie dziś: nasza nadzieja na poprawę pozycji międzynarodowej jest najściślej związana z dążeniem do szybkiego zmniejszenia napięcia w stosunkach międzynarodowych. Nie jest nam przydatna "zimna wojna" w żadnej formie. Potrzebujemy odprężenia. Tylko wtedy Polska ma szansę wykorzystania "płasczyny minimum" z pożytkiem dla naszych narodowych i państwowych interesów.

Stwierdziliśmy uprzednio, że interes narodowy i państwowy nie jest tożsamy z interesem czynnika rządzącego. Wyraziliśmy jednak przekonanie, iż możliwa jest pewna zbieżność interesów czynnika rządzącego z oczekiwaniami społeczeństwa. Powiedzieliśmy więcej i chcielibyśmy to powtórzyć: dramatyczna sytuacja naszego kraju wymaga poszukiwania zbieżności wielorakich interesów.

Wiadomo, że instytucjonalnym gwarantem sojuszu jest w Polsce czynnik rządzący - i będzie nim nadal w dającej się raźnie przewidzieć przyszłości. Gwarantowaniem musi jednak towarzyszyć szczególnie odpowiedzialność wobec społeczeństwa za sposób realizacji interesów Polski. Interesy te nie są w swej całości tożsame z interesami Z.S.R.R.

Czytelne udokumentowanie przez czynnik rządzący skuteczności realizacji polskich interesów w stosunkach z sojusznikiem, jest niezbędnym warunkiem dla wypracowania elementarnej zgody wewnętrznej w kraju, a więc do wydobycia społeczeństwa z zapasli cywilizacyjnej, a państwa - z jego obecnej podrzędności politycznej i międzynarodowej peryferyjności.

Uważamy za niedopuszczalne - z punktu widzenia interesu państwowego Polski - używanie sojuszu ze Związkiem Radzieckim jako uzasadnienia szantażu wobec społeczeństwa. Straszanie interwencją radziecką we wszystkich poważniejszych sytuacjach konfliktowych, wywoływanie widma rozbiorów jako alternatywy dla każdej próby realizacji stosunków wewnętrznych przynosi skutki przeciwne do zamierzonych, komplikuje dodatkowo polsko-rosyjskie zawężenie, determinujące naszą historię od dwustu z górą lat. Sojusz ze Związkiem Radzieckim przynosić może Polsce istotne korzyści, pod warunkiem jednak wykorzystywania obszaru podmiotowości wobec partnera.

"Płasczyna minimum" zgody obejmuje dwie kwestie bezdyskusyjne. Po pierwsze: nie leży w interesie ani czynnika rządzącego, ani żadnej innej grupy społecznej w Polsce, zaostrenie sytuacji międzynarodowej. Działanie w kie-

runku łagodzenia napięć w podzielonym świecie może stać się dla czynnika rządzącego ważną upodmiotowieniem aktywności politycznej na arenie międzynarodowej. Walka o odprężenie powinna być programem dla wszystkich grup społecznych, które liczyć mogą wtedy na możliwości prowadzenia "małej polityki" w ramach przepływu ludzi i informacji.

Po drugie: nie leży w naszym interesie ucieczka od Europy, izolacja i utrata więzi z naszymi duchowymi i politycznymi korzeniami. Z jednej strony polityka "ku Europie" pozwoliłaby czynnikowi rządzącemu uzyskać szczególne miejsce w obozie i realizować funkcję pomostu między Wschodem a Zachodem; z drugiej zaś, umożliwiłaby innym grupom społecznym utrzymywanie stałego kontaktu ze światem zachodnim, co jest nieodzowne dla zachowania ciągłości cywilizacyjnej.

Rozumowanie nasze opiera się na założeniu, iż zgodna na sojusznik i likwiduje prawa do wypowiedziania opinii na temat polityki międzynarodowej. Z kwestią tą łączy się przekonanie, iż nie wszystkie problemy polityczne wymagają jednoznacznej oceny. Dotyczy to tak polityki całościowej prowadzonej w imieniu państwa przez rząd, jak i międzynarodowej aktywności czynników innych niż rządowe.

Jak wynika z wielu przykładów, oddziaływanie wewnętrznego pluralizmu politycznego na politykę zagraniczną Polski jest faktem. Nie ulega wątpliwości, że stanowiska, zajmowane przez Kościół, "Solidarność" i Lecha Wałęsę, czy "Solidarność" za granicą, wpływają - w różnym stopniu - na politykę państw Zachodu i Wschodu w stosunku do naszego kraju. Te różnorakie próby wpływania na sferę międzynarodową nie mogą w aktualnej sytuacji wewnętrznej obejmować wszystkich zagadnień związanych z interesem państwa. Sama ich wielość jest niewątpliwie zjawiskiem korzystnym. Nie wolno jednak zapominać o ewentualności partularyzmu, będącego skutkiem skróconej i zawężonej perspektywy. Trudno wtedy uniknąć instrumentalnego traktowania przez siły polityczne rozmaitych państw.

Nie jest od tego wszystkiego uwolniony także czynnik rządzący.

Uгода zawierana na skraju przepaści nie może kwestionować podstawowych kierunków polityki zagranicznej naszego państwa. Jednak realizujący tę politykę czynnik rządzący musi zrezygnować z ambicji reprezentowania wszystkich interesów wszystkich warstw i grup społecznych. Musi także zrezygnować ze ścisłego wiązania podstawowych decyzji w sprawach międzynarodowych z praktyką codziennych i wielorakich stosunków zagranicznych rozmaitych grup interesu w Polsce. Obszar suwerenności społeczeństwa to zarówno swoboda działania w kwestiach obojętnych dla naszych sojuszników, jak i prawo do pluralistycznej aktywności międzynarodowej.

Z tego, że całościowa polityka zagraniczna Polski pozostaje w rękach czynnika rządzącego nie wynika, iż społeczna aktywność zagraniczna ma także pozostawać jego domeną lub być od niego ściśle uzależniona. Prawo do własnej, ze zrozumiałych względów ograniczonej aktywności międzynarodowej ma każdy obywatel i każda grupa interesu w Polsce. Prawo to jest niezbędne dla realizacji interesu państwa, który - jak mówiliśmy - jest wypadkową interesów różnych warstw, ale jest zarazem w stosunku do nich nadrzędny. Idzie tu o swobodę kontaktów zagranicznych zarówno państwowych przedsiębiorstw i firm prywatnych, jak wyższych uczelni, instytucji kulturalnych, stowarzyszeń oraz poszczególnych obywateli.

Brak takiej swobody w dzisiejszej sytuacji powoduje zamknięcie części stosunków międzynarodowych Polski w ramach wyznaczonych przez rywalizację supermocarstw, co w sposób drastyczny powoduje osłabienie jej pozycji w świecie. Ryzyko konfliktów między poziomem "rządowym" a "poziomem" społecznym w kwestiach polityki zagranicznej jest niekome i wtórne w porównaniu z zagrożeniami, jakie niesie z sobą wewnętrzne zablokowanie w Polsce.

Doprowadzenie do ugody wewnętrznej, związanej z akceptacją podstawowych kierunków polityki zagranicznej, mimo dalszego istnienia konfliktów i interesów partularyznych, stworzyłoby możliwości ich podporządkowania nadrzędnej interesowi państwa. Tu należy wyraźnie powiedzieć, iż społeczeństwo ma pełne prawo do artykułowania swych postaw nawet jeśli powodować

to może napięcia czy konflikty wewnętrzne. napięcie bywa też czynnikiem twórczym.

Niewykorzystywanie istniejących możliwości działania przez czynnik rządzący /np. w sprawie niemieckiej, w stosunkach z rozwiniętymi krajami Zachodu, stosunkach dwustronnych z innymi krajami obozu, w stosunkach z Trzecim Światem/ i niedopuszczanie do wykorzystywania ich przez pluralistyczne społeczeństwo powoduje bezpowrotne tracenie przez Polskę sytuacji żywotnych dla jej interesów.

Pierwszy krok w kierunku przełamania dzisiejszego impasu jest obowiązkiem czynnika rządzącego. Bez wiarygodnych posunięć rządowych nie ma mowy o przełamaniu nieufności społecznej a bez zmiany klimatu w kraju nie można liczyć na optymalizację stosunków gospodarczych i politycznych z zagranicą.

Nie możemy dłużej tkwić w klinczu. Wzajemne zablokowanie prowadzi do utraty rozeznania, czego przykładem są występujące u nas absurdałne postawy identyfikowania naszego interesu państwowego z interesami politycznymi Stanów Zjednoczonych lub innych państw. Warstwa rządząca nie może wymagać od społeczeństwa zrozumienia dla swej polityki w sytuacji, w której nie pozostawia ani społeczeństwu, ani sobie żadnej możliwości wyborów pośrednich.

Społeczeństwo jest w stanie wznieść się ponad uprzedzenia i jakże zrozumiałe urazy. Wielokrotnie dawało ono dowody imponującej odpowiedzialności politycznej. Tym bardziej niedopuszczalne jest samograniczenie obszaru suwerenności przez czynnik rządzący.

Taka polityka, w ostatecznym rozrachunku, grozi politycznym samobójstwem.

maj 1984

G P P

DOPÓKI LIŻEMY RANY

LESZEK BUDREWICZ

NA PLANTACJACH

dopóki lud prosi
nie ma cienia na twarzy plantatora
dopóki lud śpi
śpią na służbie straże
dopóki lud liże rany
poślizują się mu wieczorem.
dopóki lud nie mądrzeje
plantatorzy są mądrzejsi
dopóki lu ufa
nic im nie grozi
jak długo traci nadzieję
zyskują pewność
dokąd lud nie ruszy
dopóki lud czeka
czeka
rzeka

x x x

wszyscy jak powiedział tomas borge
rewolucjoniści są poetami
a więc wszyscy ewolucjoniści
są prozaikami
prawdziwi grafomani są policjantami
każdy artysta to anarchista
czy milczący chór
to większość?

WIERSZE ULOTEK

przez ten czas panie budrewicz
 jak pan te ulotki roznosił
 to różni ludzie napisali
 tyle pięknych wierszy
 o roznoszeniu ulotek

NOTATKA PETITEM

Jeden facet
 oblał się benzyną
 i podpalił
 Archanioł pyta
 czemu synu
 Ja się boję
 ja się bardzo boję
 ich

BLUES

czuję bluesa
 blues przechodzi
 między stolikami
 ubrany za kelnera
 czuję ten charakterystyczny
 zapach bluesa
 on pozwala niebieskim
 wywęszyć naszych

JAROSŁAW BRODA

CORAZ SZYBCIEJ

W kraju, którego obywateli
 zamieniono w "ludność"
 może narodzić się święty
 lub gniewu pełny M.ciciel.

W takim kraju terror
 jest zwyczajnym zajęciem
 ślepnącego władcy
 choć nie cieszy go wcale.

On wie, że mimo woli
 tworzy świętość i odwet,
 i że czas jego mknie
 coraz szybciej.

x x x

wybacz swojemu mordercy
 bo tylko tak unikniesz
 współudziału w zbrodni
 bo tylko tak nie pójdziesz

jego rdzawa droga
 bo tylko tak rozerwiesz
 krzyku pełen krąg
 bo tylko tak przestanie
 wtórować tobie lęk
 a powstanie świadectwo
 co kiedyś pozwoli
 słyszeć ptaka o świecie
 dłoń wyciągnąć do dziecka
 w matni lustra
 wytrzymać odbicie

ŚRODKI

środki bezpośredniego przymusu
 konieczne w zawiłych dyskusjach
 zawodzą
 gdy trzeba obywateli
 przekonać o demokracji

KRĄG

Pytasz czy mamy szansę
 na normalne życie.
 Czy tego nie dostrzegasz -
 żyjemy normalnie.
 Ten krąg nazywają przedpiekłem.

LOTHAR HERBST

x x x

Wszystko jest jakies kalekie,
 nie dorobione,
 młke,
 nijakie,
 tak myślimy często
 oczekując w kolejkach
 na kolejne przemiany.
 Potem zamieniamy kolejki
 na kolejny bunt.

III 81

x x x

Ciągle ogarniają mnie wątpliwosci,
 nie o drogę, nie o cel, czuję go
 razem z milionami, lecz o drogi tej
 zakończenie i myślę o tym dniu

kiedy staniemy oko w oko z tymi,
którzy nas tak oficjalnie nienawidzą -
i co wtedy nastąpi?

III 81

x x x

Jest noc,
kolejna noc naszej wolności,
oczekujemy na kolejny świt,
kiedy kolor biało-czerwony,
znowu przypomni nam kim jesteśmy
i do czego dążymy,
a mimo to jest noc,
a do świtu coraz dalej.

IV 81

x x x

Jak wielu w tym kraju czytam
codzienne gazety, dawno już tego
nie robiłem tak często
i coraz częściej dostrzegam ich
fałszywe tony, ich
dwuznaczność i rodzącą się
nienawiść.

Wobec nas.

IV 81

x x x

Jesteśmy coraz bardziej nerwowi,
niespokojni, łączymy się przy
pustych stołach, patrzymy z nadzieją
w szary ekran telewizora, i mówimy,
że tam kłamią i nas szmacą,
i jesteśmy przeciwko "Prawdzie"
za Prawdą, i jesteśmy za życiem
i za śmiercią,
i prawie nikt z obcych tego nie chce
zrozumieć, że nie po to wstaliśmy
na nogi, aby umierać na kłęcząco.

IV 81

x x x

Naszym językiem staje się
język polityki,
język dwuznaczny,
który nas kaleczy,
język fałszywy,

którym nas obdarzają rządzący.

A przecież na prawdę naszym języki
jest nadzieja.

V 81

x x x

Wszystko piszemy nadzieją,
całe nasze życie,
noce i dnie,
słowa, które coraz więcej
znaczą, kolor, który staje się
coraz bardziej białoczerwony,

wszystko piszemy nadzieją,
Polską.

IV 81

ALEK KORWIN PACYFIZM

Pokój. - szczęśliwość. Ale bojewanie
Był nasz podniebny.

Nikołaj Sęp-Szarzyński

W eseju "Między czerwienią a śmiercią" André Glucksmann interpretuje pacyfizm jako współczesną wersję manicheizmu. Pacyfizm nie pozostawia żadnych wątpliwości, jest radykalny w stawianiu alternatywy: życie albo śmierć. Formuła "albo-aibo" zawiera w sobie jednoznaczność, której na ogół brak w świecie zjawisk wielowymiarowych, w świecie rzeczy nie całkiem zrozumiałych, w świecie racji poddających siebie w wątpliwość. W świecie tym dominuje barwa rozproszona, rysunek niejasny, linia zagniatwana, a każdy, kto grubą krechą próbuje wydzielić obszar bieli i czerni, dobra i zła, ślepy staje się na kołory, w tym także na czerwień. Glucksmann jest filozofem-przenikliwym i nieufnym zarazem, z ironią dostrzega kres pacyfistycznej przygody: "raczej czerwony niż martwy".

Formuła "albo-aibo" rozdzielając życie i śmierć sytuuje doktrynę pacyfistyczną w do-czesności wulgarniej, pozbawionej głębszego sensu. Doczesność ta dopóty jest samowystar-czalna, dopóki nie skruszy jej paradoks Kierkegaarda: "Powiesz się, będziesz tego żałował; czy się powieszysz, czy nie powieszysz, będziesz i tego żałował". Paradoks zwykle bywa bronią obosieczną, dlatego rezygnuję w tym miejscu z głębszego uzasadniania powyż-szego cytatu i pozostawiam ścieżkę, którą on wyznacza czytelnikowi obdarzonemu poczuciem humoru.

Radykalna strategia pacyfizmu opiera się - zdaniem Glucksmanna - na odkryciu prawdy absolutnej, zawartej w alternatywie: życie albo śmierć. Francuski filozof podkreśla ofe-nsywny charakter tej najnowszej odmiany mesjanizmu, traktuje ją jako militarizm a'rebours, w którym "wojowniczy Napoleonowie ustąpili pierwszeństwa Napoleonom pokoju, ale marzenie się nie zmieniło: wielkie ordali rozstrzygają raz na zawsze". Rozumiem niepokój Gluck-smanna, sam również daleki jestem od poddawania się jakikolwiek próbnom, by udowodnić swoją niewinność. Większe dobro zazwyczaj skrywa mniejsze zło, lecz dopiero dystans w-obec własnej "niewinności" umożliwia postrzeganie własnych racji. W każdym innym przypad-ku kruczata jest nieunikniona - zarówno w imię pacyfizmu jak i przeciw niemu.

Zbytnie przywiązanie do swoich tylko racji wyostrza spojrzenie, wyolbrzymia proporcje oglądanych zjawisk, a w konsekwencji deformuje obraz świata, w którym kobiety idące po-tem pod parasolkami rozmyślają o filmie "The Day After"; w którym pijak zasypia na brze-gu trawnika dręczony kosznarem atomowego grzyba; w którym sprzedawcy warzyw dyskutują o spirali zbrojeń. Jeszcze "słońce i księżyc są w górze", jeszcze "trzmiel nawiedza różę", jeszcze "dzieci różowe się rodzą", ale wszyscy wierzą, że staje się już!

Oto pewien styl myślenia: koniec świata jest w zasięgu ręki człowieka. Sytuacja nie mająca precedensu w historii naszego globu. Smoże stać się udziałem wszystkich - jednocześnie. Ołbrzymi fajerwerk jako nagroda za strach, w którym żyjemy. Strach podsycający do-niesieniami o nagromadzonym potencjale nuklearnym mogącym dziesięciokrotnie zniszczyć ziemię. Jakby nie wystarczyło jednorazowo! Strach emitowany, strach dyskutowany: a cóż będzie: dzień po?

Stabe poczucie rzeczywistości - cecha infantylnizmu - wydaje się być głównym zniekształceniem uczuciowym! - pisał w "Uwagach o polityce" Bolesław Micliński. Można oczywiście zniekształceniom uczuciowym przeciwstawić chłodną konstrukcję intelektualną - myśl objaśniającą świat. Bywa jednak, że system myślowy osiąga tak znaczny stopień autonomiczności, iż - miast objaśniać rzeczywistość - sam domaga się wyjaśnień. Staje się wtedy sui generis rzeczywistością zamkniętą, nieprzezroczystą, w której forma zagęszcza się, zmiernia ku coraz bardziej złożonej grze sensów. Poszczególne poziomy grzezną w komentarzach, proste - zdawałoby się konkluzje - prowadzą do skomplikowanych przypisów, a te z kolei wymagają odsyłaaczy. Wartości wpisane w tak zawiłą konstrukcję uzasadniają budowlę, która w zamian staje się fundamentem dla tychże wartości. "Rzeczywistość" przestaje być ostateczną instancją sporów; na-przeciw siebie stają nieprzeniknione systemy myślowe - stabilne stereotypy zamknięte na argumentację przeciwnika.

Z jednej strony - bazy wojskowe NATO w Europie Zachodniej, Pershing i Cruisy, z drugiej - sowieckie łagry, komunistyczny totalitaryzm, dynamiczna ekspansja bolszewickiego imperializmu. Świadomość obydwu stron rzeczywistości politycznej drugiej połowy XX wieku może prowadzić do sceptycyzmu, jednakowoż konsekwentny sceptycyzm zawiera w sobie pragmatyczną antynomie, której przekroczenie polega na milczeniu. Każdy wybór natomiast kryje w sobie niebezpieczeństwa wszelakie; od infantylnizmu emocjonalnego począwszy na schizofrenii intelektualnej kończąc. Demagogia pacyfistów nader często spotyka się z demagogią ich krytyków; jedni i drudzy zamknięci w machu swoich racji, zaangażowani na niewygodne informacje nie dostrzegają, iż rzeczywistość, o której mówią, w imieniu której występują, jest jednowymiarowa, wyspekulowana. Spór o wartości wtedy będzie konstruktywny, gdy obejmie realia wszystkich zainteresowanych stron, w każdym innym wypadku rozmowa jest niemożliwa, lub, co najwyżej, polega na obrzucaniu się kalumniami.

W świecie racji jednostronnych umysł wyzwolony z praw ciężenia zatracca dystans, niezauważalnie zrazu wikała się w mechanizm stworzonej przez siebie logiki, by dojść w końcu do fantasmagorii. Suma faktów potwierdzająca dany obraz świata przestaje być prostym zestawieniem realiów, przypomina raczej spirale, po której wznosi się niczym już nie skrępowany rozum sam z siebie wysnuwający obsesje, koszmary o coraz bardziej onirycznej proweniencji. Zamiast szerokiej syntezy umożliwiającej rozwiązanie problemu - magiczna intensyfikacja zagrożeń, zniekształcająca perspektywa krzywego zwierciadła, w którym fałszywe odbicie narzuca duszące definicje, zdradliwe wnioski. Granice między rzeczywistością a fantazją rozpyłwiają się, umysł błędzi w stworzonym przez siebie labiryncie, korytarze wiodą do nikąd, a status więźnia własnych racji zdaje się być przesądzony. Zamiast trzeźwego osądu - emocjonalny infantylnizm, zamiast rzeczowych argumentów - inwektywy.

Artykuł Władymira Bukowskiego "Pacyfiści kontra pokój" jest charakterystycznym przykładem działalności umysłu zniewolonego. Ołbrzymia ilość faktów przytoczonych przez sowieckiego dysydenta nie podlega zakwestionowaniu, lecz zbyt wiele jest w tym tekście zaciętrzewienia, zbyt wiele jadu i złośliwości, co rodzi podejrzenie, iż autor nie może wyzwolić się z nienawiści, której nauczył się podczas kolejnych pobytów w radzieckich więzieniach. "Gdy pożyjesz 34 lata w ukochanej ojczyźnie komunistycznej, chcąc nie chcąc przyswoisz sobie wyczerpującą znajomość całego zestawu ich tricków i sztuczek". Nie tylko znajomość systemu przyswoił sobie W. Bukowski: państwo policyjne wietrzące w każdym przepęć odciśka swoją podejrzliwość w umysłach poddanych.

Mechanizm prowokacji bywa skomplikowany jak złożona gra luster, w której kształty są zmienne, przepływają jedne w drugie, kontury rozmazują się w mroku podejrzenia, intencje ludzkie pozbawione zostają podmiotowości, wynikają z reguł gry, której cele są znane nielicznym. Człowiek gubi indywidualne rysy, anonimowy i przypadkowy jest pionkiem w grze załedwie; rozróżnienie między podmiotem a przedmiotem manipulacji traci ostrość na kolejnych piętrach uzależnień. Każda próba wyrwania się z błędnego koła prowokacji może prowadzić do mocniejszego jedynie zaciśnięcia pętli, wysiętek ofiary sprzyja knowaniom opra-

wcy, a wszystko spowija opar majaczenia. Jak sen, z którego budzimy się w śnie innym i zatracamy tym samym pewność czy "motyl był snem Czuang Czou, czy też Czuang Czou był snem motyla. A przecież Czuang Czou stanowczo różnią się od siebie!".

"Nie ulega wątpliwości - pisze W. Bukowski - że w szeregach pacyfistów istnieje ogromna ilość ludzi szczerze zaniepokojonych, ludzi o znacznych zamiarach. Jestem głęboko przekonany, że zdecydowaną większość stanowią ludzie szczerzy i uczciwi. Ale podobnie jak w latach pięćdziesiątych, jest tam wystarczająco dużo komunistów, poputczyków, zbłąkanych intelektualistów, ludzi obłudnych i pragmatycznych sław zawodowych spekulantów politycznych, zastraszonych burżujów i ludzi młodych, zdecydowanych na kontestację dla kontestacji; są tam również, rzecz jasna, nieprzeciętni duchowni katolicycy z podejrzaną misją i masa ludzi głęboko religijnych, wierzących, że Pan wybrał ich, by czynili pokój na ziemi. Ale nie ulega też wątpliwości, że cały ten różnobarwny tłum jest skutecznie manipulowany przez grupę fajdaków, otrzymujących instrukcje bezpośrednio z Moskwy".

Bukowski nie ma wątpliwości co do roli Moskwy w inspirowaniu ruchu pokojowego na świecie. Rozwijając powyższy styl myślenia można dojść do następujących wniosków: tysiące młodych Amerykanów publicznie palących karty powołania na wietnamską wojnę to niewątpliwie członkowie partii komunistycznej; kultura kontestacji jednoznacznie wymierzona przeciwko wzrastającej militarystyce świata to wynik działalności KGB; hasła paryskiego maja: "paćcie hasz zamiast ludzi!", "róbcie miłość zamiast wojny" wypisywane były na murach rękami sowieckich prowokatorów; papież nawołujący do pokoju to... Absurdalny styl myślenia odbierający jakikolwiek pozytywny sens intencjom pacyfistów, sprowadzający ruch pokojowy do epitetu "przydatnych idiotów" jest typowym przykładem meandrów umysłu zarażonego obsesją prowokacji.

Artykuł "Pacyfiści kontra pokój" daje świadectwo prawdzie jedynej, absołutnej. Radykalny ton większości stwierdzeń, emfaza i zapańczywość, czarno-biały obraz świata - nie pozostawiają żadnych wątpliwości...

Pacyfistycznej alternatywy "pokój albo wojna" Bukowski przeciwstawił alternatywę "wolność albo niewola". Głównym zagrożeniem współczesnego świata jest - wedle sowieckiego dysydenta - totalitarna dyktatura komunistów, a nie, jak chcą pacyfiści, konflikt nuklearny.

Czterdzieści dwa lata temu Bolesław Miciński dowodził, że przedwojenny pacyfizm rozbroił moralnie i materialnie zachodnie społeczeństwa i - tym samym - przygotował grunt dla faszystowskiego totalitaryzmu.

Rezygnacja z czynnej obrony duchowego dziedzictwa Europy w imię ratowania życia jednostki za wszelką cenę to - w perspektywie - rezygnacja z wojności. Oczywiście twierdzenia, że w dłuższym terminie wszyscy będziemy martwi, przekreśla - w mniemaniu cyników - jakikolwiek wysiłki. Wyjście poza tę oczywistość to poszukiwanie wartości ponad życiem, wartości, w imię których warto złożyć życie w ofierze. "Pozbawień wartości prawdziwej, tj. niewymierniej - pisat autor - "Podróży do piekieł" - ludzie dają się uwieść wielkości wymiernej, tj. pozornej. Pozbawiony pokory, miłości, nadziei i wiary w ostateczną sprawiedliwość i cel istnienia - czas nasz dał się uwieść wielkościom wymiernym, matym, które narzucił mu totalizm". /Na marginesie pozostawiam kwestię, kto ma prawo wyrokować, co jest wartością prawdziwą, a co wielkością pozorną?/

Miciński neguje pacyfizm w imię wartości prawdziwych. Pisze: "Pacyfizm - podobnie jak ciekawość spectatora, który staje poza życiem - przekreśla pojęcie wartości i ich hierarchii. Jest w doktrynie integralnego pacyfizmu sprzeczność, która obecznia doktrynę: pokój za wszelką cenę, nawet za cenę wyrzeczenia się doktryny, której nie chce w imię pokoju bronić. Pacyfizm sprzedaje wszystkie wartości za cenę życia". Innymi słowy - paradoks pacyfizmu polega na tym, że traktując życie jako wartość najwyższą, samoistną, podważa zarazem sens życia, wyłączając z niego śmierć.

Wiara w istnienie jednoznacznej hierarchii wartości oznacza prze konanie o stałym porządku świata; wszystko, co zagarża temu porządkowi, zagraża również wartościom. Spór Micińskiego z doktryną pacyfizmu nie jest zatem sporem o wartości lecz obroną etyki przed nihilizmem. etycznym. Odpowiedzialność za moralny porządek świata to akceptacja wai ki z

wszelkimi jego zagrożeniami, to również akceptacja śmierci jako konsekwencji podjęcia walki. "Wojna wyzwala w nas nienawiść i z nienawiścią wyzwala potępione uczucia... / Zapewne, ale wojna wyzwala w człowieku n e r o i z m . Dlatego warto, warto nienawidzić i cierpieć, i walczyć, aby zasłużyć sobie na szacunek w oczach własnych. I nie tylko w naszych, ale i w oczach tych, którym chcemy przekazać wartość życia godną człowieka - nie niewolnika". Jak u Sępa-Szarzyńskiego:

"Pokój - szczęśliwość. Ale boowanie
Był nasz podniebny."

W świecie Micińskiego nie ma miejsca na kompromis, odrzucone zostają wszelkie złudzenia zadowolonej z siebie spekulacji, która usiłuje zafałszować rzeczywistość w uproszczonych alternatywach. Autor "Podróży do piekieł" przekreśla formułę "albo-albo" ukazując, że każdy wybór jest zły. Dramatyczna walka wewnętrzna nie może przynieść rozstrzygnięcia, uczucie rozdarcia w człowieku jest fundamentem postawy heroiczno-tragicznej, która odsuwa od siebie utopijny ideał pojednania - "pokój" i decyduje się na "boowanie". Sprzeciwiając się złu, sami czynimy zło, zaś teoria "mniejszego zła" w niczym nie umniejsza naszej odpowiedzialności. "Totalizm znikształca nie tylko dusze swoich wyznawców - zatruwa nienawiścią, a więc znikształca i dusze tych, którzy podjęli z nim słuszną i sprawliwą wojnę". Postawa heroiczno-tragiczna wciąż od nowa stawia pytanie o sens świata i naszych w nim poczynań. Podejmujemy decyzje, dla których nie ma jednoznacznych reguł; żaden autorytet nie jest godny zaufania, żaden wyrok nie jest ostateczny. Zabijanie jest złe niezależnie od okoliczności, kto decyduje się zabijać, sam bierze na siebie odpowiedzialność. Jest to nie tylko odpowiedzialność za czyn, jest to również odpowiedzialność za sens świata, sens, który nie jest nam dany raz na zawsze, lecz ogromnym wysiłkiem tworzony w każdorazowych wyborach.

Pacyfisci mocą infantylnego sylogizmu - twierdzi Miciński - chcą wyłączyć z życia śmierć; nie chcą uznać tej naturalnej granicy życia, które dopiero urobione przez śmierć staje się zwycięstwem autonomii, triumfem jednostki dojrzałej do samodzielnności. Stereotyp "walki-bojowania" zawiera w sobie zgodę na śmierć, jest balansowaniem na granicy, którą przekracza w kierunku prawdy istniejącej poza jednostkowym życiem. Saint-Exupery, Camus, Malraux to kilka zaledwie nazwisk zaświadczyających o trwałości postawy heroicznej głęboko zakorzenionej w tradycji europejskiej. Na gruncie polskim stereotyp "walki-bojowania" realizował się w kolejnych zrywach niepodległościowych, w tradycji powstańczo-konspiracyjnej, w romantycznym stylu myślenia obciążającym jednostkę odpowiedzialnością za losy narodu. Być może dlatego właśnie doktryna pacyfistyczna nigdy nie znalazła poważnego odzewu w polskim społeczeństwie.

Wojciech Karpiński w eseju "Cień Metternicha" twierdzi, że pokój jest wynikiem akceptacji zasad legitymizmu rozumianego jako "consensus wszystkich państw na pewne reguły gry politycznej", pacyfizm zaś jest formą kapitulacji przed najbardziej niebezpiecznym graczem. Innymi słowy - pacyfisci stają się atutem w rękach najbardziej cynicznego gracza, kartą, która - być może - nie przesądza wyniku gry, lecz poważnie narusza status quo ante przy zielonym świetle dyplomacji. W tej sytuacji niezależny ruch pokojowy w Polsce wymierzony przeciwko reketom Układu Warszawskiego mógłby przywrócić równowagę kart po obu stronach.

Zdaję sobie sprawę, że przyjmując makławeliczną optykę polityki jako czystej gry strategicznej nie tylko wychodzę poza schematy myślowe opisane wyżej, lecz sam z kolei wpadam w uproszczenia, które stały się udziałem autora "Księcia": "Chciał być konsekwentnym realistą - pisał o Machiavellim Karpiński - w rezultacie często bywał nieświadomym idealistą, uproszczającym motywy i mechanizmy do najprostszycy formuł. To był jego podstawowy paradoks, stały paradoks "nowoczesnych ludzi", którzy ponad przesądami ogółu, ponad tradycyjnymi złudzeniami moralistyki pragnęli śledzić realną grę sił, czystą politykę. W rezultacie popadają w inne przesady, przyjmują dogmaty innej moralności, inne kierują nimi złudzenia". Trudno.

LESZEK BUDREWICZ

WASAL

Artysta bywa niezależny lub z natury sprzedajny. Jedno i drugie świadczy, że sztuka jest dla niego najważniejsza, bo tak walczący, jak i nadworny twórca płacą - każdy inną - wysoką cenę za oddanie sztuce. To oddanie sprowadza czasem na niego ciężką ślepotę. Żeby być artystą, trzeba żyć w jednej koszuli, a resztę sprzedać, zamienić, przerobić na scenę, biejtram, nowelę. Kto robi inaczej, staje się niepostrzeżenie wytwórcą. To samopalenie jest gwarancją prawdy.

Artysta mówi, że żyje "w mieście, które nie odwzajemniło naszej miłości", jakby dotknięty. Wielkość może czuć się dotknięta przez małość, choć to poczucie ją umniejsza. Zwycięska wielkość wypomina małości jej małość miasta, "które patrzyło na rozwój naszych idei z obojętnością, niechęcią".

Prawdziwy artysta brzydzi się środowiskowym kadryłem, "gdzie ruch artystyczny bardzo często zastąpiony bywa przez wewnętrzne rozgrywki, batalie haniebne prywatnych interesów, skrócenia i małoduszne manipulacje". Prawdziwy artysta niezależny nie nosi urzędowego snobizmu i fałszywej koegzystencji, żyjąc "w mieście, gdzie w atmosferze partykularyzmu odbywają się galowe premiery zdecydowanie /.../ złych przedstawień w obecności pełnego składu władz świeckich i kościelnych". Fałszywa, pozorna koegzystencja jest bowiem obca artyście.

"Teatr nasz jest teatrem wędrownym. Z ducha. Bez przystani". Jak nomad może rozumieć rolnika, kupca, czeladź, knieci? Teatr to aktor. Aktora otacza się "czułą opieką".

"Troska i czułość jaką Jan Paweł Gawlik, dyrektor Teatru Rzeczypospolitej i jego sztab otoczył aktorów i ciężką pracę teatru Critot 2:..."

A więc artysta chce, aby go po prostu przytulić. Kto przytula, ten przytula, byle miał miękkie dłonie. Wypróżniono teatr, jak gdyby był to pojemnik na śmieci. Ci sami, którzy przytulili artystę, innym dali po łapach. Dali po łapach tym, co niespodziewanie dla wszystkich zachowali się godnie i przyzwoicie, podofali zadaniu, któremu nie raz nie sprościli inni, bardziej zdawało się gotowi.

Co kazało TADEUSZOWI KANTOROWI odczytać publicznie i opublikować następnie w "Życiu Literackim", 1/84, tekst, którego fragmenty przytaczam, zakończony hymnem pochwalnym na cześć Teatru Rzeczypospolitej, porównujący go m.in. do Centre Pompidou i Festiwalu w Nancy?

Można zrozumieć, że artysta zajęty dziełem nie dostrzega, co się aktualnie wokół niego dzieje. Alienując się ze środowiska teatralnego, odchodząc własną drogą, wymyka się też ze świata odczuć społeczeństwa, w którym żyje. Dzieło ma właściwości zniewalające i - jak się rzekło - zasłaniające. Artysta chce zapewnić swojej sztuce miejsce, tak jak matka dbająca o dziecko, zwłaszcza jeśli sztuka ta posiada konkretne właściwości materialne wyrażające się w minutach, kilogramach i metrach. Tak czyni artysta-sługus. Artysta niezależny tego nie robi. Artysta niezależny idzie prowadzony na pasku przez swoje

dzieło. Świat dzieli się dychotomicznie, kto daje się uwieść dziełu, staje - jak sam artysta - po stronie dobra, reszta to dla niego "miasto".

Jeśli artysta jest więźniem Dzieła, uwalnia się od miasta. Ale musi wiedzieć, że pewnego dnia miasto dojrzy artystę nagim. Nagim i ślepym.

LESZEK BUDREWICZ

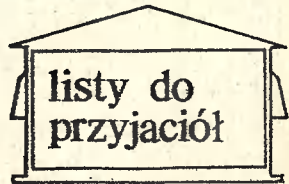
/artykuł publikujemy bez wiedzy i zgody autora/

MAREK PROCHOROWICZ

JKM

Jego życie było skuteczne i brudne. Jego śmierć /niech Bóg odbierze mu zdrowie i da długie lata/ odnotują gazety z pewną skwapliwą gotowością, pełną ulgi. Wielu z nas, kiedy to przeczytamy, uśmiechnie się wtedy mówiąc: "Zdechł pies". Jego trupa pochowają pod strażą. Mówią, że po całych dniach hoduje kwiaty w swoim marmurowym ogrodzie, który nie należy do niego i którego nienawidzi, odkąd się o tym dowiedział. Telewizja, której nie wierzy, kolorowo pożera mu zdrowie. Nie możemy wiedzieć, czy wie, że kiedy w kinie na parę sekund ukazuje się jego pierwsza twarz, wybuchamy chichotem z satysfakcją taką, jakbyśmy zobaczyli go pod postacią barana z głową wyrastającą spod ogona; być może o tym nie wie. Niech nie zależy nam na tym. Nasza droga faluje i wiedzie dalej.

1981



Wyborcze szaleństwo przeżywałam trochę na zasadzie outsidera. Wymusiłam na sobie właśnie taki punkt widzenia, zmuszający do rezygnacji ze wspólnych uniesień i emocji, konspiracyjnej wrzawy i - jak przed ostatnią gonitwą sezonu - nieustannego typowania wyników. Spokoju i niezależności ducha szukałam w lekturze cokolwiek archaicznej i egzotycznej /ale taka właśnie dawała mi szansę ucieczki/: Henry'ego Thoreau "Życie bez zasad". Nie byłam oczywiście do końca konsekwentna; nie wytrzymałam długo w jego samotni w Waiden i przerzuciłam z 200 stron, by dotrzeć do "Obywatelskiego niepostuszeństwa". i trafiłam na wybory.

Thoreau miał do nich - choć 150 lat temu i w Ameryce - stosunek do mego podobny, co, jak się domyślasz, sprawiło mi rzadką satysfakcję. "Każde głosowanie - pisać - jest rodzajem gry, jak warcaby czy trik-trak, i ma lekki posmak moralny, jest igraniem tego, co słuszne, z tym, co niesłuszne, sposobem rozgrywania problemów moralnych..." i dalej: "Mądry człowiek nie rzucił jej /swej racji/ na pastwę miłosierdzia losu ani nie zapragnie, aby zatriumfowała dzięki potędze większości. W działaniu mas niewiele kryje się prawości. Kiedy większość będzie nareszcie głosowała za zniesieniem niewolnictwa, zrobi to tylko dlatego, że problem ów będzie jej całkowicie obojętny, albo dlatego, że pozostaną jej do zniesienia jedynie resztki niewolnictwa. Ci twórcy większości będą wówczas jedynymi niewolnikami. Tylko ten człowiek może przyspieszyć zniesienie niewolnictwa, który przy pomocy oddawanego głosu dowodzi swej wolności". Żyjący dziś i w Polsce Thoreau ostatnie zdanie ująłby pewnie tak: "Tylko ten człowiek może przyspieszyć zniesienie niewolnictwa, który przy pomocy n i e oddanego głosu dowodzi swojej wolności."

Spółeczeństwo ma taką władzę, na jaką zastępuje. Banat. Ten banat straszy jednak okrutną aktualnością w kraju, gdzie 60 procent obywateli - a jest to szacunek optymistyczny - oddaje głos za utrzymaniem niewolnictwa. Ze strachu czy nieuczciwości?

Thoreau jest zbyt mądry, by wymagać od ludzi heroizmu. "Jest rzeczą samą przez się zrozumiałą - mówi - że człowiek nie ma obowiązku się poświęcać wykorzystaniu jakiegokolwiek, nawet największego zła. Może się zająć innymi równie ważnymi sprawami, ale zobowiązany jest przynajmniej umyć od tego zła ręce i nie wspierać go w praktyce, skoro nie chce poświęcać mu uwagi!". Umyć od tego zła ręce... Może, z czytawszy się w Thoreau'owskiej biblii indywidualizmu, zagubiłam sensowną optykę? Może w komunistycznym kraju umyć ręk od zła jest aktem heroicznym, którego przecież nie możemy od każdego wymagać? Czy zatem ci, którzy 17 czerwca pozostali w domach, dali przykład indywidualnego heroizmu?

W czasie ostatniego spotkania spostrzegłam, że wyniki wyborów przyjęłam euforycznie. 8 milionów ludzi, z których każdy brał na siebie odpowiedzialność indywidualnie, opowiedziało się po naszej stronie! - mówić. Mamy wreszcie wymierne dane, jest nas tylu, dających a tylu antykomunistów, gotowych czynnie wystąpić w słusznej sprawie - co udowodnili nie do urn. Słucham takich wywodów sceptycznie. Nie tylko dlatego, że rachunek w nich zawarty może kłamać /parę miesięcy przed Sierpniem w wyborach wzięło udział ponad 90 procent ludzi, z których większość trafiła do "Solidarności" - patrząc a rebour, 40 procent bojkotujących wcale nie musi wejść jutro w szeregi kontrrewolucji. Podejrzewam wręcz, że część bojkotujących dzięki swej decyzji odważyła już swój patriotyczny obowiązek i z czy-

stym sumieniem poddawać się będzie na co dzień "procesom normalizacyjnym"; niebezpieczni dla reżimu mogą zaś być z głosujących, którzy posiadając coś na kształt sumienia, ziorzącą w duchu /na razie/ komunie, że znowu ich ztądjadczą/. Bardziej jeszcze niepokoi mnie przekonanie, że dla większości bojkotujących niepojęcie na wybory było właśnie aktem odwagi, czymś z natury rzeczy wyjątkowym, a nie oczywistą konsekwencją uczciwości. A sądzę, że komuniści bardziej boją się uczciwych niż odważnych i jest to strach uzasadniony.

"Kiedy jedną szóstą ludności narodu - pisze Thoreau - stanowią niewolnicy, i kiedy cały kraj załany zostaje i podbity bezprawnie przez cudzoziemską armię oraz podporządkowany prawu wojskowemu, wówczas, jak sądzę, nadchodzi pora, aby uczciwy człowiek burzył się i wywoływał rewolucję. A przedsięwzięcie to wydaje się tym bardziej palące, że kraj w ten sposób podbity nie jest naszym własnym krajem, mimo że nasza jest przecież okupująca go armia". Podobna się Tobie z pewnością myślenie, że uczciwi powinni robić i robią rewolucję, gdy jej pora nadchodzi. 17 czerwca ujawniło się 60 procent nieuczciwych; czy pozostałe 40 procent to w całości uczciwi, którzy burzą się na każdą nikczemność? Nie mnie ten problem definitywnie rozstrzygać.

Nadęłam się straszliwie, a przecież wyborcza farsa od początku przypominała kabaret. Nigdy nie przypuszczałam, że komunistom tak bardzo zależy na fikcyjnej legitymizacji władzy, że zdolni będą do tak gigantycznej akcji samośmieszania. Jest coś optymistycznego w całej ich infantylniej propagandzie, w tej żarliwości nakłaniania, zastraszania i przypominania o obywatelskim obowiązku wzięcia udziału w fikcji. Widać w tym strach dziecka, że dotychczasowy partner zabawy nie zechce dłużej bawić się w te klocki, z których wyrósł jakiś czas temu. że powie kiedyś, może zaraz: weź swoje zabawki i znykaj do domu, pęta, i wtedy, jak zawsze na podórku w takich sytuacjach, zostanie tylko argument straszego brata.

To, co mnie zmartwiło, a czego zdajesz się nie dostrzegać, to fakt, że struktury opozycyjne dały się w jakimś stopniu wmanewrować w te klocki. Władza od początku zdawała sobie sprawę, że do urn pójdzie większość / a jeśli nie, to większość tę się wyprodukuje w kulisach lokalni wyborczych lub wyżej/ i z dużą ochotą zrobiła z wyborów referendum: kto wejdzie do lokalu, jest za nami, za komunistyczną władzą, a nie konkretnymi kandydatami na radnych. "Solidarność" w jakimś sensie podjęła wyzwanie, choć nikt rozsądny nie mógł liczyć ani na pełny sukces bojkotu, ani na precyzyjną weryfikację ewentualnych założeń i wyników. Radziłam co prawda, że jeśli przyjmuje się czyjes reguły gry, to trzeba to robić konsekwentnie. Jeśli założyliśmy, że czerwoni ustalili wcześniej wyniki, powinniśmy zrobić to samo: oni 80 procent frekwencji, my, że 30, a ludzie już sami wybiorą, co im bardziej odpowiada. Nikt mnie jednak nie posłuchał.

Zastanawiam się, kto bardziej nastraszył wyborców: komuna czy podziemna propaganda? Sądzę, że dopełniły się one w doskonały sposób. Kto nie pójdzie do urn, nie jest prawdziwym patriotą - mówiła władza - a nie być w socjalistycznym prawdziwym patriotą niebezpieczna rzecz. Kto zbojkotuje, jest za nami - głosiło podziemie - a iluż to obywateli chce z odkrytą twarzą i nazwiskiem poprzeć podziemie? Może więc jednak 8 milionów odważnych?

Wybory wyborami, a męska część gdańskiej społeczności fascynowała się inną grą, choć jak się zaraz okaże, też w jakiejś mierze polityczną. Lechia Gdańsk ważyła od miesięcy o i ligę i wywalczyła ją. Według mojego brata awans Lechii jest czymś tak niesamowitym /czekał na to 15 lat! / jak obalenie komuny w Polsce. Niemożliwe stało się możliwym - może to dla nas dobry znak.

Z opowieści brata /a po trosze z własnego doświadczenia/ wnoszę, że stadion Lechii to miejsce fenomenalne. Niewątpliwym rekordzista pod względem ilości manifestacji w skali kraju. Konkurować z nim mogą chyba tylko kościoły św. Brygidy i brama nowohuckiego kombinatu. Na nim idea solidarności staje się praktyką. Jednym głosem robotnicy, urzędnicy, studenci, licealiści i pospolici zule w zależności od sytuacji na murawie i ogólnego nastroju ryczą albo "Lechia Gdańsk!", albo "sędzia ch...!", albo "Solidarność!".

Upolitycznienie haseł skandowanych na meczach Lechii stało się tradycją. Imponujące pod tym względem było pucharowe spotkanie gdańszczan z Juventusem - byłam - kiedy blisko 40 tysięcy ludzi dostawnie oszalało na widok Lecha Wałęsy. Mimo rangi meczu, piłka przez pół godziny przestała się liczyć. /Nic dziwnego, że wódcy dziennikarze informowali swoich rodaków, że nazwa polskiego klubu wzięta się od imienia Przewodniczącego "Solidarności"/. I tak już jest - choć rzecz jasna w mniejszej skali - na każdym meczu. Zawołania "Lech Wałęso!", "Nie ma wolności bez Solidarności!" czy melodyjne "A na drzewach za-

miast liści wisieć będą komuniści!" przerywają od czasu do czasu sportowy doping. Wyjątkowej frajdy dostarczają mecze wyjazdowe. Wyobraź sobie warszawski Dworzec Centralny, godzina siódma rano - z gdańskiego pociągu wysypuje się kilkuset młodzieńców i urzędników regularną manifestację. Ryk "Solidarność!" niesie się wśród dworcowych marmurów, wprawiając zaspanych pasażerów i skacowanych bywańców "Centralnego" w osłupienie. Tej soboty Lechia rozgromiła policyjną Gwardię Warszawa na jej boisku 3 : 0. Udany rewanż gdańszczan za 3 maja, kiedy "gwardia" na ulicach było jednak dużo skuteczniejsza, cóż sam zdaje się odczuć.

Brat przypomina mi, że kłopoty z gdańskimi kibicami zaczęły się na długo przed Sierpniem. Początek lat siedemdziesiątych - BKS Lechia triumfalnie awansuje do II ligi. Już wcześniej, a od tej chwili regularnie, po zwycięskich meczach wielotysięczny tłum maszerował z Wrzeszcza na Starówkę pod dom ówczesnego bożyszcza Gdańska, Puszkarza. Prócz wiewatów na cześć zwycięzców w okolicy Domu Prasy krzyczano "Prasa kłamie!", a na widok policji - "gestapo!" Mecz wyjazdowy w Olsztynie z miejscowym Stomilem /chyba 1974/ to swoisty eksport piłkarskiej kontrrewolucji. Na widok olbrzymiej ilości w pełni oporzędzonego ZOMO otaczającego stadion /takiego zmasowania policji gdańszczanie nie widzieli od 1970 r./ 5 tysięcy kibiców Lechii zaczyna skandować "Powtórzmy Grudzień!". Po meczu w drodze na dworzec drobne utarczki z kibicami Stomilu i milicjantami przeradzają się w kociu w regularną bitwę. Pociąg jadący do Gdańska z osobowego przekształca się w pancerny. Bilety sprawdza milicja z bronią i psami. Na każdej większej stacji młodzi ludzie wyciągani są z pociągu, i, pakowani do bud i suk, trafiają do aresztów. W tym dniu zatrzymano kilkuset gdańszczan. Posypały się kolegia.

Mecz z Widzewem w 1975 r. miał zadecydować o awansie do I ligi. Na trybunach ok. 40 tysięcy widzów. Na trzy minuty przed końcem spotkania Lechia strzela wyrównującą bramkę. Na widowni szat. Ludzie nie wytrzymują nerwowo, wielu wbiega na murawę. interweniuje policja, od razu z wyjątkową brutalnością. Stadion ogarnia psychoza nienawiści. Sędziowie i piłkarze uciekają do szatni, a na tydzie stadionu i jego koronie dochodzi do krwawych starć, które przenoszą się na okoliczne ulice. Walki trwają do godzin wieczornych. Są zabici /w tym milicjant/ i ranni. W dwa tygodnie później na stadionie również mają miejsce starcia.

Przez kilka lat w domu mniej mówiło się o Lechii. Grała coraz słabiej, kibiców przychodziło coraz mniej. Można ich było - tych najzagorzalszych właśnie - spotkać za to w MKZ, a nawet wśród delegatów na Zjazd "Solidarności". Po ogłoszeniu stanu wojennego stanowili z reguły awangardę ulicznych walk i manifestacji. Kiedy jednak Lechia awansowała znowu do II ligi, stadion ożył, a Gdańsk urządził sobie co dwa tygodnie sportowo-polityczne demonstracje. Dziś mamy I ligę, a biorąc pod uwagę okoliczności awansu /manifestacja polityczna kibiców Lechii w Poznaniu wczesną wiosną, dużo większa w Eiblągu w maju, armatki wodne i scoty towarzyszące derbom Arka - Lechia, czy końcowe pałowanie i gonitwy po mieście po ostatnim meczu w czerwcu/, należy przypuszczać, że pierwsza liga będzie dla beniaminka gorąca. Pod każdym względem. Zapraszam Cię na inaugurację.

Anka



OBYWATELU
DAJ
GŁOS
NA LISTĘ
pron!



1944 PRL 1984.

40 lat
w
Obozie

WYBORY GDAŃSK 84



cena 200,- zł

Copyright by PRZEGLĄD POLITYCZNY
Redaguje kolegium